

JERZY Bralczyk

POLAK POTRAFI

Przysłowia, hasła
i inne polskie zdania
osobne



Świat Książki

Ilustracje
Julian Bohdanowicz

Projekt okładki i układ graficzny książki
Cecylia Staniszevska

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Współpraca redakcyjna
Krystyna Ślirwa

Korekta
Krystyna Bober
Elzbieta Jaroszuk

Copyright © by Jerzy Bralczyk
Copyright © for the Polish edition by Bertelsmann Media sp. z o.o.
Warszawa 2006

Świat Książki
Warszawa 2006
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Studio Page Graph, Warszawa

Druk i oprawa
Rzeszowskie Zakłady Graficzne SA

ISBN 83-247-0231-8
Nr 5518

Wstęp

Kiedy mówimy, wypowiadamy zdania. Większość tworzymy sami, układamy ze słów. Ale wiele powtarzamy, choć o tym nie wiemy. Myślimy, że są nasze, a najczęściej w ogóle się nad tym nie zastanawiamy, czyje są i czy ktoś ich dawniej używał. Kiedy o tym myślimy, uważamy za oczywiste, że „wolałbym tego nie robić”, „wcale się Pani nie zmieniła” czy „wydaje mi się, że niedawno to gdzieś tutaj widziałem” – to zdania wypowiedziane już przez ludzi, także i przez nas, nieprzeliczoną liczbę razy. I skłonni bylibyśmy uznać za mało prawdopodobne, by zdanie: „wczorajszym zimnym, gorzkim przedpołudniem znów tysiące nosorogów zbryzgało tygrysim jadem otchłań miododajnych Wizygotów”, pojawiło się wcześniej w czyjejś wypowiedzi.

Całkiem znaczna liczba zdań przez nas używanych to świadome cytaty. Wypowiadamy je i piszemy nie mimo to, lecz właśnie dlatego, że ktoś inny tak słowa ze sobą zestawiał. A wśród nich sporo zdań – to połączenia słów po to wymyślone, by je powtarzać.

A wśród nich znowu zdania-teksty. Zdania osobne. Zdania, których początek jest początkiem całej wypowiedzi, a koniec – jej zakończeniem. Aforyzmy, sentencje, maksymy. Przysłowia. Hasła, slogany. Formuły etykietalne i magiczne, zaklęcia i przekleństwa. Powie-

dzenia i powiedzonka. Okrzyki i zawołania Tak dobrze wymyślone, że gdy je powtarzamy, potrafią wyrazić całość naszej skończonej myśli, dać trafne uogólnienie, opis typu sytuacji, w której uczestniczymy. Albo wywołać wrażenie, pobudzić, zachęcić. Czy wreszcie wyrazić nasze relacje z innymi lub nasze emocje.

W tej książce są zebrane niektóre polskie przysłowia, niektóre polskie hasła i niektóre polskie w różnym stopniu zrytualizowane powiedzenia. Te wydawałoby się odmienne gatunki sporo dzieli, ale trochę i łączy.

Przysłowia są zasadniczo anonimowe, uważamy je za względnie trwałe dziedzictwo wspólnej dla danego obszaru kultury. Twórcą jest lud. Nie wiadomo kiedy powstały. Formuły i powiedzenia, stworzone dla mniej lub bardziej skonwencjonalizowanych sytuacji, też trudno umieścić w czasie i komuś przypisać. Hasła mają autorów, zwykle wiadomo, kiedy i po co zostały powołane do życia. Ale po jakimś czasie autor hasła przestaje być ważny, a samo hasło, zwłaszcza gdy dobre, odrywa się od konkretnego celu, dla którego je wymyślono. I zaczyna żyć samo, bez polityki, bez handlu, które najczęściej mu życie dały.

Przysłowia są wyrazem refleksji nad życiem, powiedzenia wyrażają nasz okazjonalny stosunek do ludzi i świata, hasła namawiają do działania. Ale i hasła bywają uogólnieniami przemyśleń, motywującymi przez przywołanie reguł rządzących światem, a używane są okazjonalnie. Przysłowia przez podawanie prawd zwykle albo uzasadniają nasze działania, albo mają je wywoływać. Formuły zaklęć i powiedzonka stosowane są również dla pokazania postrzegania świata i dla pobudzenia aktywności.

Ich liczby są zbliżone. A zresztą to niezbyt łatwo odróżnić te gatunki, niektóre zdania Czytelnik mógłby umieścić w innej grupie niż autor.

Są polskie. Dlatego też nie mogłem umieścić tu tak apetycznych i analizowalnych przysłów jak to o skorupce i o kopaniu dołków, i o dwóch bijących się. To zdumiewające, jak wiele swojsko brzmiących przysłów dzielimy z innymi. Albo oni z nami. Sprawdzić to można choćby w niedawno wydanym, a mnie pomocnym *Słowniku przysłów, czyli przysłowniku* Katarzyny Kłosińskiej. A jeśli ktoś bardziej wnikliwy, odsyłam do *Nowej księgi przysłów polskich* pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego. Za tą księgą też wskazuję, kto i kiedy dane przysłowie (choćby w nieco innej pierwotnie formie) odnotował – bo przecież autorów w zasadzie (z małymi wyjątkami) przysłowia nie miewają.

Hasła autorów mają, ale w ogromnej części dziś już anonimowych. Gdy byli możliwi do ustalenia, nazwiska ich przywoływałem, w wielu przypadkach jednak trzeba się było ograniczyć do odesłania bardziej ogólnego. Podobnie było i z datą. Brak mi nieco wśród haseł tych, które nie spełniają (i tak czasem nieco liberalnie traktowanych) wymogów zdaniowości. Ale cóż – zdania to zdania.

Zdania najbardziej niejednorodnej grupy: formuły, powiedzenia, przekleństwa, zaklęcia, okrzyki, zawołania, są oczywiście bezautor-skie, trudna jest również ich lokalizacja w czasie. Ale też nie jest to w tym przypadku, jak sądzę, najbardziej istotne.

Przysłowia i powiedzenia przeszły próbę czasu. Są z nami długo (większość, powiedziałbym, bardzo długo) i wydaje się, że wszystkie tu zamieszczone będą jeszcze przez lata powtarzane. Hasła są oczywiście młodsze: jedno z XIX wieku, trochę przedwojennych, sporo z ostatnich kilkunastu lat. Zapewne wielu z nich młodsze pokolenia już nie tylko nie zlokalizują, ale i pamiętać nie będą – sądzę przecież, że warto je tu dla świadectwa chwili przywołać.

Interpretacja tworów skończonych, bez autora, jak formuły i przy-

słowa, czy z zapomnianym autorem, jak hasła, daje nieco inne możliwości. Kontekstu, słownego przynajmniej, tu brak, jesteśmy sam na sam ze zdaniem. Odbieramy je, jego znaczenie i wymowę, różnie, każdy zapewne inaczej, zwłaszcza jeśli związki zdania z okolicznościami jego powstania się rozluźniły.

Ja odbieram tak akurat. A w każdym razie mogę odebrać.

*

Czytelników zainteresowanych głębiej problematyką funkcjonowania w języku takich rozbudowanych tekstów jako nierozzerwalnych jednostek naszego językowego porozumiewania się odsyłam do niedawno opublikowanej, znakomitej, niezmiernie interesującej książki, ukazującej tę problematykę bez drażniącego niekiedy, czego jestem świadom, subiektywizmu, za to z rzetelnym aparatem naukowym, do książki profesora Wojciecha Chlebdy *Szkice o skrzydlatych słowach*.



A bodaj cię!

Przekleństwo

Bodajeś szczeż! Bodaj cię święta ziemia nie nosiła! Bodaj cię pokrećciło! A bodaj ci nóżka spuchła!

To ostatnie to łątka w *Dożywociu* Fredry, reszta nasza, wspólna. I wiele innych. Tak życzymy tym, którym źle życzymy. Czyli: złorzeczymy. Mówimy wtedy złe rzeczy, niekoniecznie od razu z prawdziwym, szczerym życzeniem, żeby się tak właśnie spełniły. Ale jak powiemy, ulży nam. Będziemy mniej źli, także na tych, do których tak mówimy.

Na początku takich formuł, których magiczność dziś ogranicza się do psychologicznego mechanizmu odreagowania, a kiedyś mogła być przedmiotem wiary, pojawiać się może życzeniowe „żeby”, które w podstawowej funkcji, jako spójnik, zaczyna zdanie podrzędne, zwykle celowe. Robię coś, żeby to coś innego było albo żeby czegoś nie było. W takim celu. Mówię też często po to, żeby coś. Czasem nawet to mówię. Bywa, że to cel sam w sobie, wtedy robię coś tak, żeby robić, mówię tak tylko, żeby mówić. A kiedy przed „żeby” nic nie stawiam, może dać ono początek takiemu przeklinającemu zaklęciu czy zaklinającemu przekleństwu. I tu nie może być zastąpione przez żadne książkowe „aby” czy „by”. Co innego w dobrzych życzeniach, jak „aby nam się”.

Ale możemy też zaczynać od bardziej staropolskiego „bodaj”. I ono ma również inne funkcje, bodaj czy nie kilka: taką właśnie przypuszczającą, jak parę wyrazów temu, taką, co ogranicza, podobnie do „przynajmniej”... Ale ta życząca jest pierwotna, podstawowa. „Bodaj” wzięło się oczywiście z przywoływania Boga, to Bóg miał coś dać. Dzisiejszy rozkaznik, prawda, ze wielofunkcyjny, bo i do prośb, i do rad, i do pozwoleń oprócz rozkazów się odnoszący, kiedyś był życzeniowy i mógł się drugoosobowo do Boga stosować, zaklinanego, żeby coś nam dał. „Bóg daj!” – prosiliśmy, życząc sobie, żeby Bóg dał.

A innym, tym, co nas – powiedzmy – zdenerwowali, bodaj dał co złego. Bodaj im noga spuchła, co dolegliwością jest sporą, więc łaska łagodzi to życzenie zdrabnianiem tej nogi do nóżki. Bodaj ich nie nosiła ziemia, nazwana tu dla wytłumaczenia tego życzenia świętą, przez co jasne jest, że stąpając po niej swymi niegodnymi nogami, ją profanują. Bodaj szczęśli, czyli znikli, przy czym bodaj czy nie jedyne to względnie żywe zastosowanie tego archaicznego czasownika, a też i osobliwego połączenia życzącej partykuły z osobową czasownikową końcówką „-eś”. Bodaj ich pokręciło, co rozumieć można jako związane z różnymi zsyłanymi przecież przypadłościami, zarówno fizycznymi, w rodzaju tańca świętego Wita czy, banalniej, reumatyzmu, jak psychicznymi, dającymi różne pokręcenia umysłowe.

Ale to przecież nie na serio, a czasem wręcz zartobliwie. I mówimy tak nawet wtedy, kiedy się wcale nie gniewamy, tak sobie, dla żartu. No, powiedzmy, półżartu.

Aby nam się!

Życzenie

Może to być toast, może podnoszący ducha okrzyk, może poze-gnalna formuła. Wazne, że silnie zaznacza wspólnotę i życzenio-wość. To o nas chodzi, wszystkich i razem, i chcemy dla siebie...

No właśnie, czego chcemy? Mówi się to pojedynczo, ale niejako w imieniu tych, do których się mówi. Ma być dla nas dobrze. Ale każda konkretyzacja może prowadzić do nadmiernego uszczegoło-wienia. Chodzi o to zapewne, żeby nam się powodziło, czyli dobrze powodziło, czyli dobrze wiodło, wiodło po prostu. Się. Nie w tym rzecz, że coś mamy w tym celu robić, pewnie, że będziemy, ale w tej sferze, która od nas zależy, i tak damy sobie radę. Tu zaś ma-my na myśli okoliczności, warunki, a także to, co nazywamy losem, fortuną, szczęściem. To, co od nas niezależne, a co tak się liczy.

To nas właśnie to ma spotkać, to nam się zdarzyć. Jak się zdarzy, to znaczy, że się nam darzy. Dostajemy takie dary od świata, od prze-znaczenia, wyższych sił. My jesteśmy w celowniku – „nam” – w przypadku, o którym mówi się w gramatyce, że jest konkretny i wyraża beneficjanta, czyli tego, który coś dostaje. Tu – pod każ-dym względem, bo etymologicznie i pozagramatycznie beneficjant to ktoś, kto dobre rzeczy otrzymuje.

Same tylko dobre rzeczy, które można na różne sposoby pięknie

określać. Ale lepiej nazw nie używać. Lepiej już ogólnie życzyć szczęścia, życzyć, żeby nam się darzyło, wiodło. I tak często robimy. Możemy jednak pomyśleć, że i takim ogólnym nazwaniem łatwo jest zapeszyć, bo przecież wiadomo, że los bywa złośliwy i przewrotny. I może sprawić, że będzie na odwrót.

Więc najlepiej, zamiast używać słów, otworzyć miejsce dla myśli. Takie językowe zaprogramowanie nie dopuści złej myśli, nikt nie wpadnie na jakieś niepokojące uzupełnienie. Prawdę powiedziawszy, pewnie na nic nie wpadnie, bo po pierwsze, ta wstępna formuła jest już tak dobrze rozpoznawana, że wydaje się wystarczająca, po drugie, i tak czujemy, że uczestniczymy w rytuale, a to życzenie jest po prostu konwencjonalne.

Konwencjonalne, ale nie do końca. Taka elipsa, ten brak określenia tego, co „się”, zostawienie tego dziwnego, zupełnie niesamodzielnego zaimka samego na końcu, to aposjopeza. Czyli retoryczne urwanie zdania – co powinno pobudzić aktywność myślową, a może i werbalną, słuchaczy – które prowokuje językowe uzupełnienie. Tu wprowadź o coś nieokreślonego, ale jednak. Nam się...

I może to pochodzi właśnie z naruszenia konwencji, z celowej zmiany formuły, z pozostawienia jej niepełną, otwartą, czego formuły tak nie lubią. Zdeformułowania jej, zdeformowania, uoryginalnienia. Takie operacje najpierw mają zwiększać porozumienie, bo poruszają niecodziennością, potem, często powtarzane jako atrakcyjne, stają się, niestety, modne, nadużywane i banalnie pretenjonalne. Ale z „aby nam się” to się na razie nie stało.

Może dlatego, że dobrze i bezpiecznie życzy nam tego, co najlepsze.

Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej

Hasło propagandowe z przemówienia Edwarda Gierka, 1971

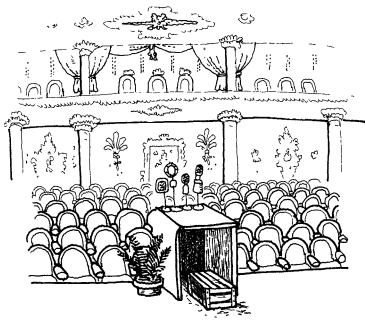
W przemówieniu pierwszego sekretarza znalazło się długie zdanie: „Aby Polska rosła w siłę, a życie jej obywateli było bardziej dostatnie”. Nawet jak na materiał na cytaty, nie mówiąc o sloganie, rozwlekłe i mdłe. I banalne do tego.

A jednak. Dla wielu to zdanie, po małej przeróbce, stało się kwintesencją propagandy PRL-u. Pewnie, trzeba było „obywateli” zmienić w „ludzi”, z rzeczownikowego „życia” przejść do osobowego czasownika „żyli”, co z kolei pociągnęło zmianę przymiotnika w przysłówkę, ułatwiając proste stopniowanie: „dostatniejsze” byłoby trudniejsze do przyjęcia niż „dostatniej”.

Slogan jako gatunek wśród różnych ciekawych, przypisywanych mu, ale nieobowiązujących, cech ma także niepełność struktury. Ten zaczyna się od „aby”, stanowiąc zdanie (w istocie dwa zdania) podrzędne, celowe, ale bez zdania nadrzędnego. Nie wiemy, co „aby”. I bardzo dobrze. Otwierają się w ten sposób różne możliwości. Może chcemy, aby. Może trzeba się starać, aby. Może dążymy do tego wszyscy, aby. A może jeszcze coś innego. Tu mamy celowość czystą, niezmaconą niepotrzebnym konkretem. Po prostu aby i już. Była to jedna z ulubionych konstrukcji sloganowych w tamtej propagandzie, choć funkcjonalna i w innych odniesieniach, bo żeby

daleko nie szukać, refren popularnej piosenki: „zeby Polska była Polską”, też był powtarzany bez szczegółowego przypominania, co kto w tym celu robił. I przypomnijmy jeszcze popularnie skrótowo uogólnione życzenia w miłych sytuacjach, jak „abyśmy tylko zdrowi byli” i może „aby nam się”, a nawet samo „abyśmy”. I tak wiadomo co.

A w działaniach publicznie perswazyjnych sformułowanie dobrego celu, bliskiego wszystkim tak, jak tylko coś może być bliskie (cóż może być bliższe niż siła i dostatek), jest zawsze pożądane. I to pominięcie określenia działań w tym kierunku, działań, które przecież mogłyby się wiązać z jakimiś wyrzeczeniami, też jest funkcjonalne. W propagandzie PRL-u była jeszcze formuła równie apetyczna



przez brak dookreślenia: specyficzna konstrukcja przyimkowa „o + biernik”, na przykład „o dalsze doskonalenie pracy ideologicznej”, „o większą wydajność”. Po tym „o” stawiało się w bierniku coś niezwykle potrzebnego i tytuł wystąpienia, referatu programowego i tym podobne był gotowy.

To jedno z głównych, optymistycznych haseł skrócono potem do pierwszego członu. Rośnięcie Polski w siłę było trudniejsze do podważenia, mniej sprzeczne z doświadczeniem potocznym niż życie coraz dostatniejsze. Ale i tak wymiar hasłowego marzenia coraz bardziej się ironizował, coraz częściej tego zdania używano do żartów, i to coraz mniej pogodnych. Rozchodzenie się słownych deklaracji z rzeczywistością, stopniowa alienacja tekstów pozytywnie zachęcających to był jeden z wyrazistszych wymiarów upadku systemu.

Teraz takich sloganów nie mamy.

A kysz, zgiń przepadnij!

Zaklęcie

Każda z części tego zaklęcia może występować osobno, ale zwykle, gdy ma to być zaklęcie skuteczne, wezwaniu do zginienia towarzyszy apel o przepadnięcie i odwrotnie. I pojawia się tajemnicze „kysz”. Możemy adresować te okrzyki a to do siły nieczystej, z którą najmniej chcemy mieć do czynienia, a to do ducha jakiegoś, a to, czasem, do własnych myśli czy do innych natrętnych postaci, spraw i rzeczy. Ale bywa też bez adresu. Już tam wiedzą, do kogo to.

Najciekawsze jest rzecz jasna „kysz”, dość obce zwyczajom fonetycznym polszczyzny, w której bardzo rzadko po „k” występuje „y” (podobnie zresztą jak „e”). Samo „kysz” ma, jak się zdaje, właśnie funkcję wynikającą poniekąd z fonetyki, jest dźwiękiem jakoby nadającym się do płoszenia. Może przypominać dźwięk szybkiego znikania, czmychania – powiedzmy. Takiego czegoś, co da się opisać jako czmychu, czmychu.

„Kysz” samo nie występuje, musi je poprzedzać „a”. Takie „a” pojawia się też przy innych płoszeniach i przeganianach: „a sio!” – wołamy do ptactwa, którego chcemy się pozbyć, „a pódziesz!” – zwracamy się do psa, tak skracając czas przyszły czasownika odchodzenia, „a psik!” – psikamy na kota, najczęściej bezskutecznie. Ale „sio”, „pódziesz” i „psik” mogą być bez „a” „Kysz” nie.

Często nie ograniczamy się do jednego „a kysz!” i podwajamy je, przy czym czerpiemy chyba ten wzorzec z drugiej części *Dziadów*, gdzie zresztą „a kysz!” rymowało się nieco ryzykownie ze „święty krzyż”. Być może powinniśmy wezwanie to potrącać, bo co trzykroć mówione jest skuteczniejsze. W *Dziadach* także się miejscami potraja, tam płoszenia duchów i widm akurat jest dosyć sporo.

Wezwanie do tego, żeby to zginęło i przepadło, wydaje się daremne. Czy po to nam się coś ukazuje, żeby na prośbę zniknąć, i to na tak naiwnie dosłowną prośbę? A jednak czujemy, że w „zgiń przepadnij”, wypowiedzianym tak właśnie, łącznie, bez przecinka intonacyjnego, jest coś tajemniczego, co skłoni nieczystą siłę do ustąpienia. Zwłaszcza oczywiście, gdy dodamy to, trochę zabawne w izolacji, ale zapewne uzasadnione magicznie, płoszenie „kyszem”.

Czy zginąć to to samo, co przepaść? Jasne, „przepaść” to może być też groźny rzeczownik, co wpływałoby na skojarzenia, ale nie o to tu chodzi. „Zginąć” ma w stosunku do ludzi dwa odniesienia: zgubić się nie do odnalezienia i gwałtownie stracić życie. „Przepaść” ma to pierwsze znaczenie, czasem bywają tak też metaforyzowane różne stopnie porażek i klęsk. Tu oczywiście chodzi o jedno znaczenie, wspólne dla obu rozkazników: żebyśmy tego nie widzieli. Zeby znikło czy zniknęło, wszystko jedno, żeby się zgubiło, usunęło. Żeby tego nie było dla nas. Bo że w ogóle jest, to jest i zapewne będzie.

Trochę to dziwne: jak ono ma przepaść? Czy ja mógłbym przepaść? Ja miałbym się nie odnaleźć? Siebie?

Ono ma przepaść, ale relacyjnie. To mnie ma przepaść i zginąć. A kysz.

AK – zapluty karzeł reakcji

Hasło propagandowe na plakacie Włodzimierza Zakrzewskiego, 1945

Konstrukcja apozycyjna, składająca się z dwóch rzeczowników lub grup rzeczownikowych w mianowniku, z trudnością może uchodzić za zdanie. Jest jednak dość częsta w pewnym typie sloganu, kiedy to mianowicie więzi znaczeniowej zachodzącej między dwoma wyróżnionymi członami nie chcemy osłabiać słówkiem „to”. „Janek to łobuz” to zupełnie dobre zdanie. Całe to poprzednie zdanie też jest dobrym zdaniem. „Janek jest łobuzem” jest zdaniem na pewno pełniejszym, ale może nawet jak na okoliczności zbyt literacko rozwiniętym. Gdybyśmy z kolei w naturalnej mowie powiedzieli: „Janek łobuz”, nie brzmiałoby to zdaniowo, ale w okrzyku: „Janek płatny pacholek bolszewików”, zdanie orzekające słyszymy. „PZPR kierownicza siła narodu”.

Inną konstrukcją typową dla sloganu, zwłaszcza politycznego, jest mianownik z narzędnikiem, czyli też prawie porządne zdanie orzecznikowe, tyle że bez łącznika „jest”. Zawsze łatwiej wykrzyknąć „program partii pomostem w dwudziesty pierwszy wiek” niż „program partii jest pomostem w dwudziesty pierwszy wiek”, a jeśli nie wykrzyknąć, to przynajmniej napisać na plakacie czy transparencie. Albo „Legia mistrzem”.

W obu tych relacjach: apozycyjnej z dwoma mianownikami i mia-

ownikowo-narzędnikowej, chodzi o stwierdzenie relacji albo przypisanie cechy, albo zgoda identyczności czy tożsamości. Łatwo wstawialne są łączniki „to” i „jest”, ale bez nich te relacje są bodaj silniej wyrażone.

Napis na plakacie był nieco inny, niż go zapamiętano. Był na nim wspaniały olbrzym i ohydny karzeł oraz tekst mający zożyć kogoś, kogo w tej postaci przedstawiano, z napisem „AK”. Kogoś, z kim identyfikowały się miliony Polaków. Tekst brzmiał: „Olbrzym i zapłuty karzeł reakcji”. Olbrzyma zapominano, i obrazu, i słowa. Zapamiętano hasło jako: „AK – zapłuty karzeł reakcji”.

Ta wyjątkowo obrzydliwa deskrypcja przeciwnika czy wroga, ukazująca Armię Krajową nie tylko jako przedstawiciela wstrętnej reakcji, wrogiej wszelkiemu szlachetnemu postępowi, nie tylko jako małego, bezsilnego w istocie karła, ale jeszcze karła zapłutego, czyli bezradnie i plugawie opluwającego, co właściwie wydaje się apogeum obrzydliwości, wzięta była z tekstu jednak jeszcze bardziej wyrazistego.

I w tym tekście-pierwowzorze, wygłoszonym na bankiecie w hotelu Bristol dwadzieścia parę lat wcześniej, nie chodziło bynajmniej o formację zbrojną, tylko o człowieka. I Józef Piłsudski opisywał go jako „zapłutego, potwornego karła na krzywych nóżkach, wypływającego swoją brudną duszę... i robiącego małpie grymasy”.

Żeby ukazać przeciwnika obrzydliwie, sięga się po słownictwo obrzydliwe. Robi się jeszcze bardziej obrzydliwie, gdy korzysta się z gotowców, nie bacząc na ich polityczną i ideologiczną proveniencję.

Alleluja i do przodu

Hasło, o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, około 2000

„Alleluja”, z hebrajskiego „hallelu-Jah”, znaczyło „chwalcie Boga”. Dziś jest raczej nietłumaczonym okrzykiem radości, trochę liturgicznej, trochę wewnętrznej, spontanicznej, wprowadzanej z religią i kościołem, ale niekoniecznie ściśle. Obecne w pieśniach religijnych i w modlitwach, pojawia się czasem i poza tymi kontekstami.

„Do przodu” to konstrukcja przyimkowa wyrażająca kierunek, naturalna w takich frazach jak „przesunąć się do przodu”, ale jednocześnie oznaczająca, zwłaszcza w potocznym młodzieżowym języku, dwie właściwości, głównie ludzkie. Po pierwsze, wiąże się z sytuacją przewagi, korzyści: „jestem do przodu dwa tysiące” oznacza, że wygrałem, zdobyłem czy w inny sposób pozyskałem pieniądze. Po drugie, odnosi się do akceptacji dla jakichś zjawisk, rzeczy, najczęściej ludzi: „on jest do przodu” znaczy tyle co „on jest w porządku”. Antonimem w obu znaczeniach jest „do tyłu”.

Hasło „Alleluja i do przodu” zdaje się łączyć dwie funkcje. Wyrażania radości, wynikającej z zawierzenia się Panu, i apelu, wezwania do działania. Gdybyśmy chcieli znaleźć w klasycznej przeszłości hasło podobne, z pewnością mogłoby to być: „Naprzód w imię Boga”.

Ale hasło o. Rydzyka, nawiązując do klasyki, jednocześnie korzysta z jej naruszenia. Jest hybrydą stylistyczną, przez niedopasowanie członów bardzo oryginalną, wręcz zabawną. Odwołując się do dwóch kodów kulturowych: religijnego i potocznego, daje nową jakość, niewątpliwie atrakcyjną.

I do tego ta hybrydyczność zdaje się wskazywać na swobodne, spontaniczne, niedbające o konwencje powstanie i stosowanie hasła. Kiedy działamy, nie licząc się ze sztywnymi regułami, także językowymi, jesteśmy bardziej prawdziwi, naturalni. Chwalimy Pana z radości wewnętrznej i radośnie do przodu zmierzamy, nie patrząc na przeszkody, na tych, co próbują nam drogę zastępować, wierzymy w prawdę naszej swobodnej radości. Idziemy naprzód, do przodu, i sami jesteśmy do przodu, w porządku i z wielkim sukcesem, z korzyścią nie tylko dla nas, także dla świata

Ma to hasło radośnie aktywizować, dodawać otuchy, minimalizować zagrożenia, przysparzać racji i optymizmu niezależnie od tego, jakie są realne działania, do których zachęca. Choć burza huczy wkoło nas... zgodnie nasz dźwięczy krok. Sztuka budzenia entuzjazmu jest niełatwa, ale ma trochę językowych wzorców. *Marsylianka, Oda do młodości, Międzynarodówka* i wiele hymnów znajdowały różne, często bardzo trafne i skuteczne sposoby apelowania. A ten jest jeden z lepszych.

Bo o to w gruncie rzeczy chodzi. Przywołanie idei, wartości, które najsilniej daje wiara, i mocna, sympatyczna, optymistyczna zachęta. Alleluja i do przodu.

Nie może się nie udać

Baba z wozu, koniom lżej

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

Najpierw miało być lżej nie koniom, lecz kołom: „kołom lżej”, „kółkom lżej”. Współczucie dla koni jest w wersjach późniejszych, z XIX wieku. Dawniej ważniejszy był sprzęt, żeby się nie zepsuł. Potem dopiero pojawiła się troska o konie. A baba, przynajmniej w tym przysłowiu, konsekwentnie liczyła się najmniej.

U Zoszczenki chłop podwozi narratora za rubla, a droga ciężka, koń się męczy, czasem trzeba schodzić z wozu. Za wozem drałuje baba, która się naparła do miasta, z racji swoich imienin. Chłop, jak sam mówi, „w domu ani chybi uhonoruje” solenizantkę, ale teraz niech sobie idzie pieszo za wozem. Nic jej nie będzie, „baba silna jak smok”. Baba nie ma potem żalu, z ochotą rozładowuje wóz.

Bo i co z baby na wozie? Jak jej tam nie ma, to i lepiej lżej. A chłop, jak tak mówi o babie, szczególnie o swojej, to od razu widać, że prawdziwy chłop. Nie trzyma się babskiej kiecki, nie ulega babskim fanaberiom i w ogóle nie zależy mu specjalnie na babim towarzystwie.

I dlatego baba jest tak dobrym, mocnym, trafnym uogólnieniem wszystkich niepotrzebnych ciężarów, tych, co to o nich mogliśmy wcale nie myśleć najpierw, że są ciężarami, a nawet gotowiśmy by-

li ich straty żałować. Ale zastanowiwszy się nieco, widzimy, że bez nich lepiej. Tak naprawdę nam lżej.

Łaciński cyniczny żart językowy – metagram (taka gra półsłówki) – *obiit anus, abiit onus* odnosi się do staruszki (*anus*), która gdy umarła (*obiit*), odszedł ciężar (*abiit onus*). Gałczyński proponuje figlarne tłumaczenie: „zeszła staruszka, swobodna dróżka”.

Po kłopotach. W przysłowiu o wozie nie jesteśmy aż tak okrutni, usuwamy z niego całkiem silną babę, spiesząc ją zaledwie. I jeszcze możemy ulżyć przez to koniom.

Odróżnienie tego, co tracimy, od tego, czego się pozbywamy, wydaje się jasne i proste, w rzeczywistości jednak może być czasem trudne. Nie zawsze rozpoznajemy, czy to my o tym decydujemy. Nieraz to tylko kwestia intencjonalnej interpretacji. A w ogóle to najczęściej dopiero po jakimś czasie się okazuje, czy to była strata, czy zysk. I w dodatku często zależy to od tego, jak sobie o tym, co się już stało, pomyślimy. A jeżeli o tym wiemy, to możemy sobie tym pomyśleniem trochę posterować.

I dlatego: jak już i tak baba z wozu zeszła czy zeskoczyła (takie baby najczęściej same uciekają z wozów, zwykle na inne wozy), to przecież musimy się jakoś pocieszyć. Przysłowie o babie i wozie bywa zatem głównie pocieszeniem, a bardzo często i samopocieszeniem zmartwionych stratami. Nie martw się. Pomyśl sobie, co przez to zyskujesz.

Koniom lżej.

Balcerowicz musi odejść

Hasło polityczne, Władysław Serafin, 1991

Fraza ta zrosła się na stałe z powtarzającym ją konsekwentnie Andrzejem Lepperem, przywódcą „Samoobrony”, choć nie on był jej autorem.

Ceterum censeo Carthaginem esse delendam – tak kończył każdą swoją mowę, a przynajmniej wiele z nich, Marek Tulliusz Cyncero. Niezależnie od tego, czego dotyczyły. I wszyscy wiedzieli, że on to powie, i czekali na to. Można mniemać, że trochę przez to traciły te inne, główne akurat dla danego przemówienia, wątki. Ale Kartagina miała czuć się zagrożona, i o to chodziło. Powtarzane wezwanie zwiększało swoją moc.

Ale jak długo można? Po jakimś czasie może się takie powtarzane, zwłaszcza bez troski o dopasowanie do aktualnej problematyki, wezwanie wydać nudnym, potem śmiesznym. Lub w odwrotnej kolejności. I mocy nie nabiera, owszem, traci. Rząd Demokratycznej Republiki Chin, oburzony kolejnymi aktami Stanów Zjednoczonych, naruszającymi różne jej prawa, zwykł stosować protesty, a te protesty były poważne, bardzo poważne. Miały charakter ostrzeżeń. Ostrzeżenia powinny pociągać za sobą działania, te raczej nie pociągały, nie było takich możliwości ani dyplomatycznych, ani na szczęście zbrojnych, ale za to były bardzo poważne, tak się je pre-

zentowało. Mówiło się wobec tego o kolejnych poważnych ostrzeżeniach, numerując je zresztą. Siedemset dwudzieste trzecie poważne ostrzeżenie brzmiało tak poważnie, że aż śmiesznie. I liczba śmieszyła, i kolejność.

Andrzej Lepper nie numeruje wezwań o odprawienie źródła większości polskich potransformacyjnych nieszczęść, Leszka Balcerowicza. Dba, by przynajmniej w większości wystąpień to zdanie w niezmiennym kształcie zastosować, bo wie, że stałość to cenna cnota polityka, ale nie pozwala się nam znudzić, umieszczając je w różnych miejscach, niezależnie od treści tych akurat poruszanych właśnie wątków. I czekamy, kiedy to konieczne dla tego gatunku wypowiedzi wezwanie padnie, i rozsmakowujemy się w nim, podejrzewając, że dla samego, coraz bardziej retorycznie efektownego, mówcy staje się to konwencją, a od świadomości konwencji retorycznej już tylko krok do wspólnie dla mówcy i słuchaczy jawnej zabawy w konwencję.



Czy to trudno mówić nie à propos? Jeden z moich znajomych miał powiedzenie „to mi przypomina coś całkiem innego”. Wtedy, w dowolnym momencie, mógł powiedzieć, co chciał. Nie dbał o to, by wpasować się do treści rozmowy. Nie musiał także dbać o konsekwencję we własnej wypowiedzi. Po prostu mówił, co mu się przypominało, dla przyzwoitości tylko zaznaczając, że to, co zaraz powie, nasunęło mu się w związku z tym, o czym mowa. „To mi przypomina...”. Jak, dlaczego – już mówić nie trzeba.

A poza tym wiemy, że Balcerowicz i tak zawsze musi odejść. To zresztą gwarancja jego pozostania, bo gdyby odszedł, nie musiałby już odchodzić i nie można by do tego nawoływać. I czegoś by zabrakło nie tylko Lepperowi.

Bądź sobą, wybierz pepsi

Hasło reklamowe, lata dziewięćdziesiąte XX wieku

Hasło, jak często bywa, dwuczęściowe, a jedna część zależy od drugiej. Obie części to zdania w trybie rozkazującym, połączone bezspójnikowo

Gdyby zdania były oznajmujące, powiedzmy teraźniejsze i połączone spójnikiem, relacja byłaby jasna. „Jesteś sobą, ale wybierasz X”. No nie, to odrzucamy, to rzadkie i przewrotne. „Jesteś sobą i wybierasz X” – owszem, tak, ale to za mało. „Jesteś sobą, więc wybierasz X”. „Jesteś sobą, bo wybierasz X”. „Jesteś sobą, jeżeli wybierasz X”. Tu wszystko jasne, w każdym z tych połączeń wiemy, co jest wnioskiem, przyczyną, warunkiem, a co przesłanką, skutkiem, konkluzją. A gdy spójnika nie ma? „Jesteś sobą, wybierasz X”. Sprawa mniej prosta, trochę pomóc może interpunkcja: jeśli zdania łączy dwukropek, jeśli na końcu jest wykrzyknik, to raczej relacja przyczynowo-skutkowa, tu rozpoznana i obwieszczona. Gdy między zdaniami jest myślnik, dopuszczalna jest też relacja warunkowa, „jeżeli”. A jeżeli jest przecinek albo, co możliwe bywa przy różnych nacechowanych układach graficznych, nic nie ma, żadnego znaku? Czasem wystarczy sugestia ogólnej zależności między prawdziwością zdań...

Tu mamy tryb rozkazujący. Trudniej o niektóre spójniki. Właściwie tylko „więc” pasuje i jego równoznaczniki, jak „przeto” czy „za-

tem". I oczywiście najbardziej naturalne „i”, tu także bliskie znaczeniowo „więc”. Ale można i bez spójnika, też bez niejasności. Wniosek i już. Wniosek z bycia sobą.

Tryb rozkazujący w hasłach bywa unikany ze względu na nadmierną bezpośredniość, która może się wydać natrętna. „Kup”. „Skorzystaj”. Choć trzeba przyznać, że prostota może ujmować szczerością. Łatwiej z takimi rozkaźnikami, które nie mogą być rozkazami. „Wygraj”. „Poczuj”. Tu właśnie mamy dwa mało rozkazujące rozkaźniki. „Wybierz” – owszem, to zachęta, ale przecież to ty masz wybrać. Masz wolność wyboru. Jasne, namawiam cię do czegoś, ale ty zdecydujesz. Zdecyduj.

I „bądź sobą”. Takiego rozkaźnika powinniśmy chcieć najbardziej. Oto nikt niczego od nas nie wymaga. Ma być, jak jest. Mam być taki, jaki sam chcę. Tylko jeśli tak, to po co mi o tym mówić? Czy bez tego nie byłbym sobą? Albo byłbym mniej? Taka konkluzja może się nasunąć, gdy będziemy tę formę widzieć jako pozwolenie na bycie sobą. Niby dobrze, skoro na coś pozwalają, pozwalają na to, czego przecież chcemy – ale niechętnie uświadamiamy sobie, że to, czego chcemy, wymaga pozwolenia. Zwłaszcza bycie sobą.

Ale może to zachęta? No, bądź sobą! Zdecyduj się na bycie sobą! Tak! Zrób to! Przecież tego chcesz! Chcesz być sobą, to bądź. I możesz wybierać, co chcesz pić. Ale coś ci powiem: jeżeli ktoś jest sobą, wybiera pepsi. I jeśli ty chcesz sobą być, wybierz pepsi. Jeżeli wybierzesz coś innego, trudno będzie uznać, że jesteś sobą. A ty nie tylko chcesz być sobą, ale też chcesz, żeby wszyscy to uznali. Nie tylko się nie wstydzisz bycia sobą, ale chcesz się tym szczycić. Albo nawet szcycisz. A jeśli jesteś sobą...

Bez pracy nie ma kołaczy

Przysłowie, odnotował Biernat z Lublina, 1522

Bez kołaczy można się jakoś obyć. Nie wszyscy pamiętamy, co to takiego te kołacze, ale mamy wyobrazenie czegoś bardzo odświętnego i luksusowego. A przy tym ludowego. Jakiś korowaj albo coś w tym guście. Ludowe święto, może wesele. Czas wyjątkowy, pracy żadnej dokoła nie ma.

Pewnie to ciasto, białe, pszenne, słodkie. Musiało być uważane za smaczne. Ciekawe, skąd się wzięło w przysłowiu o pracy. Bez pracy nie ma kołaczy? Bez pracy to i chleba pytlowego (też nie bardzo wiadomo, co to, ale brzmi bardzo codziennie i w związku z tym pracowicie) nie uświadczysz. Nieco dziwi ten smakołyk w poważnym ostrzeżeniu. Przypomina alternatywę Marii Antoniny, która podobno, usłyszawszy, że lud francuski nie ma chleba, radziła mu przerzucić się na ciastka. I nie wiadomo było, czy z krańcowej naiwności, czy z równie krańcowej i przewrotnej złośliwości – obie były tu trudno wyobrażalne.

W XVI i XVII wieku obok sarkastycznych pouczeń przeciw wyobrażeniom o możliwościach bez zasług („Bez prace nie będą kołacze”, „Zaden bez pracy nie dojdzie kołaczy”) pojawiały się też wersje budzące oburzenie na luksusy bez wysiłku („Bez prace przychodzą kołacze”, „Bez prace on ma kołacze”, „Bez prace chce jadać kołacze”). Kołacze bardziej są w tym kontekście zrozumiałe.

A w ogóle nie powinniśmy sobie wyobrazać krainy pasibrzuchów, gdzie pieczone gołąbki lecą same do gąbki.

Liczne przysłowia, choć studzące nasze marzenia o powszechnym dobrobycie bez konieczności ciężkiej pracy, trochę nam przywoływaniem smacznych gołąbków, pieczeni („Kto się do pracy leni, nie wart jeść pieczeni”) i kołaczy życie słodziły. A mogłoby wystarczyć kostyczne: „Kto nie pracuje, ten nie je”. I już.

Nasze przysłowie mieści się w szeregu przysłów i powiedzeń mówiących, czego to bez czego nie ma, w których to, czego nie ma, i to, bez czego, rymowały się, pokazując jeszcze wyraźniej, przez formalne cechy słów, te właśnie zależności. „Nie ma miłości bez zażyłości”. „Nie ma karesu bez interesu”. „Nie ma wolności bez Solidarności”. Ten pracowity rym z kołaczami nie jest zbyt udany, ale właśnie dlatego może być bardziej przekonujący. Także dlatego, że skłonni jesteśmy bardziej ludową interpretację tu dawać, nie tylko przez ludowość kołacza, ale i przez ewentualność mazurzenia. A ludowe przysłowia jawią się jako bardziej spontaniczne, bardziej więc naturalnie prawdziwe.

Krótko mówiąc, trzeba pracować. W sytuacji powszechnej obfitości miejsc do pracy, a zwłaszcza obowiązku zatrudnienia, takie pouczenie brzmi poważnie i rzetelnie, zgadzamy się, piętnujemy darmożjadów. Ale w sytuacji utrudnionego dostępu do pracy zaczynamy je nieco mniej rozumieć, a nawet może się ono wydać jakimś dziwnym i anachronicznym wariantem słów Marii Antoniny.

Będziem jedli, będziemy pili, będziemy się weselili

Powiedzenie, XIX wiek

Jak do rymu, to pewniejsze. Musi się udać. Tradycyjna mądrość tak to rymowo i rytmicznie skonstruowała i nie ma wyjścia, i tak będzie. Ten ludowy okrzyk spopularyzowała Maria Konopnicka w znanej wszystkim powieści *O krasnoludkach i sierotce Marysi*, gdzie chłopci w karczmie za pomocą ludowych instrumentów tak sobie ducha dodają. Chłopi i instrumenty gwarzą gwarą, stąd te krótkie formy czasowników, a naprawdę, w oryginale, była jeszcze liczba podwójna i zamiast ostatniego „będziemy” było „będziewa”, czego dzisiejszy język potoczny, w którym czasem można jeszcze to powiedzenie spotkać, już by chyba nie zniósł.

Nunc est bibendum! Teraz jest czas picia. Trzeba to zapowiedzieć, ogłosić. Jak się nie ogłosi, to po pierwsze, ludzi się do wspólnej ochoty nie zmobilizuje, po drugie, nikt nie będzie wiedział, co robimy, po trzecie, mniej odczuwając niewyrażoną werbalnie świadomość tego, co robimy, można stracić część smaku tego właśnie. Jedzenia, picia. I weselenia się też. Czy też weselenia się, samego przez się i z jedzenia, i picia. Mamy to wiedzieć, wtedy będzie, jak trzeba. A wiemy, jak powiemy.

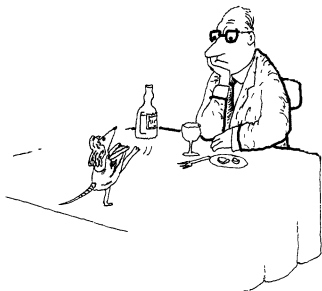
No, teraz sobie pojemy. I popiję. Będzie wesoło, myślę sobie i mówię. A razem – jeszcze lepiej. Pojemy sobie, popijemy. Niedokona-

nie lepsze, będziemy jedli i pili, czynność ważniejsza przecież niż efekt. I ten złożony czas przyszedł w ogóle abstrahuje od tego, co będzie potem. Będzie, co będzie, co ma być. Ale najpierw będziemy jedli i pili. I weselili się.

Lepiej powiedzieć to, zaśpiewać albo wykrzyknąć – anaforycznie powtarzając pierwszą osobę posiłkowego czasownika „być”. Będziemy jedli i pili jest za mało wyraziste i krócej trwa. I razem traktuje obie czynności, które smacznie sobie osobno wyobrazić możemy. Będziemy jedli, będziemy pili. I, oczywiście, będziemy się weselili.

Krótsza, archaiczna forma tego czasownika też smaku dodaje. Będziem! To lepsze bycie niż w „będziemy”.

Analityczny czas przyszły czasowników niedokonanych dopuszcza dwie możliwości: forma przyszła czasownika „być” z bezokolicznik-



kiem albo z formą czasu przeszłego głównego czasownika. Mogłoby być zatem: „będziem jeść, będziemy pić, będziemy się weselić”. Ale w takim bezokoliczniku jesteśmy jakoś mniej! Potrzebna jeszcze jedna forma osobowa, z zaznaczonym rodzajem, męskim oczywiście, a właściwie męskoosobowym, bo w liczbie mnogiej. Bardzo męskoosobowym, bardzo męskim i bardzo osobowym. Tak planować mogą jednak przede wszystkim konsumpcyjnie nastawieni mężczyźni. Chłopi. Oni czerpią taką uciechę z tego, co to robią, zwłaszcza kiedy chodzi o jedzenie i o picie. I o weselenie się, oczywiście, też – o weselenie się z jedzenia i z picia, i z weselenia się samego także.

A właściwie już z mówienia o tym, co to będzie.

Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

Hasło propagandowe polskich napoleonistów, 1812

Znamy to z *Pana Tadeusza*, Mickiewiczowi zawdzięczamy pozostanie tego hasła w naszej historii.

Zazwyczaj gdy mówimy, że X jest z Igremiem, na przykład Atanazy z Rochem, to temu pierwszemu przypisujemy rolę podrzędną. Roch ma ze sobą Atanazego, nie odwrotnie. Gdy wołam: „ja z tobą!”, to nie ciebie przywołuję do towarzystwa, to sam się wobec ciebie deklaram.

Z Bogiem jest inaczej. To nie ja z nim jestem, nie my jesteśmy – On ze mną, z nami *Gott mit uns Deus nobiscum* W powiedzeniach „z Bogiem!”, jakkolwiek można uznać je za dobrze życzące, brzmi czasem coś w rodzaju lekceważenia. „I z Bogiem!”. Bo to za łatwe, oczywiście, że jesteśmy z Bogiem. Ważne, żeby On nam sprzyjał, był z nami.

A czy jest z nami, czy nie jest, i kiedy jest, to często my sami ustalamy i deklaramy. To podobne do autorytatywnego stwierdzenia, że to Bóg tak chce. Oczywiście tak, jak my chcemy *Dieu le veut* było hasłem pierwszej wyprawy krzyżowej. Jest w tym głęboki sens: trzeba tak czynić, bo Bóg tak chce. A że chce, okaze się, gdy tak się stanie. Stanie się, bo tak chce, to jasne

Tu nie mówimy tak od razu, że Bóg jest z nami. Musimy dokonać pewnego zapośredniczenia. Gdyby był z nami, pewnie Kościusko

by tak nie przegrał. A przegrał. Więc na razie nie z nami, tylko z Napoleonem. I to widać, bo Napoleon wygrywa. Wygrywa, bo Bóg mu sprzyja.

Ale chcielibyśmy oczywiście, by Bóg i nam sprzyjał. Budujemy sobie sylogizm, którego pierwsza przesłanka właśnie została podana.

A z kim jest Napoleon? Ano z nami.

Brzmi to trochę jak „z przeniesienia”: Bóg z Napoleonem, tak jak Napoleon z Polakami. Jednokierunkowa zależność. Z góry na dół. Ale przecież w tej frazie jest inaczej niż w pierwszej. Tu nie powinna już działać „reguła Boga”. Gdybyśmy tę drugą frazę wypowiedzieli niezależnie, brzmiałaby zbyt dumnie. Naprawdę to jednak Polacy są z Napoleonem, nie Napoleon z nami.

Ale co to szkodzi tak powiedzieć, żeby można było Napoleona do polskich interesów dołączyć...

I w ten sposób, oczywiście, Bóg jest z nami. Tyle że jeśli Bóg jest z nami o tyle, o ile Napoleon jest z nami, to my powinniśmy być z Napoleonem. Kto z kim, to się tam potem wyjaśni, a jak my będziemy z Napoleonem, to tak jakby on był z nami, i wtedy Bóg...

Ta pierwsza przesłanka pewna. Bóg jest z Napoleonem. Zwycięstwa Napoleona to potwierdzają. Dobrze na początku dać coś niekwestionowanego, łatwiej wtedy o wiarygodność. Skomplikowane relacje nasze z Napoleonem są jeszcze w trakcie ustalania. To nie jest tak, że już jesteśmy, i na stałe. Do tego trzeba zachęcać. Ale jeśli będziemy, czyli i on z nami, Bóg będzie z nami też.

I o to chodzi. Bądźmy.

Bój się Boga!

Zakłęcie, wezwanie. Najogólniej: wzywa do opamiętania. „Co ty robisz, opamiętaj się, bój się Boga!”. Pytamy: „co ty, Boga się nie boisz?”. Strach przed Bogiem, inaczej: bojaźń boża, ma sprawić, że ten, komu tak mówimy, reflektuje się, przestaje robić to, co nas przeraża czy choćby wywołuje nasze potępienie. Albo że w ogóle nie zaczyna tego robić. Ale wtedy nie ma powodu do zaklęcia.

W polskiej literaturze lekkiej jest pewna postać, z którą ten okrzyk często wiążemy. To prowincjonalny urzędnik z dziewiętnastowiecznej farsy Dobrzańskiego *Zołnierz królowej Madagaskaru*, który sam siebie mityguje wołaniem „Mazurkiewicz, bój się Boga!”, postrzegłszy, jak łatwo w dużym mieście łamać wszystkie surowo ustanowione zakazy.

Kto się Boga boi, ten się nic nie boi, powtarzają pobożni ludzie, upatrując bezpieczeństwa w tej najlepszej odmianie własnej bojaźni.

Przywoływanie Najwyższego w błahych sytuacjach może nasuwać mniemanie o łamaniu drugiego boskiego przykazania. Wprawdzie zakazuje ono tylko daremnego wzywania bożego imienia, ale też „nadaremno” nie oznacza tutaj, że reakcja Pana Boga jest koniecznym warunkiem bezgrzeszności tego wzywania. „Nadaremno” znaczy tu raczej tyle, co „bez potrzeby”. Należy mieć zresztą na-

dzieję, że samo umieszczenie tego imienia w przykazaniu nie jest jego naruszeniem – zakładamy przecież, że w modlitwie to jednak nie na próżno, nienadaremno, nie bez potrzeby.

Na Boga powołujemy się bez przerwy, wciąż. Kiedyś na przykład w popularnym „dla Boga!”, co dało z czasem formę mniej przypominającą już o Bogu, czyli „dlaboga!”, potem łzawo ludowe, labidzące „laboga”, a z czasem, połączone z też emocjonalnie wzywającym „o”, już zupełnie bezbożne „olaboga”. Dziwiliśmy się, a raczej dziwowali, takimi wykrzyknikami, już o Bogu nie pamiętając. Ze to dla Niego, dla Boga.

W „bój się Boga” Bóg się nie zatarł, ale sam okrzyk mimo to nie grzeszy nadmierną powagą. W ważnych sprawach tak nikogo nie powściągamy, używamy tego zaklęcia raczej w sytuacjach mniej poważnych. Co ciekawe, dość często pojawia się tu element pozytywny, nutka zdziwionego podziwu. „No, bój się Boga, ale ci się udało!” – taki wyraz uznania językowo nie dziwi. „Bój się Boga, chłopie, co ty wyprawiasz!” – wołamy, często wcale w ten sposób nie potępiając, nie mitygując ani nie reflektując adresata. Przeciwnie, pełni uznania, wyrażając je nawet dość gwałtownie. „Bój się Boga!”.

Kiedy pan Mazurkiewicz próbował opamiętywać się tym zabawnie drugoosobowym okrzykiem, też słysząc w nim było szczególną ambiwalencję. Z jednej strony niekłamane przerażenie z rodzaju „co ja robię, co ja robię” – z drugiej jednak coraz wyraźniejszy cień figlarności. Bo wiedział, że woła, ale będzie robił nadal.

Bojąc się wciąż Boga, oczywiście.

Całuję rączki, padam do nóżek

Formuła grzecznościowa

Bardzo grzeczne powitania i pożegnania. Często osobno, często obok siebie. W tej zazwyczaj wtedy kolejności. Najpierw rączki, potem nóżki. To reguła ogólna. Najpierw ręka, potem noga. Ręka, noga, mózg na ścianie. Ręka rękę myje, noga nogę wspiera. Rączki całuję, do nóżek padam.

Pierwsze to opis, drugie raczej metafora. Mówimy tak my, mężczyźni. Rączki możemy istotnie całować, bywa, że całujemy. A nawet mówimy, że całujemy, i całujemy. Ale często się zdarza, że mówimy, że całujemy, zamiast całować. Obiecujemy tylko. W rzeczywistości oczywiście całujemy rączki niewiast, dam, mówimy o całowaniu czasem, zartobliwie, i do mężczyzn. Ponieważ naprawdę do żadnych nóżek wcale nie padamy, możemy mówić o padaniu do wszystkich nóżek, do nóżek wszystkich, niezależnie od płci.

Zdrobnienia mają być grzeczne, nawet grzeczniutkie. Mają wyrażać na przykład korne podporządkowanie, pełne szacunku. Ale, potraktowane odrobinę bardziej serio i nieco tylko mniej konwencjonalnie, mogą wywołać efekt odwrotny. Kiedy pielęgniarka w szpitalu mówi do mocno starszego pacjenta o jego rączkach, nóżkach, plecach i główce, to i on, i świadkowie tego czują pewną niestosowność. Czuje się, że to dlatego, że nie jest on dostatecznie poważnie

traktowany. Sam znoszę to z trudem, gdy o mnie chodzi. Wolę mieć części ciała niż cząstki ciała.

Ale rączki i nóżki nie drażnią specjalnie. U pań są, wiadomo, delikatne, u panów, trudno, konwencjonalnie zdrobnione. I stają się takimi po trosze przez te czynności, o których mowa: całowanie, padanie.

Padanie do nóg to stary zwyczaj, ten rodzaj wymaganego samoponiżenia gwarantował bezpieczeństwo od kaprysów monarchów i wielmożów. Pokora była konieczna zwłaszcza w wymiarze symbolicznym. Ja nisko, Ty, Panie, wysoko. Moja głowa na poziomie Twoich Nóg. Padam, prosząc, a nawet błagając, padam w poczuciu winy, padam, witając i zegnając, padam też na wszelki wypadek. Jestem sługa i podnózek. Tradycyjnie frazeologia grzeczności z pokorą bywa związana, wszystkie te czci i uwielbienia dają językowe formy etykiety nader skwapliwie i usłużnie.

Ale teraz takie formuły mają duży ładunek bezpośredniości. Trzeba być w bliskich kontaktach towarzyskich, żeby tak się wyrażać. I z całą pewnością nie może być oficjalnego stosunku znacznej podrzędności przy braku zżyłości, żeby padać i całować. Stało się to jakieś figlarne i dopuszczalne w bardzo nieformalnych kontaktach. A nawet, kto wie, może bardziej przystoi temu z dwóch, komu mniej przystoi całowanie, nie mówiąc już o padaniu, czyli temu, kto odrobinę wyżej...

Hipertrofia grzeczności, ujawniająca się w łada drzwiach czy przy częstowaniu, także się, nie sięga do rączek, a zwłaszcza do nówek. Obiecanki cacanki.

Cały naród buduje swoją stolicę

Hasło propagujące pomoc w odbudowie, Zdzisław Sachnowski, 1945

To było hasło SFOS. SFOS to był Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy. „Na Warszawę” zbierano pieniądze zewsząd. Potrzebne do tego było dobre, proste hasło. To hasło powstało, stało się popularne i pozostało dla kilku pokoleń jako ważne i znamienne dla całego okresu odbudowy.

Fundusz był „odbudowy”, a nie „budowy”, bo przecież Warszawę odbudowywano, nie budowano od nowa. Chociaż właściwie od nowa ją odbudowywano. W hasle trudno jednak byłoby umieścić taką skomplikowaną formę czasownikową jak „odbudowuje”. A tu nasuwało się jeszcze bardziej skomplikowane, podkreślające niedokonaną współczesność, choć niezbyt poprawne, „odbudowywuje”. „Buduje” było proste, sugestywne i, co ważne, budujące. Dla tych, którzy budowali.

„Budowanie” jest podniosłe, pełne metaforycznych możliwości. Dowartościowuje działanie. Ale z drugiej strony: jak to, stolica ma dopiero być budowana? Z odległej perspektywy, czy to przestrzeni, czy czasu, wydaje się to co najmniej dziwne. To wokół stolicy najczęściej organizuje naród swoją państwowość, a tu trzeba stolicę budować? To przecież znaczy, że jej nie ma.

Buduje ją cały naród. Ale to nie stwierdzenie, to apel. Nie informa-

cja, lecz wezwanie. W naszych prywatnych działaniach komunikacyjnych tryb oznajmujący bywa czasem używany do prośb, rad, apeli i zachęt, częściej jednak do instrukcji, poleceń i rozkazów. Dobrze pasuje tu czas przyszły: „zrobisz to i to”, „przyjdzie pan o szóstej”. Rzadziej pojawia się czas teraźniejszy: „pan siedzi spokojnie”, i mamy wtedy wrażenie, że po prostu „niech” nie zostało wypowiedziane.

Co innego w hasłach. Tam stwierdzenia, zwłaszcza deklaratywne, często służą za apele. „Jesteśmy z Wami” na transparencie bywa deklaracją, ale zwykle zachęcającą, pobudzającą. Tak jest szczególnie wtedy, gdy w imieniu tych, co z nimi, ci właśnie, z którymi oni, układają takie hasła. A to wcale nierzadka sytuacja. „Popieramy” w istocie piszą częściej popierani niż popierający.

Cały naród buduje. To i stwierdzenie, i deklaracja, i apel zarazem. W sytuacji wzmożonej aktywności różne akty komunikacyjne nie różnią się tak istotnie. „Raz, dwa, do roboty”, „podaj cegłę”, „budujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom”.



Hasło miało wielkie litery: „Cały Naród buduje swoją Stolicę”. Jasne, że stolica jest ważna, niektórzy do dziś mieliby ochotę pisać ją, jak i Ojczyznę, wielką literą. I Naród, oczywiście, zwłaszcza nasz. Aż chciałoby się, żeby i samo budowanie wielką literą uhonorować, a może i własny zaimek.

Najlepsze są hasła najprostsze, to hasło o budowaniu stolicy jest proste. Nie tak może proste, jak wpadające przez to niemal w cynizm „społeczeństwo sobie”, ale na pewno jasne, oczywiste, a zwłaszcza pobudzające. I nawet optymistyczne, choć budowanie sobie stolicy to dla Narodu rzadkość.

Chodźcie z nami

Hasło powtarzane później w manifestacjach solidarnościowych, grudzień 1970

Jeśli uznać to za hasło, to uniwersalne, ale sytuacyjne. Nie na mur, nie na transparenty. Oczywiście nie do mediów żadnych. Używane w manifestacjach, demonstracjach, pochodach, paradach. Tam, gdzie się chodzi.

Podczas manifestacji się manifestuje, podczas demonstracji demonstruje. Wydają się te działania podobnymi: i tu, i tu chodzi o pokazywanie. Manifestacje częściej chyba mogą być za, demonstracje przeciw, ale to nie reguła. Może jest jakaś bardziej formalna i podstawowa różnica, ale dla zwykłych manifestantów i demonstrantów chyba mało zauważalna. W obu chodzi o to, żeby pokazać, i chodzi się po to, żeby pokazać, bo chodzenie jest bardziej widoczne niż stanie.

Im więcej demonstrantów, tym demonstracja bardziej przekonująca. Okrzyki: „chodźcie z nami!”, mają przyciągnąć widzów, którzy już nie są niezyczliwi, bo patrzą, a z nami dadzą większą liczbę, może nawet tłum. I o to chodzi. A jednocześnie takie wołanie daje już demonstrującym inną formę aktywności, zaznaczenia demonstracji. I to uniwersalną, niezrażającą nikogo. Inne hasła mogą zrazić, to – nie. Wskazuje przy tym, że wartości i potrzeby, w imię których się idzie czy chodzi, mogą być wyznawane przez wielu, także

tych, którzy uważają się na razie za postronnych obserwatorów. Franc Fiszer, zobaczywszy z kawiarni kondukt, upewnił się, czy zmarły był porządnym człowiekiem, po czym zawołał: „zaczekajcie, płacę i idę!”. Dołączył się z wewnętrznej potrzeby, choć może trochę i dla zabawności aranżowanej przez siebie sytuacji. Wyobraźmy sobie, jakby wszyscy przechodnie reagowali pozytywnie na wezwanie do pójścia z demonstrantami...

Ten okrzyk, jak wiele krzyczanych haseł, ma specyficzny rytm joni-ku. W polszczyźnie mówionej iloczasiem nie ma zbyt wielu funkcji, długość sylab nie różnicuje znaczeń i rzadko bywa środkiem podkreślenia. W okrzykach inaczej. Tu następujące po sobie pary długich i krótkich sylab dają szczególny rytm, specyficzną wyrazistość. „Soooliii-darność!”. „Preeecz z kooo-muną!”. „Pooolskaaaa gola!”. W wielu innych okrzykach na różne tematy możemy to odnaleźć i samo się tak krzyczy. Krzycząc, trudno dawać akcenty przyciskowe: wszystkie sylaby są silne. A wydłużenie sylab pierwszych, przygotowujących do gwałtownego spadku w dwóch krótkich ostatnich, pozwala na zdynamizowanie okrzyku.

Do „chodźcie z nami” dodawano czasem przewrotne, w tym samym rytmie utrzymane „dziś nie biją”. I niechby spróbowali wtedy bić. Miało to ośmielać przechodniów i pokazywać zarazem, że myślą podobnie, więc poszliby, tylko perspektywa bicia ich powstrzymuje. A przeciwnicy, jeśli uciekliby się do brutalnej przemocy, pokazaliby tylko słabość argumentów i racji. A jeśli nie biją, to w ogóle są słabi. Możecie iść z nami.

A ten sam rytm trzymał później inny okrzyk, formalnie podobny, inny całkowicie treścią i nastrojem, autentyczny i zarliwy: „zostań z nami!”

Cholera by to wzięła

Przekleństwo

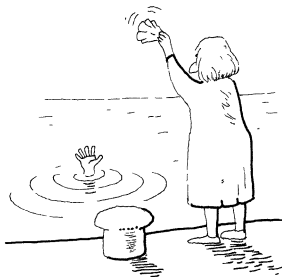
Właściwie to rodzaj marzenia, co z tego, że wyrażonego tak niegrzecznie, nieparlamentarnie. Partykuła „by”, właściwa trybowi warunkowemu, jak należałoby sądzić, pojawia się w różnych miejscach naszego mówienia. Lubi jakby niektóre spójniki, choćby „jak” czy „choć”, wzmacnia i wzbogaca pytania, jak w „czyzby?”, zawsze zresztą wymagając w zdaniu, w którym się pojawia, czasu przeszłego.

Mozna by mówić też o jej szczególnym, niemal trybowym, zastosowaniu przy bezokoliczniku. Gdy wzdychamy: „pojechać by gdzieś daleko...”, gdy oddalając się od twardej rzeczywistości, rzucamy mało realistycznie: „rzucić by to wszystko w diabły!”, to w istocie marzymy. To taki swoisty tryb marzący, *modus irrealis*, wyrażony przecież całkiem gramatycznie przez połączenie bezokolicznika czasownika nazywającego jakąś naszą pożądaną i nierealną czynność z cząstką „by”. Marzenie gramatyczne.

Przy „cholery” nie dajemy bezokolicznika, bo to nie o naszą, tylko o jej czynność chodzi. To cholera ma brać, nie my. Ale marzenie jest podobne, tak wzdychamy czy wołamy, gdy jesteśmy czymś zdenerwowani. Tym właśnie, co tak ochotczo i beznadziejnie oferujemy cholery.

To słowo w codziennym użytku zapomniało już o swoim związku z groźną i bardzo zaraźliwą chorobą. Samo słowo „choroba” było zaledwie eufemistycznym zastępnikiem tej emocjonalnie użytej nazwy konkretnej choroby, podobnie jak jeszcze bliższe fonetycznie „cholewa”. Kiedyś „cholera” to było słowo niezwykle częste w naszym życiu uczuciowym, za mojej młodości uchodziło za wyjątkowo mocne, pamiętam, jak zwracało uwagę wyrazistością bardzo towarzysko niewskazaną. Dziś ma coś z pocziwego archaizmu. Gdy ktoś choleruje, łatwo mu wybaczymy. Sam nie postrzegam nie stosowności, pisząc teraz o takiej cholercze.

Było to słowo samodzielne jako przeklinający wykrzyknik, nazywające jako rzeczownik (zwykle ludzi, zwanych też nie całą cholera, lecz jej kawałami), dawało początek innym wyrazom: cholernemu przymiotnikowi, cholernie przysłówkowo cholerującemu czasownikowi i cholera wie czemu. To ci cholera.



I, jak to często bywa, wszystkie te słowa mogły również wyrażać uznanie i podziw. Oczywiście cholerne uznanie. Ale to, cholera, piękne. To ci się, cholera jasna, udało. Bo cholera była często jasna, i do takiej właśnie, do jasnej cholery, odsyłaliśmy, przy tym w tym przypadku jednak raczej do cholery, w zdenerwowaniu i bez aprobaty – wręcz przeciwnie.

No i taka właśnie cholera miała brać. Czasem, kiedy mnie akurat cholera bierze, a bierze ona mnie podobnie jak biorą diabli, odsyłam do niej tego, tę czy to, kto czy co akurat stoi mi na zawadzie. Odsyłam warunkowo, raczej marząco niż życząco, bez specjalnej nadziei. Bo wiem, że, cholera jedna, nie weźmie.

Cholera by ją wzięła.

Cicha woda brzegi rwie

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

Ludwikowi Jerzemu Kernowi udało się rzadka rzecz: stare przysłowie zrobił takim szlagwortem, że przez dziesięciolecia dla wielu z nas cicha woda kojarzyła się z niezwykle popularną piosenką. W pierwszej wersji przysłowia zamiast „rwie” było zresztą „podrywa”, co w latach pięćdziesiątych minionego wieku mogłoby dodawać jeszcze więcej dwuznaczności, jeśli nie zgoła jednoznaczności, tylko że wtedy rytm by się psuł.

Kropla drąży skałę, co nas dziwi. Takie małe krople. Woda, taka cicha, a podrywa, rwie brzegi. Pewnie, że to wcale nie dlatego, że cicha. Wprawdzie Rosjanie mówią: *tisze jediesz, dalsze budiesz*, ale tu cichość nie wpływa na rwanie.

Wpływa na co innego: na postrzeganie. Chodzi o to, że to, co postrzegamy jako tak spokojne, że prawie tego nie postrzegamy, robi coś dużego i trwałego. Brzegi na przykład rwie.

Najczęściej mówimy tak i myślimy o ludziach. „Cicha woda” – mówimy – albo też „taka cicha woda”, i zobacz, co zrobił. Mamy nawet takie specjalne określenie, także z cichością związane, rzeczownik „ścichapęk”. Pochodzi on z wyrażenia „z cicha pęk”, o funkcji przysłówkowej lub przymiotnikowej. „On to zrobił z cicha pęk” znaczy, że nikt nie przewidywał, że to było znenacka, a on –

ten, co to zrobił – w ogóle nic wcześniej nie dał po sobie poznać. Jak tak parę razy zrobił, ale raz, ale spektakularnie, to i o nim możemy powiedzieć przymiotnikowo, że on jest taki z cicha pęk. I oczywiście „pęk”, nie, jak niektórzy chcą, „pękl”. Ten „pęk” to też nie kwiaty, tylko taka niby onomatopeja, wyraz naśladujący jakiś dźwięk, który, gdyby był, brzmiałby podobnie.

Woda brzegi podmywa, gdy cicha, może podrywa, ale rwie? To trochę za mocny czasownik, tak przez swoją krótkość, jak dźwięczność. Ten kontrast językowy, mający oddać, co nieoczekiwane, jest chyba za gwałtowny. Nie możemy się dziwić rwaniu przez cichą wodę, bo przecież rwanie widzimy od razu, musimy zobaczyć, jak woda rwie. Ale już w XVIII wieku tak było, nawet czasem z dodatkiem, że to właśnie cicha rwie najbardziej.

I o to właśnie chodzi. Żebyśmy wiedzieli, żebyśmy zdawali sobie sprawę, że po kimś cichym można się czasem wiele spodziewać. Że nie można sądzić po pozorach. To zresztą jasne, pozory właśnie na tym polegają, żeby oszukiwać, więc broń Boże sądzić po nich. On, patrzcie, taki cichy... Taki niby cichy...

No właśnie, zaczynamy myśleć na odwrót. Jak on taki cichy, to pewnie zaraz zacznie jakieś brzegi rwać. Tak bywa, że zbyt serio biorąc wskazania, przesadzamy w drugą stronę. Wnioskować z cichości nie mamy o nierwaniu, ale i o rwaniu w końcu trudno.

Cichy, to cichy.

Coca-cola to jest to!

Hasło reklamowe, Agnieszka Osiecka, 1971

Trudno o większą lapidarność przy nazwie produktu i trudno o większą sugestywność. Głównie dzięki temu podwójnemu „to”. „To” samo może być identyfikacyjnym łącznikiem: „ibis to ptak ponury”, ale może nim nie być, tylko występować przy łączniku „jest” – przed nim („ibis to jest ptak ponury”) lub po nim („ibis jest to ptak ponury”), współtworząc strukturę parafinicyjną, wzmagając obiektywizm i umożliwiając zastąpienie narzędnika („ibis jest ptakiem ponurym”) mianownikiem, co daje poczucie większej identyfikacji. A tu jeszcze po drugiej stronie definicji mamy do tego „to”. To nie to samo „to”, co pierwsze, ale w końcu podobne.

I dające możliwości wszelakich dobrych odczytań, które zwerbalizowane mogłyby razić dosłownością, komuś akurat przeszkadzać i przede wszystkim sprzyjać ewentualnym zaprzeczeniom. A jak zaprzeczyć, że coś jest „to”?

Mamy trochę wzorców uzupełnień: „to, co tygrysy lubią najbardziej” (z *Kubusia Puchatka* w tłumaczeniu Ireny Tuwim), „to, o co chodzi”, „to, co trzeba”, ale czujemy, że mimo wszystko one wszystkie jeszcze nie dają dostatecznych uogólnień. A „to jest to” daje. I nic dodać, nic ująć. Ująć nie można, dodać nie trzeba. Tak ująć to najlepiej.

A jeszcze do tego i rytm bardzo dla sloganu dobry, biegnący trochę (na przemian sylaba akcentowana i nieakcentowana, w tej kolejności), ale z akcentowanym, koncentrującym uwagę dodanym „to” na końcu, i aliteracja: zauważmy te akcentowane „o” w co drugiej sylabie.

To jest to.

Coca-cola była archetypem rzeczy pożądanej i podejrzanej, ideologicznie wrogiej i także dzięki temu kuszącej. Zartowano, że jest stonką w płynie, nawiązując do ulubionego zajęcia amerykańskich imperialistów, zsyłających te żarłoczne chrząszcze na nasze kartofliska.

A tu nagle się pojawiła i była, mogła być. Nie w całym kraju, dzielił on się wtedy na rejony coca-coli i pepsi-coli – o ile pamiętam, coca była na przykład w Warszawie i na Śląsku, a pepsi między innymi w Krakowie i na Podlasiu. Janusz Minkiewicz zaproponował dla pepsi-coli slogan: „Lepsi piją pepsi”, ale się nie przyjął – zabawa fonetyczno-ortograficzna była zbyt trudna w tym przypadku.

Slogan Osieckiej stał się wzorcem polskich sloganów, przebił przedwojennego, przytaczanego wciąż Wańkowiczowskiego lidera „Cukier krzepi”, pokazując możliwość reklamowej zabawy, luzu, w każdym razie dystansu. Pojawia się kapitalistyczna coca-cola i okazuje się, że i ona także jest dla socjalistycznego społeczeństwa. Pojawia się reklama komercyjna, rzecz sama w sobie obrzydliwa, ale patrzcie, może być swobodna i nawet zabawowo atrakcyjna.

Może to jeszcze nie to, ale już prawie.

Co dwie głowy, to nie jedna

Przysłowie, odnotował Jakub Górski, 1597

Już w XVI wieku głoszono wyższość dwóch głów nad jedną, jeszcze z piękną liczbą podwójną: „Rychlej sobie dwie poradzą głowie”, „Lepiej dwie głowie rozumieją niżli jedna”, ale ostateczną i do dziś powtarzaną postać przysłowie zyskało dopiero na początku ubiegłego wieku. Niektóre wersje mówiły zresztą o trzech głowach, zapewne w związku z doskonałością trójki, jakby dwie jeszcze niedostateczną miały przewagę nad jedną.

Sąd co się zowie banalny. Jeden to nie dwa, dwa to nie jeden, nie może być żadnych wątpliwości. Tu chodzi jednak o wniosek z tej oczywistej przesłanki: że mianowicie jeśli dwie głowy o czymś myślą, to więcej wymyślą. A z tego, że więcej, należy dalej wnioskować, że wymyślą mądrzej, porządniej, skuteczniej – w każdym razie lepiej. I stąd, z tego myślenia, wyniknie zapewne lepsze dalsze działanie.

Czasem może chodzić o to, że zbiór danych dostarczanych przez dwie głowy jest większy niż zbiór, który jest w posiadaniu jednej, czasem o większą słuszność wypadkowej myślenia dwóch głów nad jednym kierunkiem myślenia głowy jednej. W każdym razie dwugłowowość jest uznawana za lepszą przy myśleniu, radzeniu, szukaniu rozwiązań, podejmowaniu decyzji. Co dwie głowy uradzą, lepsze będzie od tego, co jedna.

Bo co głowa, to rozum. Takie powiedzenie już u Rzymian było znane i powtarzane. *Quot capita, tot sensus*. Różnymi się sposobami myślenia, doświadczeniem, wiedzą – i z tych różnic mogą być pożytki. Tylko czy tylko same pożytki? Terencusz, mówiąc *quot homines, tot sententiae*, czyli ile ludzi, tyle zdań, wskazywał, jak się здаje, i na wady sytuacji myślenia wieloma głowami. I nie sposób się nie zgodzić, że gdy głów jest wiele, o zgodę trudniej. Z wieloma głowami wiele też innych kłopotów bywa: Kaligula załował, i to podobno całkiem serio, że rzymski senat nie ma jednej głowy – tyle że jemu chodziło o lepsze możliwości łatwej dekapitacji. Ale też w tym przysłowiu nie chodzi o wiele głów, lecz dokładnie o dwie głowy. I do dwóch głów się to przysłowie stosuje, zazwy-



czaj wobec tej drugiej głowy, często nawet komplementując ją za to, że myśleć pomogła – jednocześnie jednak wskazując też, że to ona jest właśnie tą drugą głową, nie pierwszą. My byliśmy jedną głową, z nią są dwie. Ona pewnie w końcu doradziła, może i rozwiązanie znalazła – a my łaskawie przyznajemy, że co dwie, to nie jedna. My i tak pozostaniemy tą pierwszą.

Starożytni znajdowali najlepszy rodzaj myślenia w dialektyce. Do stawianej przez nas tezy potrzebna jest antyteza, najlepiej stawiana przez tego drugiego, potem dopiero możliwa jest wspólnie wysunięta synteza. Trudno być pojedynczo dialektycznym. Potrzebna opozycja, potrzebny ten drugi, ktoś, kto przedstawi swoje odmienne racje.

Ale i tak najlepiej, żeby się ze mną zgadzał.

Co ma być, to będzie

Powiedzenie

Postawa tak wyrażana to nie musi być od razu defetyzm. Przekonanie o tym, że to, co jest, musiało widocznie być, czego najlepszym dowodem jest to, że jest, przekonanie, że to, co musi później być, będzie, bo być musi, czasem nam pomaga. Musiało, musi albo miało, ma. Tak było przeznaczone i inaczej nie mogło być. I nie jest. Determinizm dobrze uzasadnia, daje poczucie mocnego osadzenia w rzeczywistości, w świecie. To, co będzie potem, jest określone tym, co było przedtem. Musiało tak być, miało tak być i potem było. Dawniej. Miało być i jest. Teraz. Miało być i będzie. Ma być i będzie. Później. Nie jestem pewien, ale może być chyba i tak, że to potem dopiero będzie miało być i jeszcze później będzie. Chociaż jak będzie miało być, to pewnie już ma być. I będzie, bo miało i ma. A ma, bo miało

W innym wariantcie: będzie to, co ma być. Zastanawiasz się, co będzie? To, co być ma. To jasne. Tak bardzo jasne, że możesz nawet zaryzykować i udać własne sprawstwo: „niech będzie, co ma być”. Ale to nie sprawcze „niech”, lecz inne całkiem, często wręcz rezygnacyjne. Niech już będzie, co ma być, trudno. I tak nie poradzę, to się godzę. Co się będę sprzeciwiał. Niech będzie. Jakbym nie powiedział, też nie byłoby inaczej, to co mam nie mówić. Powiem so-

bie, to będzie tak, że co prawda nie sprawiam, że będzie, ale ze się jakoś godzę, choćby całkiem niepotrzebną moją zgodą.

Cokolwiek będzie, będzie tak, jak ma. Będzie, już bądź co bądź ma być. Takie „bądź” jest formalnie rozkaznikiem, ale to formalne znaczenie się zatarło. „Bądź”, czyli „niech będzie”, to, co będzie. Ale jak mówimy „bądź co bądź”, to myślimy raczej o tym, że cokolwiek by było, to... Jest to, cokolwiek mówić, idiom językowy. Frazeologizm, bądź co bądź, więc może mieć zatarte znaczenie poszczególnych form słów na niego się składających.

Nie zawsze się godzimy na to, co jest. Wydaje nam się, że możemy sami zmieniać rzeczywistość. A jak sobie dodamy ducha hasłem w rodzaju: „tak dalej być nie może”, czy przynajmniej: „tak dalej być nie musi”, to zdaje się nam, że zmienić będzie łatwiej. Nie ma tu wprawdzie bezpośrednio o nas mowy, ale przecież każdy wie, że kiedy ktoś tak mówi, to ma na myśli siebie jako kogoś wpływającego, choćby potencjalnie, na kształt przyszłości. Co tu dużo gadać, to my sprawimy, że nie będzie dalej tak, jak jest. Tylko nie jesteśmy pewni, czy zmienimy ten świat, bo tak ma być, bo mamy zmienić, czy zmienimy też i to, co ma być i będzie inaczej, niż ma być. Teraz ma, ale potem nie będzie miało. Ale, choćby dla bezpieczeństwa prawdziwości wypowiedzianych sądów, możemy zrezygnować z myślenia o naszym udziale, choćby miał być tylko modalnie zamarkowany, i powiedzieć jak Ferdynand Kiepski: „tak dalej być nie będzie”.

„Jak tak dalej pójdzie, to nie wiem” – mówimy, gdy nie wiemy, co będzie, jak będzie dalej tak, jak jest. Prawdę mówiąc, nigdy nie wiemy naprawdę.

Wiemy tylko, że będzie to, co będzie. W końcu co było, to było.

Co ma wisieć, nie utonie

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

„Bogobojna trzódko moja, bądź spokojna: co ma wisieć, nie utonie” – tak „grzmiał jak piorun na ambonie” „ksiądz pleban, na odpuszcie, przeciw dziatkom i rozpucie” w pomieszczonej w *Kordianie* Słowackiego opowieści Grzegorza o Janku, co psom szył buty. I to miało uspokajać. Zwłaszcza tych, którzy skłonni są wierzyć w przeznaczenie. „Nie utonie, co ma wisieć” – to pierwsza wersja tego przysłowia, na początku mówiąca o tym, co się nie stanie, potem dopiero podająca przyczynę *ex praedestinatio*. Dziś wolimy najpierw mówić „co ma wisieć”, a więc o boskich planach, o wyższych zrzędzeniach, i stąd później wysnuwać wnioski, że to, co mogłoby się stać, gdyby tych planów nie było, stać się nijak nie może.

I nie stanie się, bo los, przeznaczenie, karma, kismet. „Nie będą tego jadły ryby, co mają jeść kruki”; „Kogo Pan Bóg ptakom obiecał, w tym ryby nie zagustują” – były i takie, bardziej konsumpcyjne, wersje tego operującego śmierciami, ale w sumie, jak się stąd okazuje, niepozbowionego pewnego dowcipnego rysu przysłowia.

Perspektywa zawisnięcia wydaje się mniej atrakcyjna niż utonięcia. Może dla przyszłego wisielca lepiej by było utonąć? I łatwiej, i bez hańby... Ale z kolei ta woda zbyt blisko .

Gdy mówimy o tym tonięciu i wiszeniu, możemy mieć głównie dwie rzeczy na myśli. Po pierwsze, jak ten ksiądz, pocieszenie. Wtedy myślimy czasem nawet o nas samych. „A, co tam, co ma wisieć, nie utonie” – dodajemy sobie otuchy w niebezpiecznych sytuacjach. Tym razem się upieczą. Po drugie: słuszną karę dla tych, których kara minąć nie powinna.

Gdy mowa tu o nas, to wiara w przeznaczenie, choćby tylko na takim przysłowiowym poziomie werbalizowana, daje nam wspierać poczucie braku nie tyle wpływu na dzieło się rzeczy, ile ponoszenia odpowiedzialności za niby dokonywane wybory. Co ma być, to będzie. Stanie się i tak to tylko, co się stać miało. Determinacja uwalnia nas od wolności, czego zalety widać szczególnie wtedy, gdy z wolnością mają się wiązać jakieś, nie wiadomo czy nie niepożądane, konsekwencje.

I jeszcze: nic się nam złego nie stanie.

Oczywiście, na razie – ale to właśnie teraz jest najważniejsze. Po-tem różnie być może, może będę wisiał – teraz wszelako nie utonę, i o to chodzi. Żeby nie utonąć. Teraz.

A gdy chodzi o tych, co zasłużoną powinni karę ponieść: pamiętajmy, że ich zawieszenie, choć jest odroczone, jest konieczne i nieuchronne. Niech się nie cieszą, że nie utonęli. Będzie im gorzej. Tylko dlatego na razie nie toną.

Chociaż jakoś długo.

Co się stało, to się nie odstanie

Przysłowie, odnotował Łukasz Górnicki, 1566

U Górnickiego, który cytuje króla Zygmunta Augusta, jest „odstać się nie może”, dziś wolimy mówić bez modalności, w czasie przyszłym z przeczeniem: „się nie odstanie”. Dawniej używano jeszcze, w tym samym sensie „... to się nie rozstanie”, dając czasownikowi „rozstać się” to samo znaczenie co „odstać się”. Te dwa przedrostki: „od” i „roz” konkurowały w wyrażaniu likwidacji stanów: „zawiązać”, „związać” – „odwiązać”, „rozwiązać”.

W tym przysłowiu „odstać się” (czy też „rozstać się”) ma znaczenie o tyle dziwaczne, że wyrażające czynność, której nie ma i której zresztą nie może być. Coś się mogło stać, ba, musiało, bo jeżeli się nie stało, to tego czegoś nie było, więc z tego, że to było, wnosić trzeba, że się stało. A jak już się stało, to nie może być, nie jest, tak, że się nie stało. Albo jakby tak. Wszystko idzie w jedną stronę i nie można tak zrobić, żeby nie wydarzyło się coś, co się wydarzyło. Tego się nie da. Można ewentualnie próbować podyskutować o tym, co się jeszcze nie stało, nawet jeśli jesteśmy zwolennikami sądu, że wszystko jest już w wielkiej księdze zapisane. Ale o przeszłości, czy była, dyskutować się żadną miarą nie da.

Więc to, że się coś stało, jest wystarczającą racją, żeby stwierdzić, że się odstać nie może. Nie po prostu przestać być, nie o to chodzi,

wiele jest rzeczy, które najpierw są, a potem ich nie ma, bo być przestały. Ale nie może być tak, że się nie stały, jeśli się już stały.

Czyli, po prostu, nad przeszłością władzy nie mamy. Możemy udawać, że nic się nie stało, nawet mamy takie powiedzenie. „Nie szkodzi, nic się nie stało”. Kiedy jesteśmy dokładni, mówimy „nic takiego”. Że niby nic takiego znowu, nic ważnego.

Takie powiedzenie o niemożliwości odstania się, czyli cofnięcia czasu, mogłoby się wiązać z przeświadczeniem o tym, że jeśli coś się już dokonało, to koniec i nie ma rady. Taka determinacja może być przykra, wręcz rozpaczliwa. I bywa. Mleko się rozlało i już do dzbanka nie wróci. Ale obok powiedzenia, że mleko się rozlało, mamy powiedzenie o bezsensowności płaczu nad tym rozlanym mlekiem. Nie ma co płakać.

Na szczęście w tym naszym, w ostateczności przecież raczej życzliwym ludziom i nawet optymistycznym mówieniu, to mówienie o niemożności odstawania się czegoś, co się już stało, odnosi się częściej do pogodnego pogodzenia się z tym, co się stało. Stało się i jeżeli się stało, to trudno, odstać się nie odstanie, ale w końcu nie musimy się tym tak bez przerwy przejmować. Nie odstanie się, to nie. Trzeba z tym żyć.

A z drugiej strony: może to i lepiej? Wprawdzie nie mówimy tak wtedy, gdy się cieszymy z zaszłości, ale co by to było, jakby tak wszystko można było cofać?

Jakby się odstawiało?

Coś tu nie gra

Powiedzenie

Czyli: nie wszystko gra. Nie jest tak, że możemy pomyśleć „wszystko gra”, i tak powiedzieć. Jest coś w tej sytuacji, co też powinno grać, a nie gra. To jest „coś”, a więc nie bardzo wiem co albo jeśli nawet wiem, to nie bardzo chcę powiedzieć. Jakieś coś, nieokreślone. Ale tu, w tym miejscu, o które chodzi.

Dobrze jest, kiedy wszystko gra. Nie zawsze sobie to uświadamiamy, jeśli wszystko gra, bo nie ma co o tym myśleć, nie ma co zwracać na to uwagi. Dopiero jak ktoś zapyta, czy wszystko gra, sprawdzamy i odpowiadamy, że tak, że wszystko gra. Albo nie sprawdzamy zbyt dokładnie i optymistycznie tak samo odpowiadamy. Żeby się nie niepokoił, ten ktoś. Wszystko gra.

Gra, czyli pasuje, jest tak, jak powinno być, dobrze. Muzyczna metafora jest tu trafna, harmonijne funkcjonowanie elementów jest jak muzyka. Czasem nawet mówimy, a raczej mówiliśmy „i gra muzyka”, gdy chcieliśmy wyrazić satysfakcję z przebiegu zdarzeń, naszych zdarzeń. A sto lat temu, po 1906 roku, kiedy wprowadzono do lokali rozrywkowych i gastronomicznych urządzenia samogrające, nazywane grającymi szafami, zaczęliśmy mówić i mówiliśmy dość długo także: „szafa gra”, określając mianem szafy to wszystko, o co w danym momencie chodziło i co, ku

naszemu zadowoleniu, a nawet wypowiedanej bezpośrednio i swobodnie radości, grało.

Tak było, gdy było dobrze. Ale jeżeli poczuliśmy jakiś zgrzyt w rzeczywistości, która nas interesowała, myśleliśmy i mówiliśmy, a nawet myślimy i mówimy po dziś dzień, że coś tu nie gra. Coś nie pasuje. Właściwie metafora byłaby trafniej zastosowana, gdybyśmy mówili, że coś tu gra źle, fałszywie, że fałszuje. Ale wybieramy wariant łagodniejszy: coś przestało grać, czegoś nie słyszać. To takie ogólne, trudne nieraz do wyrażenia, a może i spostrzeżenia, coś, podobne do tego czegoś, o czym bardziej pozytywnie zdarza nam się mówić, że w czymś jest albo że jest na rzeczy. Nie wiadomo, co to takiego, to coś, ale wiadomo, że coś. Takie lepsze coś jest w czymś, czyli w tym, coś w tym jest, w tym, o co chodzi. W środku. To coś, co nie gra, jest zazwyczaj w wyznaczonej mówieniem przestrzeni. Jest nie w czymś, tylko tu. Bo, oczywiście, nie tam.

Kiedy jest całkiem źle, zdarza nam się mówić, że nic nie gra. „Nic tu nie gra”, „jakoś nic nie może zagrać”, funkcjonować właściwie, tak jak należy. Nic do niczego nie pasuje. Rzecz jasna przesadzamy, bo używając wielkich kwantyfikatorów, jak „zawsze”, „nigdy”, „wszędzie”, „nigdzie”, „wszystko”, „nic”, przesadzamy, więc teraz też, jak zawsze, nic na to nie poradzimy. Wiemy zresztą skądinąd, że nigdy nie jest tak, żeby wszystko albo nic.

A jak mówimy, że coś – jesteśmy bezpieczniejsi. Na pewno łatwiej wtedy o prawdę, taką dosłowną też. Cokolwiek by to było, coś w tym jest. Coś, co gra lub nie gra. Kiedy wszystko gra, może nie wszystko wiemy o tym wszystkim.

A jak coś nie gra, wiemy, choć nie musimy wiedzieć, co. Coś w tym jest

Co złego, to nie my

Formuła pożegnania

Czy w ogóle było coś złego? Czy coś się stało, czy jest coś takiego, co nie było pożądane, wskazane, oczekiwane?

Może i nie było, zapewne nie było, bo gdyby było, wiedzielibyśmy, co to takiego, zauwazylibyśmy przecież. A ta formuła wydaje się warunkowa: „jeśli coś było złe...”. No, ale może to się okazać później, może wy to zauwazycie albo nawet zauwazyliście, tylko grzecznie zmilczeliście... Więc może było.

I dlatego, na wszelki wypadek, gdyby coś takiego miało miejsce, to wiedźcie, że to nie my byliśmy sprawcami ani przyczynami tego złego. Nie obarczajcie nas tym, nie poczuwamy się. Nie mieliśmy z tym nic wspólnego, jeśli nawet to było, a przecież raczej nie było.

Chyba że może jednak, bo przecież gdyby naprawdę nic nie było, to nie uważalibyśmy za stosowne wspominać o tym. I może jednak coś wspólnego z tym mieliśmy, ponieważ cała ta formuła przypomina nieco hipotetyczne przeprosiny. Bo może my jesteśmy całkiem w porządku, a wam coś przyjdzie do głowy.

W każdym razie to nie my. „To nie ja!”, „To nie my!”. To utrwalone formuły wypierania się. Owszem, wiem, że coś było, ale to nie ja jestem winien. „Więc ja się przysięgam, być może to Stefan, lecz w każdym bądź razie nie ja” – jak mówiła dawna zabawna piosen-

ka. Nie odnoście tego do mnie, do nas. Jeśli ktokolwiek, to nie my. „To nie my” tworzy homonimiczną parę z pierwszą osobą liczby mnogiej czasownika „tonąć”. Ta forma z kolei bywa alarmującym okrzykiem lub metaforycznie ujętym sformułowaniem informacji o poważnym zagrożeniu. Żle się dzieje. Koniec z nami. Toniemy, proszę państwa. Ale kiedy sytuacja jest tak poważna, zawsze można szukać ratunku w dezidentyfikacji. Może nawet sytuacja jest dramatyczna i ostateczna, ale czy rzeczywiście to o nas chodzi? Czy nie może być tak, że jeśli już naprawdę trzeba ginąć, to możemy uznać, że nie nas to dotyczy, tylko kogoś innego? Ze to nie my?

Ze, krótko mówiąc, może i toniemy, ale to nie my?

Ale za daleko zasłiśmy. Wcale nie toniemy, sytuacja jest znakomita, nic złego się nie stało, no, może coś tam, ale to nic godnego uwagi, a w każdym razie nazwania. I jeśli się nawet zdarzyło, nie przyjmujemy na siebie żadnej odpowiedzialności.

Co złego, to nie my. To zapewne ktoś inny. Nie mówimy, że wy, byłoby to w końcu niegrzeczne, ale jeśli nie my, to kto? Mówimy tak przecież na pożegnanie do tych was, z którymi się zegnamy, których najczęściej jako gospodarzy zostawiamy, wychodząc jako goście. I sami zapobiegliwie likwidujemy wasze ewentualne zło o nas pomyślenia, bo jeśli coś złego, to nie my, ale przecież w ten sposób przywołujemy myśl o tym, że coś złego mogłoby się było stać. A po cóż by mówić o tym, gdyby tego nie było?

Jeśli nawet nic złego nie było, to samo takie mówienie za dobre nie jest.

Cukier krzepi

Hasło reklamowe, Melchior Wańkowicz, 1931



To było hasło ułożone na zamówienie Związku Cukrowników Polskich. Wańkowicz wiedział, że najlepsze tu będzie połączenie cukru z jakimś czasownikiem. Najpierw próbował z innymi, na przykład „posiła”, ale nie wychodziło. „Krzepi” okazało się najlepsze. Jędrne, zachowujące pobudzający rytm trocheju, nieco archaiczne. Przypominające Sienkiewiczowskie „pokrzepienie serc”, ku któremu pisał on „w niemałym trudzie” Trylogię

I w ogóle.

Pokolenie powojenne, z reklamą nieobyte, slogan ten znało z drugiej ręki, z opowieści lub z umieszczonego w wypisach wiersza komunistycznego poety Edwarda Szymańskiego, który ponurą rzeczywistość sanacyjnej nędzy wiązał z obłudnie optymistycznym, oblepiającym wszystkie ściany Wańkowiczowskim sloganem. Co sprawiało, że do reklamy w ogóle, a zwłaszcza do jej haseł, mieliśmy mieć stosunek jeszcze bardziej wrogi. Dopiero potem się okazało, że było to niesłuszne, i rzuciliśmy się w reklamę z radosną ochotą, przypominając sobie jej przedwojenne osiągnięcia.

Przede wszystkim ten krzepiący cukier. Az do czasu sloganu Osiekiej, reklamującego coca-colę, uchodził on za polski ideał krótkiej perswazyjnej, a przy tym artystycznej, formy. Opowiadano o fortu-

nie, którą miał zarobić na nim autor, dodając jeszcze jeden wymiar skuteczności działania przekazu, co w końcu także było niepodważalnym kryterium kunsztu językowego i jakości tekstu. Choć dla niektórych był za krótki. Dodawali: „wódka lepiej”.

Jak się zdaje, działa tu szczególna zasada. Wśród wielu przyciągających, atrakcyjnych, także perswazyjnie, cech możemy umieścić słodycz i moc. Cecha pierwsza uruchamia cały zbiór konotacji, związanych jakoś z pierwiastkiem kobiecym. Piękno, delikatność, wdzięk, miłość i takie tam różne mniej lub bardziej babskie fidrygałki. Cud miód. Cukier i lukier. „Z gniazdek swych wdzięcznie cukrują kanary” – jak skądinąd słusznie pisał Stanisław Herakliusz Lubomirski.

A druga cecha jest jak najbardziej męska. Siła i wytrwałość, odwaga i zdecydowanie, i różne tam mniej lub bardziej chłopskie popisy wiążą się z tym, co krzepkie. Czasem praśnię, czasem narodowo.

Obie te cechy, połączone, dają nową jakość. Ta do pewnego stopnia dialektycznie androginiczna jedność cech musi się podobać,



a może wyzwalać przeświadczenie o głębokim powiązaniu wszelkich zjawisk. Ze słodczy krzepa. Do krzepkości przez słodkości. I czujemy, wiedząc coś o przemianie materii, że to jeszcze do tego wszystkiego łatwo przyswajalna prawda biologiczna. Tak jest, cukier daje siłę.

Cukier nas krzepił, ale i slogan też. Krzepiące jest w ogóle myślenie o czymś krzepiącym, a samo myślenie o cukrze sprawia, że robi się nam słodko.

Cukrownicy byli słodko pokrzepieni.

Cyganka prawdę ci powie

Formuła zagadnięcia

Są przeszkody, by uznać, że ta obietnica świadczy o głębokiej znajomości ludzkiej psychiki ze strony Cyganki. Cyganka jawi się przecież jako stara i mądra, znająca różne tajemnice, a tu nie bierze pod uwagę, że znaczna część tak zagadywanych potencjalnych klientów może się wystraszyć. W końcu, słysząc „powiedzieć ci całą prawdę?”, raczej rzadko spodziewamy się usłyszenia samych tylko przyjemnych rzeczy.

Ale Cyganka ma być bardziej wiarygodna niż sympatyczna. Czy się nam to podoba, czy nie, powie prawdę. A czego ma ona dotyczyć, ta prawda? Nas, oczywiście. To o nas samych czegoś się dowiemy. Znaczna część tego czegoś ma na celu uwiarygodnienie. Dowiadujemy się więc tego, co i tak wiemy, a raczej tego, że Cyganka wie coś o nas, choć przecież nie powinna. To najczęściej mieszanka oczywistości z tym, co trudne do weryfikacji, ale może być nam przez nas samych też jakoś przypisane. Tym, co nie tyle jest prawdą, ile nie jest nieprawdą. A potem dopiero dowiemy się tego, co najistotniejsze: tego, co będzie.

Czy Cyganka naprawdę powie prawdę? Czy może ją powiedzieć? Czy zdania o przyszłości w ogóle mogą być prawdziwe lub

falszywe? Jeśli we wtorek powiem, że następnego dnia będzie środa, zdaje się mówić prawdę, ale czy mówię w istocie coś innego niż to, że dzisiaj, czyli w dniu, w którym to mówię, jest wtorek? Prawda przyszłości jest tak względna, że skłonni jesteśmy nawet zdania wprost o niej mówiące traktować jako zdania o prawdziwości zamiarów, przesłanek czy predyspozycji. „Prawda, że jutro jadę” to zdanie o rzetelności zamiarów i przewidywań; „prawda, że umrę” – o konieczności biologicznej jak najbardziej teraźniejszej, niestety. Przyszłości nie ma, jak mówić o niej prawdę?

Wróżąca wróżka zna układy determinujące zdarzenia, nie przyszłość. Jej wiedza jest magiczna, nie do racjonalizacji. Jest Cyganką, co czyni ją wiarygodną, zresztą dość paradoksalnie, w zestawieniu ze stereotypowo przypisywaną Cyganom znaczną labilnością etyczną. Co jak co, ale czy Cyganie uchodzą za szczególnie uczciwych? A tu proszę: to, że Cyganka, ma sprawić, że bardziej uwierzę. I ta cygańskość, choć przecież widoczna, jest eksplicytnie w zaczepce zaznaczona. Cyganka mówi, że Cyganka, oczywiście o sobie, ale trochę i nie o sobie, poniekąd jak o kimś, kogo ja widzę – tak, jak ja widzę.

Ale tu może chodzić też o tę trzecią osobę. Ja mogłabym oszukać, ale to powie ci ona, Cyganka. Pewnie, to ja mówię, Cyganka, ale jak powiem o sobie w trzeciej osobie, zabrzmiałoby to prawdziwiej. Pamiętamy, tak do nas mówiono, gdy byliśmy dziećmi. Mama mówiła: „mama zaraz nakarmi”. Słusznie wierzyliśmy.

Cyganka mówi o tej najbliższej przyszłości: mówi, że Cyganka powie prawdę. Czy to prawda? Czy Cyganka mówi prawdę?

Może dowiemy się, jak powie.

Czas na zmiany

Hasło wyborcze Porozumienia Centrum, 1993

To jedno z haseł całej wielkiej rodziny, a właściwie dwóch rodzin haseł. Jedna z rodzin to hasła „czasowe”, wskazujące na czas teraźniejszy wyróżniony, druga – to hasła „zmiany”.

Te pierwsze wychodzą z założenia, że każde zdarzenie ma swój, sobie właściwy czas – jak wiadomo, pierwszy o takim czasie mówił Eklezjasta. I odkrywają, że teraz właśnie ten czas nadszedł. Wykorzystuje to obficie reklama: „czas na colgate”, „czas na EB”, „pora na Polar”, usiłując wywołać u odbiorców silne poczucie potrzeby związane z poczuciem szczególnej pory, a ponieważ zakłada się słusznie, że tym przywoływanym czasem musi być terazniejszy, aktywizacja odbiorcy ma następować zawsze przy okazji kontaktu z tym hasłem. Istotnie, może właśnie pora na małe piwo. Zawsze jest teraz, więc zawsze jest pora. Bywa i odwrotnie.

Hasła zmiany odwołują się do tego w nas, który, do zmian dążąc, mniej baczny na potrzebę bezpieczeństwa, jakie zdaje się warunkować stabilizacja. „Dość tego wreszcie”, „trzeba z tym skończyć”, „tak dalej być nie może”, „tak dalej być nie musi”, „zmiany są konieczne”. Ile razy wypowiadamy, ile razy słyszymy te i podobne zdania! Niektóre z nich bywają zupełnie udanymi hasłami całkiem

różnych ugrupowań. Zwykle w czasie kampanii należących do opozycji politycznej.

Trzeba coś zmienić, najlepiej wszystko, i to właśnie teraz. Teraz przyszedł czas na zmiany. Najbardziej rozpowszechniony wariant tego sloganu politycznego używanego w tej kampanii przez to ugrupowanie był rozszerzony o wołacz na początku, wołacz „Polsko”. To do Polski całej się zwracano, do niej – przez wyborców, a formalnie do wyborców – przez nią. To Polsce są te zmiany potrzebne i na nie właśnie jest teraz akurat czas.

Dlaczego właśnie teraz? A właściwie dlaczego nie? Może był i dawniej, ale ich nie było, tych zmian, a teraz to już czas ostateczny. A poza tym: jeżeli nie teraz, to kiedy?

Kto te zmiany ma wprowadzić? Oczywiście my, którzy do nich nawołujemy, którzy ich potrzebę, a właściwie konieczność, widzimy i którzy ją wam, Polsce, wskazujemy. I, co oczywiste, jeśli nie my, to kto?

Te dwa pytania – o właściwy czas działania i o jego podmiot – upowszechniły się w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a dla wielu kojarzą się z Gorbaczowem i rosyjską pierestrojką. Ale mają genezę odległą, pojawiły się ponoć razem już w Talmudzie. „Jeśli nie teraz, to kiedy” – pytamy wciąż, od dawna. Jest to nawet w jednej z komedii Arystofanesa.

Tu mamy odpowiedź. Zmiany są, to widać, konieczne, tak dalej być przecież nie może. I teraz właśnie jest czas na te zmiany, i my ich dokonamy. My, Polsko.

Hasło jest do wykorzystania jeszcze w wielu kampaniach.

Czuj się jak u siebie

Formuła zaproszenia

Tak serdecznie zapraszamy gości. Nie będzie u siebie oczywiście, będzie u nas, ale niech się czuje tak, jak się zwykł czuć u siebie. Nie zawsze wiemy, jak się czuje u siebie, jest możliwe, że nieszczególnie, ale zakładamy, że tam czuje się dobrze i że chciałby się tak czuć wszędzie.

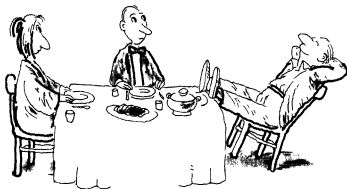
Przed wszystkim mamy na myśli swobodę. Zapewne w swoim domu czuje się on swobodnie, to i u nas tak powinien. Jasne, on wie, że pełnej swobody mieć u nas nie może, ale w końcu nie chodzi o to, żeby się czuł u siebie w domu, tylko żeby się czuł tak, jak tam się czuje. W końcu wie, że u siebie mimo wszystko nie jest. Ze zjechał tu jako gość.

To chyba niemożliwe nakłonić kogoś, żeby się jakoś czuł. Owszem, to jego czucie, poczucie, samopoczucie, ale sami czujemy, że na samopoczucie wpływu nie mamy. Rozumiemy więc – i ci, co tak mówią, i ci, do których tak się mówi – że to nie może być polecenie ani nawet prośba, a i rada też nie. Tej rozkaznikowej w końcu formie najbliższe jest do pozwolenia, zgody, ale i to nie jest prawdopodobne. Trochę to podobne do życzenia zdrowia, które to życzenie nie jest z założenia sprawcze. „Bądź zdrow” jest jakoś przekładalne na „czuj się dobrze”.

Ale w życzeniu zdrowia chodzi o realny stan organizmu, nie o zwodne przecież samopoczucie. Tutaj zaś odnosimy się do sfery nie tyle realności, ile wyobrażeń, poczucia. Prawda, poczucie też jest jakąś realnością, i to czasami bardzo ważną. Do tego jednak w większym stopniu może od nas zależeć niż samo zdrowie na przykład. Więc może jest sens, by go życzyć...

To jednak gościnna konwencja gospodarza, takie wezwanie. Ograniczone podwójnym zabezpieczeniem. Nie będziesz u siebie, nie będziesz też jak u siebie, nie masz nawet czuć się u siebie. Chodzi tylko o czucie tak, jak. Ale i tak to grzeczne. Pewnie bardziej grzeczne dlatego, że konwencjonalne i takiej drobiazgowej analizie nie podlega. Zwykle mamy za złe grzecznym formułom, że ich wypowiedanie to tylko rytuały. Ale czasem właśnie ich rytualność ratuje je przed dociekaniem intencji.

Gość w dom, Bóg w dom. Czym chata bogata. Czuć się jak u siebie. Staropolska gościnność zobowiązuje i choćby tam nie wiem co, ugościć gościa trzeba. „Brama na wciąż otwarta przechodniom



ogłasza, że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza". „Gościu, siądź pod moim liściem”.

Tu przynajmniej nie mówi się gościowi, że jest gościem. Przeciwnie, paradoksalnie grzecznie sugeruje mu się, że powinien się czuć nie jak gość, tylko jak gospodarz, bo przecież to gospodarz jest kimś, kto jest u siebie. Jesteśmy wobec gości bardzo grzeczni, nie tylko dlatego, że wiemy, że powinniśmy, ale jak jesteśmy wyjątkowo grzeczni, to prosimy, żeby nie czuli się oni jak ci, wobec których mamy obowiązek gościnności.

Może sami sobie tego życzymy.

Czym chata bogata, tym rada

Formuła zaproszenia, odnotował Ignacy Chodźko, 1840

Mowa tu o bogactwie, ale w istocie to formuła skromności. O swojej chacie nie mówi się tu, że bogata, naprawdę wręcz przeciwnie. Ta warunkowość zdania wskazuje tylko na to, że cokolwiek ma, tym się podzieli. I wybaczenie, że to tak niewiele. Co mam, to dam. Co moje, to i twoje. Chata moja może i chata, ale wszystkim, co w tej chacie, się podzielę.

Formuły gościnności polegają na standardowym i rutynowym gospodarskim przypisywaniu sobie skromnych zasobów i możliwości. Są zaś stosowane przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, wtedy, gdy rzeczywistość tej skromności przeczy, gdy stoły uginają się pod zastawą i potrawami. Albo, w ostateczności, kiedy tak właśnie zdaje się gospodarzowi, w ten tradycyjny, staropolski sposób oczekującemu komplementów i zachwytów, choćby niekoniecznie wyrażonych otwarcie

Mamy tu zatem ciekawą podwójną pozorność: „bogata” wcale się do bogactwa nie ma odnosić, ale... w gruncie rzeczy właśnie ma. Trochę to ma być autoironiczne, trochę prowokacyjne...

A w istocie jest konwencjonalne. Odeszło od choćby najciekawszych przewrotnych znaczeń, żeby stać się niemal odruchowym, naturalnym tak bardzo, że w zasadzie niezauważalnym językowo, zapro-

szeniem do stołu. Kiedy proste „zapraszam” jest za proste, mamy na podorędziu tę bogatą chatę.

Chata jest rada, rada tym, co ma. Ten osobliwy przymiotnik występuje raczej w orzeczniku niż w przydawce. Trudno powiedzieć o chacie, nawet gdy jest rada, „rada chata”. To „jest” nie musi się w zdaniu koniecznie pojawić, w tym powiedzeniu też go zresztą nie ma, ale możemy je łatwo wprowadzić. Bo wiadomo, że chodzi o to, że czym chata jest bogata, tym jest rada. Tak bardzo wiadomo, że można to odrobinę zdetrywializować brakiem tego „jest”. Chata rada. Tym, czym bogata. A gdyby to był rodzaj męski, gdyby zamiast chaty był na przykład chwat, przymiotnik byłby jeszcze dziwniejszy, bo mógłby być tylko w krótkiej formie „rad chwat”. Proste formy przymiotnika, jak „wesół” czy „pełen”, są rzadkie i zawsze mają też wersję długą, złożoną: wesół może być wesoly, a pełen pełny (tu wersja nie dłuższa, ale złożona owszem). Wyjątkiem jest „rad”: chwat może być tylko rad, nie rady. Nie może być rady chwat.

Chata jest rada jak człowiek, po ludzku. Personalizujemy ją, to często się robi z domami, pałacami, chałupami. Chata to ludzie, to oni są radzi. Całe domostwo się cieszy, wszyscy domowi. Szczęśliwi są z powodu gościa, radzi gościowi, ale tu specyficznie, mianowicie czymś z rzadka i tylko po staropolsku szczęście, radość (to rzeczownik od przymiotnika „rad”) posługuje się czymś tak narzędnikowo wyrażonym. Jestem, owszem, rad komuś, ale czy mogę być rad czymś? I czym na przykład? Trudno użyć tu jakiegokolwiek rzeczownika. Rad chlebem? Solą rad? Dziwne by to było.

Ale zaimek ma przewagę. Tym, czym chata bogata, mogę. Chata może.

Diabli nadali

Przekleństwo

Diabli częściej biorą, niż dają, a nadawanie przecież ma odnosić się do jakiegoś dawania. Wśród znaczeń czasownika „nadać” mamy dawanie czegoś tak specyficznego, jak nazwa czy imię, wysyłanie czegoś na odległość, na przykład przesyłki, a gdy „nadać” jest z „się”, to i pasowanie, odpowiadanie. Mamy także i coś w rodzaju nastroczenia, nadarzania się, trafiań. Nastrocza częściej ktoś coś, nadarza się coś samo. I to zwykle coś dobrego, jak na przykład okazja czy sposobność. Trafiają się nam różne rzeczy, złe i dobre, ale przytrafiają już raczej takie, których niespecjalnie pożądamy.

Kiedy coś nam wypada dość nieoczekiwanie i niezbyt przyjemnie, jeśli to przeszkadza lub może przeszkodzić w naszych planach, zdarza się nam mówić o nadawaniu tego przez siły nieczyste. Jacyś szatani pewnie byli tu czynni, że zdarzyło mi się to właśnie. Diabli nadają, jak anieli zsyłają.

Diabeł w liczbie mnogiej może być mniej lub bardziej gramatycznie osobowy. Diabły są jak zwierzęta: były złe. Ale bywają i diabli, ci są jak ludzie: byli źli. Ci, co nadali, byli z pewnością ludzcy – nie możemy powiedzieć, że diabły coś nadały. Podobnie ludzcy są ci diabli, którzy mnie biorą, ale w Loudun z kolei były, jak pamiętamy, uwierzone diabły.

Ludscy czy zwierzęce, nie darzą człowieka zbytnią życzliwością. Jak coś robią, to nam wbrew. Przeszkadzają, dokuczają, męczą. Zanim zaczną dręczyć już całkiem serio, w piekle, drażnią się z nami mniej poważnie na ziemi. Między innymi podsuwając różne rzeczy, czasem zresztą całkiem przyjemne, atrakcyjne, kuszące, żeby nas na złą drogę sprowadzić, czasem fatalne, żebyśmy gorzej się poczuli. A czasami wszystko jedno jakie, byle tylko pokrzyżować zamiary. Wtedy właśnie nadają.

Przywołujemy diabła często, choć nie zawsze to robimy bezpośrednio po imieniu. Czasem go złym nazwiemy, czasem podobnym do tego lichem, czasem jeszcze bardziej wykrętnie, nawet liczbą, jak sześć. Sześcioliterowe: diabeł, diabli (i diabły, a jakże) i piekło – przypominają apokaliptyczną wizję świętego Jana, który numerem szatana (też sześć liter) uczynił trzy szóstki. My potem tę szóstkę eufemistycznie, z trwogi przed obciążoną tabu nazwą, stosowaliśmy i jeszcze czasem stosujemy w „pal to sześć”, co stanowi deklarację bardziej lekkiego wazenia czegoś. A niech tam, wszystko jedno, pal sześć. Nazwa nieprawdziwa, to i sprawa niewarta zastanawiania. Tu trochę inaczej. Ci diabli, co właśnie nadali nam, bo najczęściej to o nas samych chodzi, nazwani są imieniem pełnym, właściwym. Dokuczyli nam. A my, po trosze odreagowując, wypominamy im to. Ale w istocie to przeklinamy, co nadane, niekoniecznie wierząc w interwencję nadprzyrodzonych sił. Diabli nadali gości, kiedy przeszkadzają nam w tym, co bez nich byłoby i miało być, diabli nadali złego sąsiada. Mogliby ich z powrotem wziąć, byłoby lepiej.

Do biegu gotowi, start!

Komenda sportowa, pierwsza połowa XX wieku

Ta komenda ma trzy wersje, choć komendy powinny być jednolite, jednoznaczne i niezmiennie. Powinny takimi być, ponieważ są przecież sygnałami, które mają wywoływać odruchowe reakcje. Będzie – reakcja, takie behawiorystyczne następstwo działa w wojsku i w sporcie. Tam, gdzie liczy się tempo i reaktywność.

Ale ta ma trzy wersje, do pewnego stopnia pokoleniowe. Najpierw, w międzywojennym okresie, wołało się: „do biegu gotowi, hop!“. W moim powojennym pokoleniu słyszeliśmy: „do startu gotowi, hop!“. Dziś dominuje „do biegu gotowi, start!“.

Komendy najczęściej są dwudzielne. Zapowiedź i właściwa komenda. Ta zapowiedź bywa wydłużana, żeby można się było przygotować do tego, co trzeba tak szybko i sprawnie wykonać. „Na lewooo – patrz!“, „prezentuuuj – broń!“, „w tyyyt – zwrot!“. Druga część powinna mieć jedną, mocno wykrzyczaną sylabę. Jednowyrazowe komendy też są dwudzielne: „baaa – czność!“, „spooo – cznij!“. No, ta ostatnia może mniej. Spocznij...

Ta startująca komenda jest trójdzielna. W środku ma coś, co właściwie mogłoby być w każdej komendzie, a co oznacza, a tu ma wywoływać, gotowość. Do wykonania każdej komendą wywołanej czynności mamy być gotowi, do tego jesteśmy przecież przygoto-

wywaną pierwszą częścią, zapowiedzią. Tu jednak pojawia się ta gotowość *explicite*, nazwana. A przedłużeniu podlega i pierwsza część, i ta druga, środkowa. „Gotowiii – ” i potem to, co na końcu, komenda właściwa, nazwa tego, co mamy zrobić.

„Hop!” może być tylko na końcu. Właściwie to raczej nazwa skoku niż pierwszego kroku biegu, ale przy tej nagłości można to do skoku tym „hopem” odnieść. Ale na końcu może być i „start”. Mógłby pewnie teoretycznie być i jednosylabowy „bieg”, ale bieg oznacza czynność dłuższą, czasem nawet bardzo długą, a start jest momentem. Takim momentem, w którym trzeba być bardzo szybkim, momentalnym. Może zatem nazwa tej szybkiej, jednorazowej czynności być ostatecznym sygnałem, komendą właściwą. Ale start jest też czymś, do czego trzeba być gotowym, można więc jego nazwą nazwać to, co się za chwilę będzie działo. Do czego mamy się właśnie przygotowywać.

Kiedyś się przygotowywaliśmy i dziś przygotowujemy się do biegu. Wiemy, co to bieg. Ale pierwsze kolarskie wyścigi były nazywane także biegami, więc przejściowo to określenie miało szansę na poszerzenie swego znaczenia. Dziś wróciło do nazywania szybkiego przebiegania nogami mającymi bezpośredni kontakt z podłożem, choć podłoże się zmienia.

Zmienia się i sygnał startu. Tylko wtedy, gdy pistoletu startowego brak, a może już jakiegoś elektronicznego urządzenia, sygnalizujemy ten krótki moment naszym niedoskonałym, zbyt przeciągłym głosem.

Hooop...

Dobra jest

Powiedzenie

„No dobra” – mówimy, przechodząc nad czymś do porządku dziennego. „Dobra” – zgadzamy się z kimś co do czegoś, przyjmując wyjaśnienie czy podejmując zobowiązanie. „Dobra, dobra” podwajamy, wyrażając wątpliwości, może dobrodusznie, ale jednak

Ta żeńskorodzajowa forma uchodzi za trochę mało elegancką. Nie powinna się pojawiać w wyszukanej mowie, nie tylko w roli kpiących domniemywań o przesadzie czy oszustwie, także w roli skwapliwych zgód. „Dobrze” jest dobre, „dobra” mniej dobre. No i dobrze.

Tymczasem, jak się zdaje, ta żeńska forma ma piękną tradycję. Słuszną jest ją przypomnieć. „Słuszna”, czyli „słuszna rzecz”. Jest to rzeczą słuszną, więc można też powiedzieć, że słuszną jest o tym mówić. Bo wszyscy wiedzą, że gdy rzecz, o której słuszności się orzeka, nie jest wyrażona, to jest to rzecz po prostu. Ewentualnie może równoznaczna z nią „sprawa”. I takie pominięcie rzeczy (czy sprawy) jest właściwe.

Nie rozciąga się to zbyt szeroko na inne przymiotniki, te konkretniejsze tej redukcji nie dopuszczają, jednak „dobra” wydaje się też dobra do takiego opuszczenia. Jak tylko samo „dobra”, to wiadoma rzecz, że rzecz. No, może sprawa. Owszem, i rzecz bywa dobrą rzeczą. Czasem dobrą rzeczą jest powiedzieć coś jasno, wyraźnie

i do końca, nawet z niekonieczną dosłownością. To dobra rzecz. Rzadziej sprawa. Ale można próbować redukować.

Inna rzecz (samo „inna” chyba tu nie wystarczy), że taka redukcja naturalniej sięga po rodzaj nijaki. Dobrze! Niby nijaki, a wszystko łatwiej ogarnia, zwłaszcza jak to nie wiadomo dokładnie co. „Coś” jest nijakie, „to” nijakie, i „wszystko” też. Więc może być i dobre. „Wiadomo” to przysłówek, ale „jasne” to nijaki przymiotnik. Jasne. Też jakieś takie nijakie.

Zeńska, ograniczona do rzeczy, ale nie każdej. Powiedzmy, do nie-licznej. Nijakie, niemal wszechogarniające. Męski, bez takiej możliwości. Trudno, to, co ogólne i ważne, nawet rzeczownikowo nazywane rzeczą, męskie nie może być.

„Dobra jest!” jest silnie afirmującym rzeczywistość okrzykiem. Różni się nieco od dosłownego „dobrze jest”. Przysłówek może się znaleźć i na końcu, wyrażając bardziej ogólną i spokojną, odpowiedzialną aprobatę tego, co jest: „jest dobrze”. „Dobra” na końcu takiej akceptacji się nie znajdzie. W „jest dobra”, nie wiadomo by było, co jest, za to jak dobrze, można rzec: „dobra jest”.

Mniejsza elegancja, większa potoczność, to może i większa szczerość. Może i lepiej, jak „dobra jest”, niż gdy jest dobrze. Zwłaszcza dlatego że w istocie nie pretenduje to do opisywania cech świata czy tej rzeczywistości, która akurat nas otacza, jest za to ekspresyjne, emocjonalne, reaktywne. Nie o to chodzi, że to i to jest dobre, chodzi o to, że tak w ogóle zgadzamy się z tym, co jest, na to, co jest, i wszystko gra.

I dobra jest.

Dobranoc pchły na noc

Formuła żartobliwego dziecięcego pożegnania

Osobliwe zyczenie. Rzeczywiście, pchły bywały szczególnie w nocy dokuczliwe, jedyna z nich pociecha, że pluskiew wtedy nie było, gdy były pchły. Ale trzeba przyznać, że pchłom zdarzało się dawać twórczą inspirację, o pchle pisali Goethe, Leskow, u nas Krasiński i Mickiewicz, a o najbardziej znanej, szachrajce, Brzechwa; w muzyce umieścił ją Musorgski. W kulturze rozrywkowej pchła też zajmowała znaczne miejsce, choćby dzięki popularnej grze w pchełki.

W ogóle trzeba uznać, że nasz stosunek do pchły charakteryzował się ambiwalencją. Z jednej strony dokuczliwa i nieznośna, gryząca i budząca, z drugiej jakoś śmiesznie sympatyczna i często uczłowieczana. A i ludzie, zwłaszcza gdy skakali, bywali do pcheł porównywani nie tylko pogardliwie. Coś w tym musiało być.

Nazwę pchła ma dziwną, przez historię powykręcaną, jeszcze w XVI wieku nazywała się „błcha”. Obecnie jest równobrzmiącym homonimem z niepoprawną formą przeszłą rodzaju żeńskiego czasownika „pchnąć”, żartobliwie wykorzystywaną w pseudooperetkowej arii: „tyś pchła, tyś pchła mnie do miłości tej”, oraz do zabawnego homojoteleutonowego ciągu: „pchła pchłą pchła”.

Jakoś „wepchła” się ta pchła do naszej kultury i wypchnąć nie daje.

W wierszyku dobranocnym jest dla swojej jednosylabowości, dzięki której pasuje do zrytmizowanej rymowanki. Rym nie jest tu specjalnie wyszukany, w końcu dwie noce są tu po prostu zestawione, przy czym jedna właśnie w konstrukcji słowotwórczej zwanej zestawieniem: „dobra + noc”, druga w wyrażeniu przyimkowym „na noc”. Rytm jest utrzymany, bo w tym wyrażeniu akcentujemy akurat przyimek, nie rzeczownik, podobnie zresztą jak w „na wieś” czy „do mszy”.

A rymowanie jest potrzebne, bo zegnać się jest zawsze trochę przykro i chciałoby się to czasem osłodzić jakimś rymowanym żartem. Czasem czułym, jak „pa pa, całusów sto dwa”, czasem rubasznym, jak „do widzenia, ślepa Genia”, a czasem przewrotnym, jak ten o nocnych pchłach.

Żeby więcej było przewrotności i rymu, dodawało się jeszcze tym pchłom (i tym żegnanym) towarzystwo w postaci karaluchów, które były uzasadnione także rymem: „karaluchy pod poduchy”. Karaluchy swoją dużo większą, namacalną konkretnością, zwłaszcza w zestawieniu z poduchami, dawały obraz pełny i dość nieprzyjemny. To znaczy dawałyby, gdyby to było serio. Ale nie było, wiedzieliśmy o tym i dobrze się bawiliśmy, co było tak ważne przy przykrym w końcu wieczornym pożegnaniu na całą przynajmniej noc.

A przy tym na noc było kiedyś w dobrym tonie trochę, choćby na niby, dla żartu, postraszyć rozfiglowane dziecko czy płochę dziewczę. Karaluchy i pchły. Hu hu.



Gadał dziad do obrazu

Przysłowie, odnotował Walery Łoziński, 1860

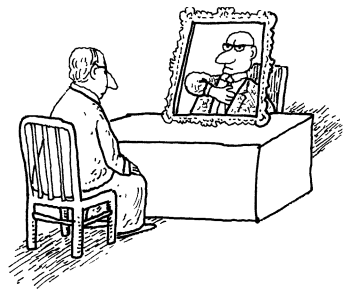
Wzięło się to przysłowie z pieśni dziadowskiej, w której dziad nie tyle gadał, co przemówił do obrazu, a obraz mu nie odpowiedział. Czasem i dziś spotyka się dłuższą wersję: „gadał dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu”, ale zazwyczaj przytaczana jest tylko pierwsza część opowieści. Taka skrócona forma, czyli apokopa, wystarcza, jeśli mamy do czynienia z powszechną znajomością tekstu. Przytoczenie początku uruchamia skojarzenia. Ten tekst o rozmowie dziada z obrazem jest wszystkim znany.

„Stał się cud pewnego razu, dziad przemówił do obrazu, a obraz mu ani słowa, taka była z nim rozmowa. Same drzwi się otwierały, bo je baby popychały, same dzwony tam dzwoniły, bo dziad ciągnął z całej siły”. W tej dziadowskiej pieśni cuda są obśmiane, trywialnie wyjaśnione lub obecne tylko w strukturze. Po rytualnej zapowiedzi cudu „przemówienie” dziada może wprowadzić w błąd. Jak w licznych zabawach językowych, możemy dziada pomylić z obrazem i najpierw sądzić, że to obraz mówił. Ale pieśniarz zaraz dopowiada, że obraz nie tylko nie odpowiedział, ale nie wypowiedział ani jednego słowa. Co strukturalnie jest pokazane jako dziwne, niewytłumaczalne nawet.

Dość zabawne, że dziad z tej ironicznej pieśni stał się przysłowio-

wym każdőludziem (*jedermannem, ewrymenem*) w pewnej kłopotliwej, wywołującej frustrację sytuacji. Bo nastawienie na kontakt, jego prowokowanie, gdy pozostaje bez odzewu, bez reakcji językowej czy mimicznej, bywa przykre. Przykre bywa stwierdzenie naszej językowej nieskuteczności. Mamy tu wiele metafor: ludzie gadają do ściany, do lampy, muru, kamienia, pnia, słupa. Nawet do radia. A one nic. Jasne, że nic, przecież to lampy i słupy, tylko ci ludzie wychodzą na – powiedzmy – nieroztropnych, bo do nich gadają. Czasami tylko osłabiamy metaforę i mamy porównanie, wtedy mówimy o gadaniu „jak do ściany”. Lub „jak do kamienia”. A często to właśnie o nas chodzi, i to my w tym przysłowiu jesteśmy dziadami. Bo przecież nie pniami czy murami.

W przysłowiu dziad raczej nie ogranicza się do jednego kontaktu. On gada, a obraz – ani razu. Wnosić należy, że tych razów było



więcej. Może zresztą obraz ma rację, bo dziad nie tyle mówi, ile gada. Takie gadanie jest gorszym rodzajem mówienia. Gadanie dostaje różne określenia, także przysłowiowe, z których „austriackie” jest stosunkowo łagodne. Ludzie gadają jak papugi, jak pijani, jak potłuczeni wreszcie, co może być bolesne. Nie warto słuchać.

Uświadomienie sobie naszego konwersacyjnego dziadostwa jest przykre, ale skutkuje zaniechaniem, w tym przypadku deklarowanym. Nic nie mówisz, nie reagujesz, nie przekonuję cię – to, przywołując dziada, oznajmiam ci, że nie będę więcej do ciebie mówił. Już przestaję.

Tylko muszę ci o tym powiedzieć.

Gadu, gadu, stary dziadu!

Powiedzenie ludowe, XIX wiek

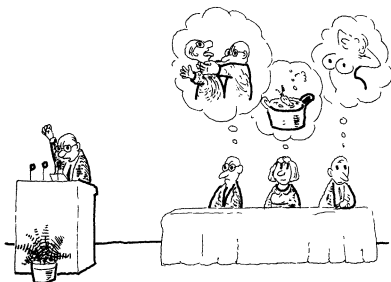
Kiedyś „gadanie” odnosiło się do czynności poważnej i tajemniczej. Gadacze, czyli wróżbici, gadali, czyli przepowydali przyszłość. Ślady tego mamy jeszcze w próbach jej odgadywania. W zagadce nic tajemniczego nie ma, bo zwykle ją rozwiążemy, w zgadywance jest już zupełnie zabawnie, a gadatliwe gaduły są wręcz śmieszne. Kto wroził i przepowydał, zwykł mówić niejasno, dla postronnych mogło to brzmieć bez specjalnego lub w ogóle bez żadnego sensu, ale musiał być odważnym ironistą ten, kto pierwszy w te rejony skierował znaczenie słowa „gadać”.

Dla Mickiewicza gadanie bywało jeszcze poważne. Nie tylko „milcząca szkarada” w *Dziadach* „nie gada”, on sam gada i do nas („tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam”) i, jako Konrad, do Boga a właściwie z Nim („Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie”). To było na serio. Ale potem gadanie się strywializowało i już od poprzedniego wieku lepiej nie gadać, tylko mówić. Pogadać z kimś można, zagadnąć kogoś też, ale gadać lepiej nie. Dobrze wprowadzić „mieć gadane”, ale jak ktoś gada za dużo, może być uciszony. A co najmniej ośmieszony, jak Lucjan Rydel, najpierw w zabawnym warszawskim wierszyku, w którym gadał i gadał przy padającym i spadającym deszczu, potem w *Weselu*. W *Weselu* jest też Dziad,

do którego upiór Szeli mówi właśnie „gadu, gadu, stary dziadu” i dodaje, że „trza się do roboty brać”, a ponura to, jak pamiętamy, robota.

Nie wiadomo, kto pierwszy tak się zwrócił do dziada. Wincenty Pol w *Pieśni o ziemi naszej* już to cytuje, widać i na „przedpolu” było to częste.

Nieprzyjemny to zwrot. Dziada się tu nie tylko ucisza, lecz do tego wielorako lekceważy. Samo mówienie do dziada, że dziad, jest mało kurtuazyjne. Jeszcze odmienia się go tym gorszym, wschodnim wołaczem „dziadzie”. Tak się dziada pozbywamy. Spięprzaj, dziadu. Choć, jak pomyśleć, to „dziadzie” nie jest znowu dużo lepsze. Tu dziad ma jeszcze pleonastyczną przydawkę, która dodatkowo go postarza. To on nie wie, że stary? Czy dziad może nie być stary? Ale jak się powie „stary dziadu”, to już całkiem się go pognębi. I do te-




go to lekceważące powtórzenie. „Baju-baju”, „ple-ple”, „picu-picu” – tak właśnie wykpiwamy tych, którzy są niewiarygodni i plotą bez sensu.

Choć trzeba przyznać, że później przyszły dla gadu-gadu lepsze czasy. Zaczęło się od autoironicznie sympatycznego „my tu sobie gadu, gadu, a tam...”. Potem było „gadu, gadu, gadu nocą” Maryli Rodowicz.

A dziś? „Gadu-gadu” to jeden z popularniejszych komunikatorów, interaktywnych, bezpośrednich, w czasie, proszę państwa, rzeczywistym! I możemy sobie wchodzić na „gadu-gadu”, i gadać interaktywnie i bezpośrednio, ile tylko chcemy.

Bo „gadu-gadu” na tym polega, żeby bez ograniczeń i co się chce. Nawet stary dziad może.



Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą

Przysłowie, odnotował Marcin Paszkowski, 1615

W pierwotnych użyciach z wiórami konkurowały trzaski (lub ich dźwięczniejsza wersja: drzazgi), które tam padały, gdzie rąbano drzewo. Zauważmy, że w niektórych wersjach mogło chodzić o inną czynność: o takie rąbanie drzewa, które jest jego zrąbaniem. Zasadniczo jednak myślano o rąbaniu drzewa, czyli drewna, czyli drew. To ciekawe słowo: drwa, bez liczby pojedynczej. I jakoś fonetycznie związane z drwiną. W każdym razie wióry, trzaski czy też drzazgi, padające czy lecące podczas rąbania drew czy drzewa, mówiły o zjawiskach, o których się na ogół nie myśli, nie pamięta, o okolicznościach niezaplanowanych, także niepożądanych, występujących przy pewnym rodzaju pracy, przy pewnych działaniach – i które to zjawiska i okoliczności są przy tym najbardziej normalne, naturalne.

Jak się podejmujesz czegoś, zwłaszcza czegoś ryzykownego, to się potem nie dziw, jak komuś albo i tobie samemu się coś stanie. Nawet jak się stanie, to naturalna sprawa. Jeśli drzewo ma być zrąbane (albo drwa porąbane), trzeba się liczyć z tym, że wióry będą lecieć. Na przykład z kosztami. I kiedy znajdziesz się tam, gdzie się coś dzieje, musisz uważać, bo może pojawić się, z pewnością się pojawi to, co jest związane z tym, co się dzieje. Tym bardziej że to

oni rąbią, nie ty. I może ci się to nie podobać. Możesz – powiedzmy – oberwać. Ale tak to już jest. Tak to normalnie jest.

W tej metaforze rzeczywistość jest ujęta przestrzennie, nie czasowo. Nie mówi się o czasie, kiedy drzewo się rąbie, tylko o miejscu, gdzie się rąbie. Sugeruje to, że ten typ konsekwencji, nawet ryzyka czy zagrożenia, jest względnie stały i zlokalizowany. To raczej strefa niż pora. Tam się zawsze rąbie i lepiej się nie zbliżać. A ci, co się zbliżają, niech się nie dziwią. To sprawa miejsca.

Ale czy wióry albo trzaski mogą nam zrobić coś złego? Drzewo może upaść i przygnieść, rozłupane polano może ugodzić i okaleczyć, ale miękkie wióry? Wątle trzaski? Cóż w nich takiego, żeby się z nimi liczyć? Drzazgi może, czasem, ale raczej tylko w oku bliźniego lub za własnym paznokciem. A jednak tak są wszystkie odbierane jako niepożądane, nawet groźne. Mogą i one urazić, a zapewne ważniejsza jest tu ich nieuchronność niż ewentualna dotkliwość.

A najważniejsze jest wytłumaczenie. Tak, jasne, trzeba było się tego spodziewać. Były pewne szkody. Oczywiście, można tego oczekiwać. Może być strata, trzeba się z tym liczyć. Tak to już jest. Gdzie cienko, tam się rwie. Gdzie rąbią, tam lecą. Nie ma się co dziwić. Musimy się z tym pogodzić, na to zgodzić. A dalej: cel uświęca środki. A potem: czy to zawsze wiadomo, co właściwie jest celem, co środkiem?

A może czasem warto porąbać trochę drewna tylko dlatego, żeby wióry polatały...



Głową muru nie przebijesz

Przysłowie, odnotował Stanisław Orzechowski, 1561

Już wcześniej mówiono o biciu głową w ścianę, nawet o przebijaniu głową ściany. Ale w tej wersji mamy to, co najważniejsze: proste stwierdzenie niemożności. Nie da się.

Bo mur to mur, a głowa to głowa. A co jest głową i co jest murem, żeby przysłowie do sytuacji dało się dopasować, to ja już zdecyduję

Są rzeczy możliwe do zrobienia i takie, których się nie zrobi, choćby nie wiem co. Mądry święty Tomasz Morus, modląc się jedną z najbardziej słusznie popularnych modlitw, prosił Boga o siłę, która pozwoliłaby mu na zmienianie tego, co zmienić trzeba i można, o cierpliwość, pozwalającą mu na godzenie się z tym, czego zmienić się nie da, i do tego o rozum, który pozwoliłby mu na odróżnienie jednego od drugiego. Bo wiedział, że takie odróżnienie nie jest wcale łatwe.

I my nie zawsze odróżniamy. Ale także zwykle nie zastanawiamy się nad tym, czy odróżniamy, czy też nie. I zdarza się, że nie wiemy, że czegoś nie możemy, i próbujemy. I również się zdarza, że myślimy, że nie możemy, a możemy. I często się zdarza, że tylko chcemy tak myśleć, i tylko dlatego tak myślimy, że tak właśnie myśleć chcemy.

I co będę się wysilał, skoro i tak głową muru nie przebiję. To wygodna klisza językowa, dobrze tłumacząca nasze zaniechania. A z drugiej strony dobrze ułatwiająca nam godzenie się z losem i z nieskutecznością naszych działań, choćby intensywnych. Nie dało się, bo nie można muru głową przebić. I nie ma co próbować, skoro i tak głową muru się nie przebije. Nikt nie przebije. Bo też to prawdziwy mur, a to tylko głowa.

Wyobrażenie sobie sytuacji opisanej w tym przysłowiu jest dość bolesne. Po pierwsze, bolesna psychicznie jest determinacja człowieka, który wbrew wszelkim fizycznym i fizjologicznym prawom i prawdopodobieństwom wali głową w mur. Po drugie, bolesny fizycznie jest kontakt głowy (zapewne gołej do tego) z murem, tym boleśniejszy, że to nie stukanie czy nawet tłuczenie, to prawdziwe bicie z zamiarem przebicia.

Wyobrażając to sobie, czujemy ból. I rezygnacja z takiej nierozsądnej, nawet wywołującej skojarzenia z psychiczną chorobą, a przy tym tak fizycznie bolesnej, czynności wydaje się tak oczywista, że nawet nie można jej określić jako rezygnacji. Po prostu niech nam nie przychodzi nawet do głowy, żeby tą głową... i tak dalej.

Choć z drugiej strony pojawia się coś w rodzaju podziwu dla kogoś, kto wbrew temu wszystkiemu bije w mur głową, próbując go rozbić. To może też być albo zapalony, albo ufny w siłę swej głowy idealista, ktoś, kto wyżej swój cel od swojej głowy stawia. Mało takich ludzi i można im słusznie zazdrościć: ideałów i głowy.

Tym bardziej jeśli przebiją.

Gość w dom, Bóg w dom

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

Staropolska gościnność brzmi w tym przysłowiu. Ten klasyczny paralelizm składniowy, lepiej widoczny w formach krótkich, z rzadszą od rozpoczynającej anafory epiforą, czyli powtórzeniem zakończeń, daje przy tym sentencjonalne poczucie pewności. Tak właśnie jest. Jak gość się pojawia, to i Bóg wraz z nim.

Gość ważna persona, i to niezależnie od tego, kim jest. Kimkolwiek jest, teraz właśnie jest gościem. I jesteśmy mu radzi, bo jakżebyśmy mogli nie. Nie możemy i jesteśmy. Miecznik Billewicz nierad jest przyjazdowi Kmicica, ale sprowokowany przez niepożądanego gościa do wyrażenia zadowolenia z jego odwiedzin, mruczy „gość gościem”, co już może być uznane za wyraz jeśli nie entuzjazmu, to przynajmniej konwencjonalnej, uprzejmej radości.

„Gość nie w porę gorszy Tatarzyna”, „Gość i ryba po trzech dniach cuchną” – to powiedzenia, wymyślone przez gospodarzy na użytek gości, żeby mieli się czym certować, gdy pora, a także powściągać. A i stare rdzenne przysłowie ozdabiane bywało różnymi dodatkami i parafrazowane na odwrót.

Staropolskiej gościnności towarzyszy tu i staropolska forma – ta biernikowa konstrukcja „w dom” nieco inną treść niesie niż dzisiejsze zwykłe dopełniaczowe „do domu”. „W dom” silniej akcentuje

znalezienie się w tym domu, wiąże się z „w domu”, jest bardziej stabilne i trwałe niż kierunkowe „do domu”. Ten gość nie zajrzał do domu, nie wpadł na chwilę. Zawitał w dom, z wszelkimi konsekwencjami.

Boga przywoływaliśmy w różnych towarzyskich sytuacjach. Świadczyliśmy się Nim, wzywaliśmy do kompanii. Dziękowaliśmy Nim (miał za nas płacić), w Jego imię przepraszaliśmy i wybaczaaliśmy. I, oczywiście, witaliśmy i zegnaliśmy. Gość, odchodząc, Boga zabierał i szedł sobie „z Bogiem”. Z czasem to piękne i czułe pożegnanie strywalizowało się i zaczęło być używane do rozstań mniej serdecznych, a nawet wręcz niegrzecznych, które może przywołanie Boga najpierw łagodziło, ale potem przestało.

A samo „gość w dom” zaczęło się po trosze konwencjonalizować. I jako refleksja służyć odreagowywaniu stresu gospodarskiego, wywołanego natręctwem odwiedzających. I jako sentencja wyrażać



najpierw bardziej, potem stopniowo coraz mniej pogodną rezygnację z przywilejów samotności. „Przyjechałeś? No, gość w dom...” . Niekiedy usłyszeć w tym można coś w rodzaju „przecież cię nie wyrzucę”.

Ale uwaga: jeśli gościa przyjmujemy w dom, rozstać się z nim trudno. Ani mówienie, że późno, ani tłumaczenie się chorobą nie dadzą wiele. A przy tym działa szczególna dwuznaczność: chcemy, żeby goście zrozumieli, że iść powinni, i żeby zarazem nie rozumieli, bo jak zrozumią, wyjdziemy na niegościnnych prostaków. Sytuacja robi się bez wyjścia.

Bez wyjścia gości oczywiście.

Gwałtu, rety, co się dzieje!

Okrzyk

„Gwałt” to była nie tylko przemoc seksualna, ale przemoc w ogóle, a wcześniej także moc, siła. Z takiej mocy wynika przemoc. *Gewalt!* to niemiecki okrzyk, informujący o takiej przemocy. W jidysz brzmiało to *giewalt!*, i tak bywało cytowane. Po polsku można wołać „gwałt!”, używając tego zapożyczonego rzeczownika, ale czemuś wolano wołać dopełniaczowo „gwałtu!”, co wzbudza wątpliwości co do intencji, ponieważ zwykle woła się tak dopełniaczowo, gdy się czegoś bardzo potrzebuje: „pomocy!”, „wody!”, „powietrza!”. Gdy się czegoś potrzebuje bardzo i szybko, czyli, jak można powiedzieć, gwałtownie. Na gwałt. No, jeszcze jedna dziwaczność, żartobliwie wykorzystywana. Jeśli ktoś woła „gwałtu!”, a my akurat tego kogoś potrzebujemy – powiedzmy – na gwałt, to zgodność interesów może być błogosławieństwem. Kiedyś mieliśmy jeszcze inny ciekawy gwałtowny przypadek: narzędnik. Do dziś zdarza nam się słuchać o „nieszczęsnej Halce”, która, jak pamiętamy, „gwałtem tu idzie”.

„Na gwałt” dzwoniono, o gwałcie donosząc. Bito „na alarm”. „Gwałt” miał więc także znaczenie „alarmu”, i tak to zostało. Stąd też i ten niefortunny w dosłownym sensie dopełniacz, który wzywał na ratunek przed gwałtem właśnie, przed napaścią.

I dodawano do tego dziś odbierane dość ludowo „rety”, które często razem z „o” dawało też wyraz nieco naiwnym zdziwieniom i przestraszom. A także jest niemieckie, bo *rette!* to tyle, co „ratuj!”. Wolimy wołać o ratunek po niemiecku, może kto usłyszy. Gwałtu, rety, co z tym naszym językiem! Co się z nim dzieje, a właściwie działo...

Dziś ani pojedynczo, ani razem te dwa słowa nie wyrażają szczególnego przerażenia. Nie mają też wywoływać gwałtownego raptunku. Jeśli już ich używamy, to nie krzycząc, raczej wypowiadając je niemal na wesoło, z dystansem pokazując zaniepokojenie czy też zgoła po prostu zaledwie dziwiąc się zdarzeniom.

To nasze zdziwienie dosłownie wyraża druga część okrzyku, przypominająca pytanie. „Co się dzieje” jednak pytaniem być nie musi, częściej jest konstatacją kogoś zaskoczonego, zadziwionego i zaniepokojonego obrotem spraw. „Co to się panie, dziś wyprawia” – mówi taki kontemplator, albo, co wychodzi podobnie: „co to się nie wyprawia...”. Nie oczekuje na odpowiedź, raczej na wspólnotę w zadziwieniu. Bo to, co dzieje „się”, samo niejako, czy wyprawia, może niepokoić.

Hrabia Fredro jedną z bliższych komedijek zatytułował *Gwałtu, co się dzieje!* Bardzo dużo tam nieporozumień, pomyłek i zbiegów okoliczności, ale i zabawy.

Gdybyz tak wszystkie nasze gwałtowności mogły w tym kierunku zmierzać...

Im dalej w las, tym więcej drzew

Przysłowie, odnotował Marcin Czechowicz, 1575

W XVII, XVIII wieku było tu o drwach, drzewa pojawiły się potem. Ale wiadomo, że od początku nie chodziło o drewno, choć jego też jest więcej w środku lasu, tylko o drzewa.

I sąd to właściwie oczywisty do banalności. To jasne, że w głębi lasu musi być więcej drzew niż z brzegu. Inaczej cóż by to była za głębia lasu. Ale w metaforze każdy banał ożywa. Im bardziej, dalej, głębiej w metaforę, tym bardziej odkrywczco bywa. A metafora lasu jest stosunkowo łatwa i atrakcyjna. O taką metaforę chodzi szczególnie wtedy, gdy to, co chcemy nią wyrazić, ma wymiar ogólny, dotyczy tylu rzeczy, że prawie wszystkiego. Do lasu wszystko się da porównać.

To przysłowie mogłoby mówić, że im dalej, tym lepiej. Tego zresztą oczekujemy, działając w jakimś kierunku. Jeżeli wchodzimy do lasu coraz głębiej, to po coś, w jakimś celu. I mamy coraz więcej drzew, czyli więcej tego, po co do lasu się chodzi: cienia, wypoczynku, runa jakiegoś czy wreszcie materiału rębego, drewna.

Ale kiedy tak mówimy albo kiedy to słyszymy, to częściej myślimy, że im dalej w las, im więcej drzew, tym niestety gorzej. Patrzymy z tej drugiej strony. Więcej drzew, to trudniej się poruszać, trudniej także orientować się w położeniu. Można zabłądzić. Drzewo w lesie, a szczególnie drzewa, to nie zawsze tylko dobra rzecz.

I tutaj tak właśnie jest. Ta ogólna metafora pokazuje, że w czymkolwiek im dalej, tym bywa trudniej. Im głębiej w coś wnikamy, tym problemów więcej. A wydawałoby się, że powinno być łatwiej. Gdzie tam, okazuje się, że jest na odwrót. Tyle że nie zawsze wiemy, czy to wciąż dalej i głębiej, czy może jednak bliżej końca. Czy się zagłębiamy, czy wychodzimy, przebijamy się na drugą stronę. Czy tam z przodu czegoś przypadkiem nie widać, końca lasu na przykład? Nie, tam coraz ciemniej, coraz gęściej.

Problemy, kłopoty, o których to przysłowie mówi, biorą się i z zewnątrz, i z wewnątrz. I z wewnątrz lasu, i z wewnątrz nas. Jak jesteśmy dopiero na skraju lasu, nic o nim nie wiemy. Wejdziemy do środka, coraz więcej drzew i spraw, które trzeba znać. Były i przedtem, ale nie było ich widać. Teraz widzimy. Im głębiej wchodzimy, tym więcej widzimy. To jeden z poważnych problemów epistemologicznych. Im więcej mam danych, tym mniej jasne wnioski mogę wyciągnąć. Im więcej rzeczy biorę pod uwagę, tym ogólny obraz wydaje się mętniejszy, ciemniejszy.

Nie trzeba się zapuszczać zbyt głęboko w las. Coraz więcej tam kłopotów: z lasem, drzewami, ze sobą samym. Im więcej wiem, tym bardziej wiem, że to, co wiem, nie wystarczy. Nie trzeba się zapuszczać w takie myśli, jak mówi Szekspir, bo można od tego oszaleć. Może lepiej zostać z samego brzegu.

Indyk myślał o niedzieli, a w sobotę mu łeb ucięli

Przysłowie, odnotował Walery Łoziński, 1860

Ten indyk to nasz przysłowiowy myśliciel. I, jak to bywa, służy propagowaniu niemyślenia. W dawniejszych wersjach „indyk myślał i zdechł”. Nie podawano, od czego, sama koincydencja myślenia i zdechnięcia miała nas przed tym pierwszym ostrzegać. Potem niekiedy wskazywano, że istniała prosta więź między myśleniem i śmiercią indyczą (u Sienkiewicza: „ów indyk, który zdechł od myślenia”). Jeszcze później z tym myśleniem zaczęła się wiązać śmierć bardziej gwałtowna: „indyk myślał i głowę mu ucięli”. Ta wersja utrzymywała się dość długo, wreszcie dodano rym, osłabiając myślenie indyka i trywializując (jaka szkoda!) całą sytuację. Ostatecznie, jak dziś powtarzamy to przysłowie, ograniczamy myślenie indyka do, i tak zresztą krótkoterminowego, planowania. Indyk nie tyle w ogóle rozmyśla, ile myśli o nadchodzącej niedzieli, a tu nagle – patrzcie, patrzcie – już w sobotę jest bez łba. A to ci dopiero niespodzianka. Głupi indyk.

Jest to jedno z przysłów reaktywnych. Niesprowokowani, nie używamy go. Dostatecznym powodem jego użycia nie jest, tak jak to bywa z innymi przysłowiami, sytuacja czy nasza indywidualna refleksja nad światem i jego osobliwościami.

Nie, tu trzeba czyjeś tekst. Tego, żeby ktoś powiedział coś o myśleniu, i to w konkretnej formie, czasownika w trybie orzekającym,

czasie przeszłym, liczbie pojedynczej i koniecznie w osobie pierwszej. Jeżeli ktoś, tłumacząc jakieś swoje działania czy ich brak inną percepcją rzeczywistości niż ta, która potem okazała się właściwa, powie: „myślałem”, nie powinien robić pauzy, bo już ktoś czyha, żeby mu w nią wskoczyć i powiedzieć: „indyk też myślał”. I on ma się z pyszna. Ten, co myślał. Co mówi, że myślał.

I ma to znaczyć, że czasem (a może często? a może w ogóle zawsze?) myślenie jest niepotrzebne, że wcale myśleć się nie powinno. Może trzeba działać zamiast myśleć, ale tego już przysłowie o indyku nam nie mówi, zatrzymując się na etapie wątpienia w efektywność myślenia jako takiego. Bo nawet nie wynika z niego, że powinniśmy myśleć inaczej, niż nam się to zdarzyło.

Rosjanie mają ładne *dumał nie думаł, cariom nie будiesz*, trochę rezygnacyjne, ale pogodnie dowcipne. Nasz indyk też ma być zabawny, ale chyba, jak się zastanowić, nie jest. Nie tylko szkoda kogoś, kto odważył się myśleć, ale i przestanie zniechęcające.

W sumie, choć nie wypada tego głośno mówić, głupie jakieś to przysłowie. To co, nie mamy myśleć? Nie powinniśmy planować, oceniać perspektyw? Moze powinniśmy zostawić to innym? Pewnie tym, co nam potem tego nieszczęsnego indyka wyciągną?

A poza tym to tak przyjemnie jest pomyśleć, co się będzie robiło w niedzielę...

Ja cię chrzanię!

Przekleństwo

Co ja z tobą zrobię? Co ja z tobą robić mogę, gdy jestem zły na ciebie? Jasne, wiele rzeczy, wszystko zależy od naszych relacji. Ale w szczególnych sytuacjach mogę cię... no właśnie, niektórym nasuwają się słowa wzięte z miłosnej fizjologii, innym z procesów trawiennych, jeszcze innym, stosunkowo najłagodniejszym, z dziedziny kulinariów.

Ciekawe, że nazwy przyprawiania potraw bywają często przenosią wobec działań wskazujących wielokrotnie na lekceważenie, czasem na skrajną nieżyczliwość, a przywoływanie tych nazw jest tej nieżyczliwości manifestacją. Nie tylko chrzanimy, lecz i pieprzy-
my – to drugie bywa gorsze, choć też zastępcze. Zapewne ma w tym udział ostrość tych przypraw. Choć nie tylko, ważne są i inne czynniki, w tym także fonetyczne.

Takie deklaratywne chrzanie kogoś ma trochę wspólnego z ochrzanianiem, jak pieprzenie z opieprzaniem, a samo chrzanie i pieprzenie to także głupie gadanie albo gadanie nieprawdy – bo mówienie i jego odmiany są niezwykle zmetaforyzowane, również mało przyzwyczajone. Wiemy też, że chrzanie i temu podobne czynności nie muszą odnosić się do ludzi, lecz także do spraw i rzeczy. W tym przekleństwie, zwróconym do adresata, to

o niego chodzi. Potrzebuję wyrażenia takiego właśnie stosunku do ciebie.

Słowna agresja, choć czasem może potęgować czy nawet wywoływać fizyczną, znacznie częściej stosunkowo bezpiecznie i udanie ją zastępuje. Kiedy ci powiem, że cię chrzanię, już naprawdę nie muszę cię chrzanić, cokolwiek to by znaczyło. Czyli że w pewnym sensie tylko tak chrzanię, że cię chrzanię. Albo – powiedzmy – pieprzę. W podstawowym użyciu to jest przekleństwo, ale, jak wiele przekleństw, można je czasem uznać za wyraz uznania. Kiedy zrobisz coś ekstrasuper i ja cię za to podziwiam, to takie „ja cię chrzanię!” może cię ucieszyć. Tak cię podziwiam, że aż z tego wszystkiego klnę. Istotne, że pojawia się tu pierwszoosobowy zaimbek. Nie jest on tutaj gramatycznie konieczny, znaczeniowo też może się wydać redundantny, przecież informację o tym, że to ja chrzanię, nie kto inny, mamy w końcówce czasownika. Ale tu musimy to „ja” wprowadzić, żeby było zupełnie jasne i podkreślone, że chodzi o relację ja: ty. To, że to ja i ty, jest bodaj czy nie ważniejsze od nazwania tego, co to ja mianowicie uważam za stosowne robić czy omawiać. W sytuacjach szczególnych można bowiem z czasownika w ogóle zrezygnować, zwłaszcza gdy chodzi o to drugie, uznaniowe użycie. Mogę wtedy ograniczyć się do pełnego podziwu „ja cię...”, czasem dodając dla wyrazistości na początku tego uznania wołające „o”, co daje bardzo mocne „o ja cię...”, po którym jakikolwiek czasownik byłby zbyteczny. Tak cię podziwiam, że już nawet nie wiem, co z tobą robię.

A jak się bardzo zdziwię, mogę tak wołać bez żadnego związku z tobą.

Jak cię widzą, tak cię piszą

Przysłowie, odnotował Mikołaj Rej, 1566

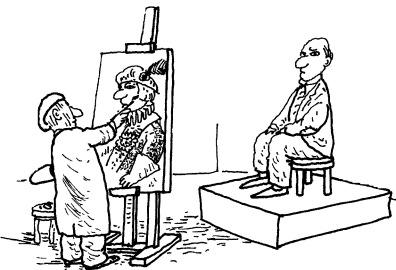
Wcześniej Rej pisał: „jako cię widzą, tak cię mają”, ale ze czasownik „mieć” swoją podziwu godną wszechstronność okupuje niezbyt dużą wyrazistością i precyzją, do przysłowia weszło na stałe pisanie, kilka lat później odnotowane.

Powtarzamy to przysłowie do dzisiaj, świadomi jego znaczenia i wymowy, mimo że obecnie czasownik „pisać” już tej funkcji nie ma, nie mówimy o „pisanu kogoś” wtedy, gdy myślimy o opisywaniu. Tutaj i w widzeniu, i w pisaniu widzimy odcień uważania za kogoś, „mienia”, czy wręcz trzymania. „Uważam kogoś za łobuza”; „mam cię za porządnego człowieka” – to normalne konteksty. Kiedyś jeszcze można było trzymać kogoś za kogoś („Jana trzymano za durnia”) albo coś o kimś („źle o nim trzymali”), co było w końcu do pewnego stopnia naturalne, bo skoro do dziś można kogoś wziąć za kogoś, zwykle za kogoś innego, to i trzymać można.

Pisać kogoś już nie piszemy, ale to przysłowie dobrze ukazuje pewną zrozumiałą zależność. Właśnie ukazuje, czyli przywołuje na wzrok. Bo o widzeniu tutaj mowa. Widzą cię i opisują. Z tego, co widzą, wyciągają wnioski, jaki jesteś, i za takiego cię potem uważają. I uwaga: innym przedstawiają ciebie zgodnie z tym, co uważają.

Widać stąd, jak zależy nam na tym, za kogo nas mają i, co wcale nie mniej ważne, a może ważniejsze, jak nas przedstawiają, pokazują innym. Może i w gruncie rzeczy tacy jesteśmy, za jakich nas mają? Może to jest bardziej naprawdę, bardziej się liczy? Jest bardziej obiektywne, jakoś sprawdzalne? Ci z nas, którzy mniemanie o sobie czerpią z rzeczywistego lub mniemanego mniemania innych, tak skłonni są mniemać.

I często wierzymy, że te sądy innych o nas biorą się właśnie z obserwacji, z patrzenia, z widzenia. Bo że obserwują nas, to pewne. Patrzą na nas. Oczywiście wtedy, kiedy chcielibyśmy, żeby widzieli i podziwiali, to w ogóle nie zauważają, lekceważą, nie dostrzegają naszych wartości, ale w tych rzadkich momentach, kiedy akurat nie trzeba, patrzą i widzą wady. Spróbujmy tylko coś zrobić nie tak, zaraz zobaczą.



A potem opiszą innym. Bo na pewno o nas mówią, często jesteśmy świadkami, jak przestają mówić, kiedy wchodzimy. Na pewno o nas mówili, bo i o kim innym?

Dlatego trzeba dobrze wyglądać, ładnie się ubierać – choć to podobno nie suknia zdobi człowieka, to jednak wiadomo, że przecież zdobi, i to jak zdobi – myć zęby, chodzić do fryzjera, uśmiechać się i w ogóle pokazywać tyle dobrego, ile tylko można. I jeszcze nie powinno się pokazywać, że się pokazuje: to oni mają widzieć sami, bez naszego pokazywania. Tak to właśnie mają nas widzieć.

I, oczywiście, pisać.

Jaki pan, taki kram

Przysłowie, odnotował Mikołaj Rej, 1557

To takie stare, że nawet Rej, prawie czterysta pięćdziesiąt lat temu, pisał, że to stare.

Dlaczego akurat kram? Czy pan ma być kramarzem, straganiarzem? Pan nie kramarz, ale tak mało w polszczyźnie jednosylabowców, pasujących choćby asonansem, jeśli nie męskim rymem, do pana. Kram oczywiście wziął się tu z podobieństwa brzmieniowego. Kran byłby pewnie lepszy, podobniejszy, ale zbyt już nonsensowny, poza tym kranów wtedy nie było.

A tak mamy prawie rym i dobry rytm: anapest. Dwie słabe sylaby i jedna mocna. Anapest jest sugestywny. Tak to jest. Widzisz sam. Jaki pan – taki kram. A taki paralelizm, powtarzalność formalna, zwiększa prawdopodobieństwo sądu w zdaniu zawartego. „Jaka marchew, taka nać, jaka córka, taka mać”. „Kazał pan, zrobił sam”. Domyślamy się, że ten kram należy do pana, co trochę usprawiedliwia relację pan – kram. Pewnie ten pan jest panem tego kramu. To jest jego kram.

Chyba że chodzi tu o inne znaczenie słowa „kram”, takie, które mamy na przykład w takich wyrażeniach jak „cały ten kram”, „miałem z tym niezły kram”, „ale było z tym kramu!”. Ten kram to chaos, bałagan, nieporządek – jaki czasami na straganach bywa, a stąd po-


tem: kłopot, męczące i skomplikowane działania wynikające z tego kłopotu, a i dalej jeszcze. Tyle kramu. Chociaż bardziej prawdopodobne jest pierwsze znaczenie. Zresztą przecież i tak chodzi o to, co pan ma.

Wyobraźmy sobie zatem, że ten kram to jest to, co jest tego pana, cokolwiek to jest. I że jest takie jak on, a on z kolei taki jak to właśnie, co jest jego. Ten kram. I tak o sobie świadczą nawzajem: pan o kramie, kram o panu. Podobni do siebie.

W którą stronę to idzie? Jeśli patrzymy przyczynowo-skutkowo, to tak wyrażona zależność wskazuje, że to od pana się zaczyna. Pan taki akurat jest i stąd ten kram taki. Taki jak ten pan. Wprawdzie pierwsza zanotowana wersja, przed Rejem jeszcze, była odwrotna: „jaki kram, taki pan”, ale potem, do dzisiaj, już zawsze pana mamy na początku.

Ale zastosowanie przysłowia wiąże się raczej z reakcją na postrzeżony kram. I, co może nawet trochę dziwne, chodzi o manifestację braku zdziwienia. O wytłumaczenie przyczyny takiego stanu tego właśnie widzianego kramu (czymkolwiek jest). Taki jest ten kram? Nic dziwnego, przecież taki pan. Skoro taki pan, to nie ma się co dziwić, że kram też taki właśnie. Świadczy on o panu, ale nie o to chodzi, że świadczy, nie musi wcale świadczyć, przysłowie wskazuje, że my o tym, jaki ten pan jest, wiemy od dawna. I ta silna determinacja zależności jest tu trochę przykra, bo zawsze wiąże się z wrażeniami negatywnymi.

Taki kram.



Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie

Przysłowie, odnotował Jan Dymitr Solikowski, 1565

Kuba pojawił się jako partner Pana Boga dopiero niespełna dwieście lat temu. W XVI wieku był tu tatka („Jako tatka Bogu, tak Bóg tatce”), a w następnych wiekach zaimki: „ty”, „my”, „wy” i zgola „kto” („Jak kto z Bogiem...”.) Ale Kuba jak wszedł, tak już został. Pojawił się tu wprawdzie też Maciek, ale tylko na chwilę.

Dobry jest ten prosty, bezpretensjonalny Kuba do naszych ludowych powiedzonek i przyspiewek, czasem nawet razem z Jakubem („pije Kuba do Jakuba”). Zauważmy też, że do tego symetrycznego przysłowia pasuje o tyle jeszcze, że Bóg czytany na wspak jest fonetycznie do Kuby podobny. A Kuba do Boga.

Mamy w tym przysłowiu dosyć interesujące ukazanie zależności. Możemy z niego wnosić, że zachowania Pana Boga są w pewnym stopniu przewidywalne, a kto wie, czy nie mogą być, choćby w negatywnym aspekcie, także i wręcz sterowalne. I bardzo przy tym ludzkie. Oko za oko, pięknym za nadobne. Jak Kuba tak i tak, to Pan Bóg tak i owak. Trochę odwetowy ten Bóg Kuby.

Ale tu chodzi o to, że ten Kuba zasługuje na to, co go spotyka. Ze to on prowokuje Pana Boga. I nie ma się co potem dziwić, że ma tak, jak ma. Sam tego chciał.

No i ten Bóg z przysłowia to nie taki znowu prawdziwy Bóg. To mo-

że być każdy z nas, ja najczęściej. Więc właściwie to „morał w tym sposobie”, jak mówił Fredro: „jak ty komu, tak on tobie”. Tyle że jak wmieszymy do tego Pana Boga, sprawa robi się poważniejsza, a Kuba może będzie bardziej uważał na przyszłość.

Przy tym robi się tu zależność w zasadzie jednokierunkowa. Jeśli powiem „jak ty komu, tak on tobie”, to tym tobą i tym nim może być właściwie każdy, a do tego role są zamienne. Raz ty możesz być nim, innym razem on to jesteś ty. Z Bogiem jest inaczej. Nie wyobrażamy sobie, że Kuba będzie robił Bogu tak a tak dlatego, że Bóg mu tak robił. Nie, tu tylko Bogu przysługuje prawo do działań rewanżystowskich. To on się zachowuje jak jakiś Kuba, dostosowując swoje działania do działań Kubby, a nie Kuba jak Bóg. To Bóg reaguje na Kubę. Nie Kuba na Boga. Kuba daje bodziec.

W ten sposób przysłowiowo pouczając, mniej ryzykujemy. Kuba nie bardzo może te relacje odwrócić.

To jasne, w relacjach konfrontacyjnych z Bogiem Kuba stoi na straconej pozycji. Może się co najwyżej potem pocieszać, że reakcja Boga była uzasadniona, że zasłużył, że, krótko mówiąc, może i nie najlepsze, ale jakieś partnerstwo w tych stosunkach zaistniało. Jakaś wzajemność. Dał Bogu dobre powody.

Chociaż lepiej, żeby nie dawał.

Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma

Prysłowie, odnotowane około 1925

„Gdy nie mamy, co kochamy, trzeba kochać to, co mamy”. Ta wielokrotna rymowanka jest wcześniejsza nieco, z XIX wieku, Adalberg ją odnotowuje. Tam chodziło o nas, byliśmy osobowo i osobiście przywołani. To my mamy, czy też nie mamy, i my kochamy. W późniejszej wersji zamiast silnego kochania pojawiło się spokojniejsze i mniej zaangażowane lubienie i nieosobowe „się”.

Takie właśnie nieosobowe „się” często daje dodatkowo jakieś wrażenie pewnej, nieco ironicznej, może nawet zabawnej, wprawdzie odnoszącej się do reguł, ale w sumie dystansującej się, formuły. Nie jest to rzecz jasna jego funkcja gramatyczna, ale tak się dzieje, że tak się myśli. Takie sobie „się”. „Mówi się”, „idzie się”. Jakoś tak się robi, trochę niefrasobliwie, trochę luzacko. Ma się ten fason, zwłaszcza jak się o sobie samym tak mówi, przez „się”.

Do różnych wypowiedzi, do różnych czasowników to „się” różnie pasuje. Łatwiejsze, bardziej naturalne, jest bez negacji. Kiedy przeczymy, bardziej zwraca uwagę, jak zawsze zresztą bywa z przeczeniem. Czasem ma wtedy funkcję pouczenia, instrukcji, pokazania zasady, nawet pewnego rodzaju zakazu. „Tak się nie mówi”. „Tak się nie robi”. Specyficzne jest przy czasownikach modalnych. „Chce

mi się", „nie chce mi się". „Nie może mi się przypomnieć". „Nie musi się od razu przypominać, jak się nie chce".

W tym przysłowiu mamy dwa proste czasowniki: „mieć" i „lubić". Przy „lubieniu" nieosobowe „się" jest rzadsze, w końcu do lubienia potrzeba osobowej aktywności, trudno o takie lubienie bez osoby... Przy tak różnoznacznym „mieniu", czyli przy czasowniku „mieć", „się" jest też wielofunkcyjne, w niektórych znaczeniach konieczne, na przykład kiedy chodzi o „czucie się" czy „uwazanie się za kogoś". „Jak się masz?". „Za kogo ty się masz?". A przy znaczeniu posiadania dobrze ubezosobawia, często łagodząc samochwalstwo: „ma się ten talent".

Ale tutaj się właśnie czegoś nie ma. I to czegoś ważnego. Wprawdzie warunkowo, z „jak", ale przecież czuje się, że to chodzi o sytuacje realne. I to, jak się wydaje, dotyczące często tego, kto to mówi i kto to czuje. I ten ktoś, mówiąc tak nieosobowo, a do tego warunkowo, próbuje ironizować swoją niewesołą w końcu sytuację. Bo nie ma tego, co lubi. Pewnie raczej: co lubiłby, gdyby miał, bo trudno lubić coś, czego nie ma. Może zresztą chodzi o kochanie, tutaj skromnie w lubienie zamienione? Ale można znaleźć radę. Lubienie to przecież w znacznej mierze sprawa nastawienia. Lubi się tylko to, co jest, co się ma. Nie wszystko, to jasne, ale skoro żeby lubić, trzeba mieć (to logika), to jak się już coś ma, można to spróbować polubić. Tym bardziej że to w końcu niezupełnie ja, tylko „się", więc chodzi o taką, prawda, zasadę.

I się lubi.



Jeszcze się taki nie narodził, co by wszystkim dogodził

Przysłowie, odnotował Mikołaj Rej, 1545

Powtarzamy to od XVI wieku i ciągle nic. I wciąż mamy tę świadomość, tę pewność, że się nie narodził. Najpierw częściej się mówiło nie o „takim”, czyli o kimś, kto taką cechę czy zbiór cech ma, tylko o „tym” („jeszcze się ten nie narodził”), czyli o jakimś jednym, wyznaczonym, przeznaczonym do dogodzenia wszystkim. Albo każdemu, bo czasem o każdym, nie o wszystkich, w tym przysłowiu mówiono.

Kiedy mówimy, że jeszcze coś się nie stało, zwykle dajemy do zrozumienia, że się stanie. Poczekamy, a się doczekamy. I będzie. Narodzi się taki czy ten, co dogodzi. Ale przecież wiemy, że tak nie będzie, nie może być. To początkowe „jeszcze”, które mogłoby wyrażać nadzieję, jest ironiczne: wiemy, że się nie narodził i szans na to nie ma. Jak myślisz inaczej, jesteś naiwny.

Rzymianie mówili o Jowiszu, że nawet on nie wszystkich zadowoli, nie wiadomo dlaczego zakładając, że Bóg po to też jest, żeby zadowalał. Nasz anonimowy „taki” czy nawet „ten” ma więc jeszcze mniejsze szanse. Za dużo tych, którym by trzeba dogodzić.

Jeśli się taki narodzić nie może, to i ja mam mizerne możliwości dogodzenia wszystkim. Tym bardziej że czasownik „dogodzić” mówi o wywoływaniu u kogoś stanu pełnej, trwałej i głębokiej satysfak-

cji. Dogodzić to duża rzecz, a jak duża, to i rzecz jasna niełatwa. A jak wszystkim nie można dogodzić, to czy warto w ogóle komuś? I tak będą niezadowoleni. To może wcale nie ma co się starać? W istocie chodzi tu o to, że ci niezadowoleni są lub mogą być niezadowoleni w wyniku jakiegoś mojego działania. Nie dogodziłem im, nie dogodzę. Nic dziwnego, wszystkim nie sposób.

Niestety, sprawa zwykle jest o tyle gorsza, że naprawdę to o nich chodziło, o tych nieusatysfakcjonowanych. Powinienem był zrobić tak, żeby im było dobrze, a oni niezadowoleni. Już, już bym się zmartwił, ale przypominam sobie przysłowie i wiem, że wszystkich nie zadowolę. To ich też nie muszę. Trudno. Nikt nie jest doskonały. Ludzie są tylko ludźmi. Głową muru nie przebijesz.

Takie klisze językowe, a jest ich podejrzenie wiele, pozwalają nam na lepsze samopoczucie. Załatwiają zmniejszenie wyrzutów sumienia, osłabienie poczucia winy, wytłumaczenie się przed sobą samym i przed innymi. Tłumaczą także innych, ale chyba rzadziej.

No i w sumie to po trosze wina tych, co to im nie dogodzono. Człowiek się stara, chce dobrze, a jeśli nie wychodzi, to w mniejszym stopniu za jego przyczyną. To oni są tacy wymagający. I niewdzięczni.

Gorzej bywa, kiedy nie tyle nie wszystkim dogodziliśmy, ile wszystkim nie dogodziliśmy. Czyli nikomu nie dogodziliśmy. I niestety przysłowie często taką właśnie sytuację opisuje.



Jutro będzie futro

Powiedzenie

Niektórzy, optymiści, uważają, że jutro będzie lepiej, i nawet proponują, żebyśmy się z tego powodu uśmiechnęli. Inni obiecują nam, że jutro zrobią coś, co wprawdzie powinni zrobić wcześniej, ale jutro też nie będzie na to zbyt późno. A my, świadomi, że, choć co się odwlecze, to nie uciecze, to, gdy chodzi o nasze plany, to uciekać może, mówimy wtedy, że jutro to będzie futro.

Futro dobra rzecz. To znamię bogactwa, luksusu. Dla kobiet takim futrem obdarowanych to może być symbol miłości, a w każdym razie docenienia, od biedy nawet bogactwa i hojności. Dla mężczyzn to atawistyczny związek z praludzkim zdobywaniem na braciach mniejszych, zwierzętach, dowodów przewagi nad nimi. Futro zdarze z upolowanego zwierzęcia, futro zamówione u dobrego kuśnierza czy kupione w eleganckim sklepie – to dowód dzielności, zażyłości, opiekuńczości, sukcesu.

Ale będzie jutro. A jutro co będzie, nie wiadomo. Może futro, może nie. Co mam zrobić dzisiaj, powinienem zrobić właśnie dzisiaj, bez odkładania na jakieś mniej określone jutro, bez dojutrkowania. Fabius Maximus był skuteczny, choć jego imię, Cunctator, zostało pospolitym określeniem różnych dojutrków, ale nam się może nie udać. Mało tego, być może już wiemy, że się nie uda, i innych,

a nawet samych siebie, oszukujemy, że jutro zrobimy to, co już mogłoby być zrobione. Teraz, dziś. Wczoraj może

Może nie robimy tego, co powinniśmy, z prostego, banalnego lenistwa... *Morgen, morgen, nur nicht heute, sagen alle faulen Leute*. *Zawtra, zawtra, nie sieгодня, tak leniwcы goworiat*. Może akurat jesteśmy zajęci pilniejszymi sprawami i istotniejszymi. Ważne, że tego akurat nie zrobiliśmy i nie robimy. I że nie powinniśmy przynajmniej mówić, że jutro zrobimy, bo możemy usłyszeć, że jutro to będzie futuro. Że łatwo nam mówić o jutrze, ale będzie to i tak potraktowane tylko jak łudząca obietnica, że będziemy z gruntu niewiarygodni.

I dlatego nie tylko dzisiaj, teraz, powinienem zrobić to, co ma, a właściwie już dawniej miało, być zrobione. A nawet to, co mam dopiero zrobić jutro, dobrze byłoby, gdybym zrobił dzisiaj. I byłoby wtedy zrobione. Miałbym to zrobione.

Nasze perfekty, czyli czasy dokonane, nie chcą być ciągle uważane za czasowe formy gramatyczne. Mamy „mamy zrobione”, „macie przeczytane”, „mieliśmy skończone”, „będzie miał wykonane”, ale mimo regularnego tu połączenia czasownika posiłkowego „mieć”, odpowiadającego przecież *haben* i *to have*, z imiesłowem biernym, takim jak *gemacht* czy *learned*, nie mamy tych form uznanych za czasy. Może przeszkadza temu semantyczny ładunek satysfakcji, z którą odhazczamy to, co już zostało za nami, jako wreszcie zrobione...

I co z pewnością nie musi zostawać na jutro.

Każdy kij ma dwa końce

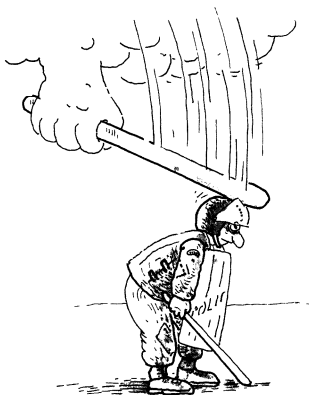
Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

Na tym właśnie polega dialektyka. Ze jak jest tak, to zawsze przy tym „tak” jest i „nie”. Każdy sąd ma swoją negację. Asercja pozytywna ma jako konieczną logiczną odwrotność asercję negatywną. A do tego o ile w sferze faktów można ustalić, co prawdziwe, i wiedzieć, jak jest, o tyle w sferze racji bywa niestety ambiwalentniej. *Retorsio argumenti* to rodzaj argumentacji, w którym z przyjętej przez kogoś i akceptowanej przez nas przesłanki wyciągamy zgoła przeciwny niż on wniosek. „– Tyle już zrobiliśmy, możemy na tym skończyć! – Skoro tyle już zrobiliśmy, zróbmy i to jeszcze .”. „– Późno, chodźmy spać! – Właśnie, tak późno, że już nie warto spać...”. Wszystko ma dwie strony. „Owszem, tak, ale znowu z drugiej strony...”. Wiedział o tym Tewje Mleczarz z *Anatewki*. Każdy medal ma swoją odwrotną stronę. I co gorsza, wcale nie wiemy, która to strona jest ta, a która odwrotna. Co jest awersem, co rewersem. Orzeł i reszka – te jeszcze jakoś rozpoznajemy, ale i tu bywają kłopoty... Ten podstawowy dualizm, kazący odróżniać lewe od prawego, tył od przodu, a górę od dołu, jest z natury relatywny. Co dla mnie lewe, dla ciebie prawe; jak coś jest z tyłu czegoś innego, to to drugie z przodu pierwszego; jak stanę na głowie, dół będzie górą. Zdarza się nam myśleć i mówić, że zawsze są dwa wyjścia. Ale nie

możemy być tego tacy pewni. Może bywa i tak, że jest tylko jedno. Ale kij na pewno dwa końce ma.

Kij ma dwa końce, bo ze względu na swoją strukturę nie może mieć jednego ani trzech. Kij to coś, co się trzyma w rękę. Za jeden koniec. Tego jednego jesteśmy pewni. Trzymamy go często po to, by użyć drugiego końca.

A dlaczego nie dwa początki? Dlaczego tak metaforyzując przestrzeń do czasu, chwytamy ją właśnie za końce, nie zaś za począt-



kij? Bo to nie tylko z kijem tak jest, i sznur tak ma, i stół, i ulica, i nawet duże połacie ziemi: one to nawet wiele końców mają („ze wszystkich końców kraju...”). Koniec to nie tylko zakończenie, finał, kres czasowy: to także kraniec przestrzenny. Koniec jest w czasie i w przestrzeni, początek właściwie tylko w czasie.

Kij ma dwa końce. A ty bierzesz pod uwagę jeden. Uważaj, bo są dwa. I ten, którego nie widzisz, może cię dosięgnąć. I tak jest z każdym kijem, a że tutaj kij to metafora każdej rzeczy, wszystkiego, to wszystko ma dwa końce. Czasami jeden koniec jest dobry, a ten drugi zły. I wtedy błędem jest cieszyć się na wyrost. Czasem odwrotnie, wtedy świadomość istnienia tego drugiego dodaje otuchy. Często nie chodzi o odróżnienie dobrego od złego, tylko po prostu o inną perspektywę, o inny aspekt. O coś, czego moglibyśmy nie wziąć pod uwagę.

A jest.

Każdy sobie rzepkę skrobie

Przysłowie, odnotował Ambroży Grabowski, 1840

To późne przysłowie, dziewiętnastowieczne. Żeby nie *Wesele*, może by się nie upowszechniło, a tak, choć nie każdy wie, co to rzepka, to ją skrobie. Sobie.

Manifestacja indywidualności za pomocą akurat skrobania rzepki jest nieco dziwna, bo nie można powiedzieć, by rzepka była warzywem szczególnie luksusowym, elitarnym, wymagającym komfortu odosobnienia. Nie bardzo wiemy, jak się ją skrobie. Może zastanawiać ten wybór.

Bo nawet i rym bezpośrednio nie usprawiedliwia użycia rzepki. Co innego wtedy, gdyby taka rzepka wyrosła krzepka i można byłoby ją schrupać z kawałkiem chlebka. Ale rzecz w tym, że rzepka jest przaśna, polska, naturalna, a do tego zapewne (choć w tym względzie pewności mieć nie można) nadaje się do skrobania, które z kolei jako czasownik ma formę osobową dobrze się rymującą z ważnym tu egoistycznym zaimkiem „sobie”. I w przysłowiu nie wadzi dziwaczność wyobrażenia sobie zbioru wielu, a choćby tylko kilku, osób, z których każda, osobno, na własną rękę, skrobie sobie swoją, własną, indywidualną rzepkę.

Każdy sobie, nie razem. Wśród wielu wartości mamy dwie ważne i równie pożądane: niezależność i solidarność. Odwołują się do za-

sadniczo odmiennych zespołów oczekiwań i zachowań. Wprawdzie nie zawsze muszą być one w opozycji (pamiętamy pewien niezależny, a nawet samorządny związek zawodowy, który wziął nazwę od drugiej z tych wartości), często jednak są naturalnie skonfliktowane. Albo każdy dla siebie, albo wspólnie w zespół.

Co lepsze? Oba, oczywiście, lepsze! A to przysłowie to może być pochwała działań swobodnych, ukierunkowanych na indywidualne osiągnięcia albo potępienie działań sobkowych.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że jednak częściej niesie ze sobą przesłanie bardziej kolektywistyczne. Skłonni jesteśmy słyszeć tu raczej przyganę dla zachowań egoistycznych, takich, które nie uwzględniają interesu zbiorowego. Skrobanie rzepek jest działaniem przyziemnym, mało ambitnym, płaskim i prostackim, dalekim od dawania poczucia satysfakcji. Zwłaszcza, oczywiście, satysfakcji wyższego stopnia: zbiorowej. Możemy sobie skrobać, co chcemy, nic z tego wielkiego nie wyjdzie. W *Weselu* to jeszcze nie w pełni ukształtowane przysłowie służyło wprowadzić („wyście sobie, a my sobie...”) jako deklaracja odrębności społecznej, ale tylko raczej wewnątrz tekstu – poeta jej nie pochwalał.

Jak już mamy być osobno i czerpać z tego jakieś korzyści – materialne czy duchowe – to przecież nie przez skrobanie rzepek. I właśnie dlatego rzepka ma nam to obrzydzić.

Zwłaszcza zmućnie skrobana.

Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one

Przysłowie, odnotował Grzegorz Knapski, 1632

Kiedys lepiej się to rymowało, bo zamiast „one” mówiło się „ony”. I wtedy wrony były bardziej zrozumiałe. Dziś może się wydawać mniej jasne, dlaczego w tym zaleceniu przyjmowania prospołecznych postaw czy, jak kto woli, dla tej pochwały konformizmu (albo przynajmniej dla jego wytłumaczenia) znalazły się akurat te mało miłe ptaki.

Zawsze, oczywiście, znajdziemy uzasadnienie. Chodzi tu w końcu także, a może przede wszystkim, o krakanie. Trudno o bardziej jednoznaczne, głośne i identyfikacyjne zachowania ukazujące jedność z otoczeniem niż krakanie właśnie. Wrony, dziś nieco rzadsze, postrzegamy lub przypominamy sobie w stadach, krążących i kraczących. Wiele ich jest i wszystkie kraczą jednakowo.

Trochę cynicznie brzmi to przysłowie. Owszem, słusznie zachęca do przestrzegania reguł społeczności, do której wchodzimy, ale równocześnie usprawiedliwia nasze najbardziej oportunistyczne zachowania. Jeżeli chcesz być między wronami, zachowuj się odpowiednio. Musisz po prostu krakać, więc nie wydziwiał, kracz i już. Choćby ci się nie podobało. Zobaczysz, że w końcu ci się to opłaci.

Jest tu pewna ciekawa i przykra jednocześnie dwuaspektowość. Wrony bardziej może wymagają zachowań zgodnych z regułami sta-

da, są postrzegane, zwłaszcza w zbiorowisku, jako agresywne, nie-
dopuszczające sprzeciwu wewnętrznego. A my, między nie wcho-
dząc, powinniśmy się do nich w znacznym stopniu dostosować,
a właściwie może i nie powinniśmy, tylko po prostu musimy.

Wrony są jednocześnie dosyć niesympatyczne. Trzeba mieć „gust
wypaczony”, jak Wojciech Młynarski, żeby je lubić. I dostosowanie
do nich bardziej jest chyba niemile niż upodobnienie się – po-
wiedzmy – do skowronków czy perkozów. A używając tego przy-
słowia, obojętne, czy dla tłumaczenia własnych, czy cudzych zacho-
wań, czy wreszcie dla pokazywania konieczności, nie tylko zdaje-
my sprawę z niedogodności i ze stopnia samozaparcia, ale przy
tym jeszcze, w tym samym czasie, wyrażamy się skrajnie niepo-
chlebnie o tych, do których... i tak dalej.

Można byłoby, wyrażając konieczność dostosowania czy wręcz
konformizmu, sięgnąć po jakiegoś innego ptaka – a tu nie.

Wrony.

Być może dzisiaj, tłumacząc tak nasze kraczące zachowania, jeste-
śmy dalej od sensu przysłowia, które dawniej raczej odradzało nam
w ogóle wchodzenie w nieodpowiednie towarzystwo... Kiedyś,
przewidując aż tak niemile konsekwencje, bylibyśmy być może bar-
dziej powściągliwi w poszukiwaniu otoczenia...

Dziś kraczemy.

Komu, komu, bo idę do domu!



Okrzyk handlowy

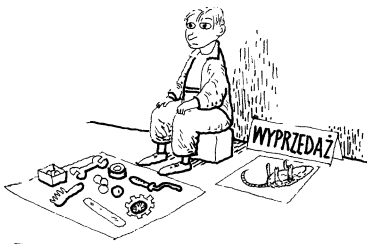
„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie!” Takie okrzyki brzmią dość infantylnie, ale o to chodzi. Żeby przypominały dziecięce rymowanki, zabawnie magiczne powtórzenia, żeby dawały się potencjalnym klientom rozpoznać jako skrajnie skonwencjonalizowane, zrytualizowane handlowe zachęty. Tak, jestem handlowcem, obserwuję tradycję, wołam staroświeckim, starożytnym zaklęciem.

Inna rzecz, że ludzi do budy już się nie zachęca, a i pójściem do domu rzadko się straszy. „Buda” dawniej bywała i atrakcyjna, i przenośna, w obu sensach, bo i transportowalna, i metaforyczna, dziś ma skojarzenia tylko z zaniedbaniem i prymitywem. Wołanie na ludzi „ludzie”, zwłaszcza z takim powtórzeniem, wydaje się też staroświecko prostackie. Cuda też się jakoś zdewaluowały, wiemy, że nie są to takie znowu cuda, nie mówiąc już o tym, że nie są to cudy, że świętymi cudami nie mają wcale do czynienia, nawet je obrazają słownym pokrewieństwem.

Okrzyk: „Komu, komu...”, zapowiadający oddalenie się handlującego w rejon zamieszkania, jeszcze czasem jest przywoływany, częściej poza pierwotną sytuacją. Może być pewnym uogólnieniem sytuacji zachęty, owszem, w formule zapominanej, ale także przez to do pewnego stopnia klasycznej, prototypowej.

Działania promocyjne często odwołują się do coraz to wymyślniejszego sugerowania najbardziej pożądanej cechy produktu: bezpłatności. Dowiadujemy się, że to i to dostaniemy za nic, i choć za nic nie chcemy w to uwierzyć, coś nam w głowie o okazji lub wręcz o darmowości szepcze. A to nam gratulują, żeśmy wygrali, dodając, niestety, że do tego trzeba tylko... a to gwarantują zero- we coś tam, jednak w zamian za... W każdym razie gdzieś tam zarzy się w nas komunistyczne marzenie o bezpłatnym dostępie do dóbr.

W okrzyku: „Komu, komu, bo idę do domu”, mieści się niejasna zapowiedź taniości, a może nawet braku oczekiwań płatności. Sam celownik zaimka „kto” silniej chyba łączy się w naszym umyśle z dawaniem i dostawaniem niż ze sprzedawaniem i kupowaniem. A tu jest jeszcze uzasadnienie jakiegoś zamiaru, choć niewyraźnie wyrażonego, przesłanka z konkluzją niesformułowaną. „Idę do domu”, więc się nie targuję, zależy mi na szybkiej sprzedaży, cena nie-



ważna. Jak bardzo mi się śpieszy, mogę nic nie chcieć. No, może prawie nic.

W handlu „bo” jest istotne, bo może czynić wiarygodnym to, co mogłoby się zdawać pustą obietnicą. A może też apelować małym szantazystą do naszej pazerności. Kup, bo jak nie kupisz, pójdę do domu i nie kupisz. „Bo idę”. „Bo pójdę...”. Często tak mi grożono i jeszcze często będę, mam nadzieję, to słyszeć. „Bo sobie pójdę...” oznacza, że ten ktoś uważa, że mi na nim zależy, że nie chcę, żeby sobie poszedł. Czy poszła. Zwykle ma rację, inaczej bym tego nie słyszał. Taka groźba musi mieć uzasadnienie. Ale najważniejsze, że kiedy ją słyszę, to wiem, że nie tylko mnie musi zależeć. Tej drugiej stronie też.

Może bardziej.

Komu w drogę, temu czas

Formuła zapowiadająca pożegnanie

Coś – komuś. Boskie – Bogu, cesarskie – cesarzowi. Każdemu swoje, co jego – *suum cuique*. Takie celownikowe przypisania, przyporządkowania są dosyć sugestywne, wskazują na jakiś porządek, konsekwencję. To działa nie tylko wtedy, gdy w ten sposób przydziela się rzeczy czy właściwości – także, gdy chodzi o zobowiązania.

Muszę iść, pójście jest moim obowiązkiem, powinnością. Nawet jeśli tylko zamiarem, to zamiarem obowiązującym. Jest (komu?) mnie przeznaczone. Jest mnie, jest mi. Jeśli komu, to mnie. Pisane mi jest pójść, czyli ruszyć w drogę. Stąd już blisko do uznania, że jest mi w drogę, czyli że „w drogę mi”. Jakkolwiek dziwnie by to brzmiało. Zresztą „komu w drogę” wcale dziwnie nie brzmi, czy to jako zdanie zależne, choć bez czasownika, czy też jako pytanie. „– Komu w drogę? – Mnie w drogę”. Nam.

Jeśli mi w drogę, to muszę iść. Mogę jeszcze trochę poczekać, ale i tak pójdę. A właściwie to już by trzeba było się zbierać, bo zanim tego, zanim co... Lepiej będzie, jak już zacznę. Bo ten, kto ma iść, ten, komu w drogę, powinien się zbierać. Czas mu to kaze.

Wśród wielu konstrukcji gramatycznych z czasem w głównej roli na ważnym miejscu jest „czas na coś”. Czas na siew, zwany też czasem czasem siewu, czas na budowanie, czas na odpoczynek i czas


na mnie. Czas na mnie to zwykle, niestety, nie moje pięć minut, tylko czas na moje odejście stąd, gdzie jestem. Czasami zresztą odejście ostateczne. Wtedy także zwie się to „moim czasem”. Mówienie, że przyszedł czyjś czas, trochę tabuicznie osłabia mówienie o czyjejs śmierci.

A kiedy czas na mnie, odchodzę. Przyszedł ten czas, czas rządzi, z nim się nie dyskutuje, muszę iść. A ponieważ ten czas na mnie jest też w pewnym sensie mój (choć niekoniecznie tak ostatecznie, jak była mowa wcześniej), to jest on też dany mnie właśnie, mnie wyznaczony. On jest – mnie. On mi jest.

Jest mi czas, czas mi. Teraz akurat – mnie. Mnie, choćbym chciał zostać, nie komu innemu, kto może sobie zostawać. I teraz, nie kiedy indziej, choć może kiedy indziej bym wołał. Niestety, teraz właśnie muszę i pora właśnie na mnie.

To bywa wytłumaczeniem wobec tych, co zostają. Przepraszam, muszę iść. Ale częściej chyba to takie samoponaglenie. Muszę się zbierać. I także wytłumaczeniem samemu sobie, że jak i tak muszę, to już powinienem. To wskazujące na zależność zdanie podrzędnie zbudowane jako dawany sobie samemu impuls często przyjmuje piękną i silnie pobudzającą partykułę „no”. „No, komu w drogę...”. Czasem nie kończymy. Niech inni skończą za nas. Jeśli to oni sobie dopowiedzą, łatwiej uwierzą.

Albo w to, że naprawdę już musimy iść, albo w to, że sami siebie właśnie do tego namawiamy.



Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

Ta krowa „dużo” ryczy od końca XIX wieku, przedtem ryczała „bardzo” („barzo” też), „siła” ryczała, „głośno”, „wiele”, a także „często” i „moc”. Dużo tych określeń krowiego ryku odnosi się do różnych cech: ilości, częstości, natężenia, ale w końcu chodzi o to samo. Krowa głośna została przeciwstawiona krowie mlecznej.

To częsta opozycja nie tylko wśród krów. Pies, który szczeka, podobno nie gryzie. No, to może bardziej w porządku, przecież jedną z funkcji psa, może nawet ważniejszą od gryzienia, jest ostrzegawcze szczekanie. Co zaś do krowy, to trudno uznać jej ryczenie za dostateczne usprawiedliwienie jej trzymania. Ale przesłanie jest w końcu dość podobne i oczywiście, czy to krowy, czy psy, mowa tu o nas, ludziach.

„Wiesz, dlaczego dzwon głośny? Bo wewnątrz jest próżny”, pisze Krasicki i to też brzmi jak przysłowie. Głośny dzwon jest metaforą krzykliwego głupca, którego przeciwstawieniem jest rzecz jasna cichy i spokojny mędrzec. Cały czas przeciwstawiamy mówienie: głośne, częste, zwracające uwagę – rozumowi, a częściej jeszcze czynowi, wskazując na wyzność czynu. Efektowność przeciwstawiamy efektywności. Sama ta opozycja wygląda dość efektownie.

U krowy wyraźny jest element pozytywnej autoprezentacji. Krowa

kreuje swój wizerunek przez działania foniczne, ryczeniem manifestuje swoją wydajność. Fałszywie, jak się okazuje. Istotnie, krowa rykiem daje znać, że jest pełna mleka, że powinno się ją wydoić. I dlatego rozczarowanie pustą krową doprowadziło do przysłowia. Ale może krowa ryczy też właśnie dlatego, że nie może dać mleka, choć tak bardzo chce?

Głośni samochwalcy, którym tak w tej krowiej postaci przyganiamy, też pewnie by bardzo chcieli. A że nie mogą, to przynajmniej sobie trochę poryczą albo nawet dużo. Będzie to dla nich rekompensatą. I niech mają chociaż to. Mamy im trochę za złe, że próbują wprowadzić nas w błąd co do tego, co zrobili lub mają zrobić. Ale wiemy przecież dobrze, że to tylko takie gadanie.

Inna sprawa, że tak zupełnie nie można być tego pewnym. A jeżeli rzeczywiście? Może naprawdę to mleko w środku jest, a ci głośni mają się czym rzeczywiście chwalić? Bardziej niż my, bo są naprawdę dobrzy, lepsi od nas? Taka możliwość w końcu istnieje! Owszem, Munchhausen czy Papkin nie, pewnie Falstaff też nie za bardzo, ale kto wie, czy Zagłoba nie zrobił naprawdę tego, co o sobie opowiadał? Teodor Parnicki, wzięwszy serio jego przechwałki, zrobił z nich bodaj najlepszą swoją powieść.

Ale jak sobie, słuchając tak zajmujących opowieści innych o nich samych, przypomnimy krowę, lżej nam na sercu. Może tam i coś jest, ale zasadniczo krowa rycząca mleka nie da.

Niech sobie ryczy.

Królowa Bona umarła

Powiedzenie, XVIII wiek

Królowa Bona umarła w 1557 roku. Powiedzenie o jej śmierci odnotował Jan Stanisław Jabłonowski w roku 1715. Anglicy tak mówią (mówili) o królowej Annie (która zmarła w 1714) co najmniej od 1738, wtedy zapisał to Jonathan Swift.

Ma to oznaczać nieświeżość wiadomości. Gdyby serio potraktować te pierwsze odnotowania, polskie było wcześniejsze o dwadzieścia parę lat. Z drugiej strony sięgnęliśmy do wydarzenia znacznie dawniejszego: królowa Bona czekała z wejściem do powiedzenia prawie sto sześćdziesiąt lat, królowa Anna niespełna ćwierć wieku.

Tak czy tak, obie umarły i wiadomość o ich śmierci dotarła do wszystkich, kto chciał i kto nie chciał. Ta wiedza stała się tak powszechna, że śmieszne było sądzić, że ktoś mógł o tym nie wiedzieć. Królowa Bona umarła tak dawno, że gdyby żyła, miałaby w 1715 roku ponad dwieście lat, czyli, jak niektórzy mówią, i tak by już nie żyła. Dziś miałaby jeszcze więcej.

Oczywistość śmierci kogoś dawno żyjącego łączy się ze świadomością konieczności śmierci w ogóle. Królowa Bona musiała umrzeć – głównym powodem jej śmierci było to, że żyła. Sokrates jest człowiekiem, człowiek jest śmiertelny, zatem Sokrates jest śmiertelny – powiada najbardziej znany syllogizm, udowadniający temu, co wąt-

pi w śmiertelność Sokratesa, że Sokrates umrze. Trochę zresztą niecelnie, bo jeśli ktoś wątpi w śmiertelność Sokratesa, tym samym nie do końca wierzy w powszechność śmierci wszystkich ludzi. Ale i Sokrates, nieśmiertelny w końcu filozof, i nasza włoska monarchia umrzeć w końcu musieli i umarli.

Chcesz przekazać mi wiadomość, nowinę. „Nowina” to trochę staroświeckie słowo, nowocześni mówią „nius”. Masz, znaczy, dla mnie niusa (taki zapewne dopełniaczowy biernik nius już ma). Ale mylisz się, uważając, że jestem gorzej poinformowany od ciebie. Ja już to wiem, od dawna. I trochę mnie denerwuje, że tak o mnie myślisz. Tą królową Boną cię pognębię, dokuczę ci. Tez mi nowina. Nius, znaczy.

Kiedyś sympatycznie przywoływaliśmy w takich sytuacjach wróble, które jakoby świergotały od dawna o tym właśnie, na dachu zresztą. Czasem bardziej romantycznie – wiatr. Bo to nieważne, skąd się dowiedziałem, ważne, że wiem. Pewna tajemniczość źródła dodaje mi powagi, a moje przeświadczenie, że wszyscy to wiedzą, czyni mnie jeszcze lepiej poinformowanym.

Królowa Bona nie żyje. Musiała jednak jej śmierć być znacząca, może ważniejsza od innych śmierci, skoro stała się przysłowiowa. Może kiedyś bardziej na nią czekano, może mniej się spodziewano... W każdym razie królowa Bona umarła bardziej niż wszystkie inne królowe.

Może z wyjątkiem królowej Anny.

Kto powiedział A, musi powiedzieć

Przysłowie, odnotował Andrzej Cinciula, 1888

To jedna z wersji, inna mówi: „Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B”, wiążąc tę kolejność mówienia nie z jakąś osobą, ale z sytuacją. W ten sposób łatwiej to odnieść do nas samych i wytworzyć w sobie tę dyspozycję do mówienia, ten odruch po A. Jak powiem A, wiem, że trzeba zaraz B, że kto A, to musi i B i to zaraz. A właściwie dlaczego? Kto powiedział, że musi, że trzeba? No tak, przysłowie mówi. Wtedy mówi, kiedy ktoś się odwołuje do wartości konsekwencji. Jak tak, to tak. Jak już, to już. Nie może być tak, że najpierw, owszem, a potem znowu wcale. Albo na przykład odwrotnie. Trzeba konsekwentnie

Nam samym konsekwencja może się kalkulować i często kalkuluje o tyle, że dokądś nią w końcu zajdziemy. Jak jesteśmy na dobrej drodze, to do dobrego czegoś, ale jak na złej, to, niestety, do złego. W każdym razie nie będzie tak, że ani tak, ani tak.

Dużo daje jednak nasza konsekwencja bliźnim, tym, którzy nas do niej namawiają. Jeśli nie jest ona oczywiście przeciw nim, bo wtedy mają nam ją za złe i nazywają uporem. Ale zasadniczo jest im potrzebna, bo dzięki niej my jesteśmy dla nich przewidywalni. Wiadomo, czego po nas oczekiwać. Nasze działania są spójne, nazywają je nawet logicznymi, w konsekwencji upatrując logiki.

Jak się już zrobiło krok w jakimś kierunku, trzeba by, jeśli to rzeczywiście kierunek, zrobić jeszcze jeden krok, taki krok, który można by wtedy nazwać drugim czy następnym albo kolejnym, pokazując przez to, że te kroki tworzą, w każdym razie zaczynają tworzyć, ciąg. Potem będzie następny kolejny i kolejny następny. Ale kierunek ciągu wyznacza ten pierwszy krok tylko dlatego, że sam krok jest ukierunkowany: z punktu A do punktu B. Tak je najczęściej, te punkty, nazywamy.

Tak jest z krokami, ale przecież nie każde nasze działanie jest tak kierunkowe, jak kroki. Nawet jeśli to działanie nazwiemy kolejnościowo działaniem A.

A jak się powiedziało A, to jeszcze się z tego kierunku nie da utworzyć. Dopiero B po A powie, że mamy do czynienia z alfabetem, tą



piękną kolejnością, piękniejszą od liczbowej przez niepodwazalnie samoistną konwencjonalność. A tych konwencji może być wiele. Po alfie jest beta, jak B po A. Ale po B jest C, po becie gamma, a po innym „be”, inaczej zapisywanym, zgoła „wu”, zapisywane zresztą jako B.

Dla alfabetu łacińskiego po A jest B. No, nie wszędzie, bo w polszczyźnie akurat Ą. Ale od tego żaden wyraz się nie zaczyna. Nie mówimy też, że jak się powiedziało A, trzeba Ą powiedzieć. Nie trzeba, trzeba B.

B.

Kto pyta, nie błądzi

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

Pismo Święte mówi, że jeżeli będziemy szukali, znajdziemy, gdy poprosimy, dostaniemy, a kiedy będziemy stukać, to nam się otworzy. Optymistyczne to, budzi nadzieję.

I to budzi nadzieję podwójną, związaną z dwiema najważniejszymi sferami. Można, po pierwsze, osiągnąć to, co się chce, i po drugie, można się z ludźmi porozumieć. W istocie w wyniku tego porozumienia można osiągnąć cel. Świat jest zyczliwy, a ludzie dobrzy. Jak poprosimy, dadzą, jak zastukamy, otworzą. Wprawdzie Pismo Święte ujmuje to trochę bezosobowo, mówiąc, że nam się dostanie, że nam się otworzy, no ale to przecież w końcu ludzie dają i otwierają, nie od razu Pan.

Przysłowie jest podobnie pogodne. Błądzić jest rzeczą ludzką, ale wolelibyśmy nie błądzić. I proszę, możemy tego uniknąć, pytając. Ludzi oczywiście.

W istocie można tu mówić o dwóch możliwych znaczeniach. Pierwsze wiązałoby się z tym, że ten, kto pyta, unika błądzenia, bo w odpowiedzi dostanie wskazówkę. Drugie polegałoby na przyznawaniu racji pytającym, że słusznie pytają. Jak ktoś pyta, nie popełnia błędu, ponieważ samo pytanie nie jest czynnością błędną. Pewnie, że jeśli tak o procesie pytania myślimy, to głównie dlatego, że

w wyniku pytania czegoś się można dowiedzieć i nie błądzić, ale można to rozdzielać.

Jeżeli ktoś pyta, dostaje odpowiedź. Nie jest to reguła absolutna, ale w zasadzie tak jest, tak powinno być, na tym polega pytanie. W każdym razie nie dostanie nikt odpowiedzi, jeśli nie zapyta. Nawet jeśli coś podobnego dostanie, to nie będzie to prawdziwa odpowiedź, jeśli pytania nie było (nie będzie?). Odpowiedź liczy się tylko przy pytaniu. I możemy uznać, że często ta odpowiedź, o którą pytającemu chodziło, pomoże mu w uniknięciu niepożądanego błędzenia.

Bywa różnie. Niektórzy obawiają się otrzymywania odpowiedzi i mogą nawet czasem mieć rację. Nieraz całkiem nieglupio brzmi ostrzeżenie: „uważaj, jak pytasz, bo jeśli ktoś pyta, to potem dostaje odpowiedź”. I niewiedzą się potem nie wytłumaczysz, i dowiedzieć się możesz czegoś przykrego, i w ogóle... może lepiej nie pytać?

Tak bywa czasem, ale choć powinniśmy mieć prawo do unikania informacji, to zdecydowanie częściej zależy nam na wykorzystywaniu naszego prawa do otrzymywania informacji.

A w nieogarnionym świecie, pełnym zasadzek i zakrętów, dobrze się czymś kierować. Ale nawet najbardziej nieorientowani i zagubieni mogą sobie pomyśleć, że w razie czego się dowiedzą. „Koniec języka za przewodnika”. Zawsze można zapytać.

A nawet dostać odpowiedź.

Kto się lubi, ten się czubi

Przysłowie, odnotował Aleksander Fredro, 1827

Fredro pisze: „kocha się, kto się kłóci – dawne to przysłowie”, ale w polskich tekstach pojawia się ta zależność dopiero dość późno. Za to od razu i u Fredry, i u Mickiewicza, który z kolei odsyła nas do ruskich przysłów: „ruskie przysłowie mówi: kto się mocno lubi, ten, Panie Podkomorzy, i mocno się czubi”. Dziś już się, poza tym przysłowiem, nie czubimy, pewnie to słowo za mało wyraziste, zbyt przyjazne jak na określenie kłótni, zwady czy bójk. A w przysłowiu zostało dla rymu, który ma podkreślać prawdziwość zależności czy koincydencji.

Przysłowie znane w dwóch wersjach. „Kto się lubi, ten się czubi” i „Kto się czubi, ten się lubi”. W obu może się zdawać, że gramatyka wskazuje na jakiegoś jednego kogoś. Gdyby tak było, przysłowie dość dziwnie mówiłoby o jakimś narcyzie-masochiście, który się sam lubi i czubi zarazem. Rozumiemy jednak, że chodzi o jakiś układ, bo zaimek „kto” może i do liczby mnogiej się odnosić. „Ten” wprawdzie mniej, ale tu pewnie ma znaczenie uogólniające, więc w końcu ujdzie. Zatem: ci, co się lubią, to się czubią – tylko ze rytmicznie nie jest to tak doskonale jak postać klasyczna.

Kto się lubi, ten się czubi – mówi o konsekwencji. Najpierw lubienie, potem, z niego wynikające, czubienie. Jak się lubimy, będzie-

my się czubić. Ale rzadko chyba w tę stronę przysłowie nas kieruje, sugerując, że nasze wzajemne uczucia będą miały i takie mniej przyjemne objawy.

Zazwyczaj, mówiąc tak, mamy na myśli, że właśnie zauważone czubienie się dowodzi lubienia. Tylko że wtedy powinniśmy wybrać wariant „Kto się czubi, ten się lubi”, wskazujący, że z obserwacji czubienia wyprowadzamy wniosek o lubieniu. Jednak będziemy wiarygodniejsi w tym wnioskowaniu, gdy odniesiemy się do obiektywnej reguły, wyraźniejszej w wersji pierwszej, nawet jeśli przytaczamy ją w związku z konkretną egzemplifikacją.

Ale czy to prawda? Dlaczego to niby tak ma być? Konflikt, nawet tak sympatycznie nazwany, nie wskazuje przecież na pozytywne uczucia, co to, to nie, przeciwnie wprost, jakby powiedzieli

VIVAT DEMOKRACJA!



Tweedledee i Tweedledum, zresztą archetypy lubienia się i czubienia. Ale od czego dialektyka: na zasadzie jedności przeciwieństw da się wiele zbudować. Gdyby czubiącym się na sobie wzajemnie nie zależało, nie byłoby mowy o emocjach. Skoro tak emocjonalnie się różnią, pewnie muszą być dla siebie ważni, obchodzą się nawzajem, można nawet posunąć się do tego, żeby powiedzieć, że się lubią. Trochę to naciągane, ale przecież z doświadczenia wiemy, ile sporów w kochających się rodzinach, ile ciszy między niechętnymi sobie partnerami.

A można jeszcze bardziej sofistycznie: oni nie walczą, nie kłócą się nawet. Oni się zaledwie po prostu czubią. I takie sympatyczne w końcu czubienie, jeśli to naprawdę czubienie (a tego już udowodniać nie musimy) – to nic innego, jak oznaka lubienia i już.

Kto z kim przestaje, takim się staje

Przysłowie, odnotował Grzegorz z Żarnowca, 1597

Już w XVI wieku było: „Z jakim kto towarzyszy, takim też sam jest”, potem mieliśmy dziś nieco dziwaczne: „Z jakim kto nakłada, takim się stawia”, wreszcie pojawiło się przestawianie i stawianie, tak już zostało i zapewne nieprędko przestanie.

„Przestawać” to ciekawy czasownik, ma pewne cechy antonimiczne. Z jednej strony najczęściej używa się go do określania czegoś, czego zaraz nie będzie, co wygasa, przestaje być. Z drugiej strony, odrobinię archaizując, do nazywania pewnego stanu przedłużającego się, permanentnego, bo jak z kimś przestajemy, to raczej długo.

Mozna też przestać z kimś przestawać, a żeby przestać przestawać, trzeba najpierw zacząć przestawać z nim przestawać. Albo inaczej: jeśli przestajemy z wieloma ludźmi, a pragniemy przestać, musimy po kolei przestawać z nimi przestawać.

Przysłowie nie odwołuje się do językowych figli, tu nawet zależność leksykalna między przestawianiem i stawianiem nie jest specjalnie widoczna. Mówi o naszym upodobnianiu się do tych, z którymi długo obcujemy. Nie jest szczególnie precyzyjne, ale przysłowie nie musi – gdyby to musiało, brzmiałoby dość niezgrabnie jako: „Kto z kim przestaje, takim jak on się staje”, a i tak nie byłoby pewności, kto to ten on.

Nie wydaje się szczególnie odkrywcze. Naturalna mimetyczność, wsparta równie naturalnymi skłonnościami naśladowczymi i także zwyczajnym ogólnym konformizmem, normalnie powinna dać upodabniający efekt. Ale przywołanie tej reguły – czy to jako ostrzeżenia przed niebezpieczeństwami złego towarzystwa, czy to jako wytłumaczenia niepożądanych zmian charakteru – przydaje się nam często.

Trzeba przyznać, że znacznie rzadziej używa się tej formuły, żeby pokazać pozytywny wpływ otoczenia na osobę. Jakoś nie odnosimy tego do ludzi, z którymi kontakty zmieniają nas na lepsze. Ale gdzie takich znaleźć? A wiadomo powszechnie, że my jesteśmy w porządku, tylko towarzystwo naszego towarzystwa nas psuje.

Nie widać tu wiary w siłę osobowości, w to, że człowiek pozostanie zawsze sobą, że nasze charaktery krzepną z czasem. Nie widać nawet decyzji o upodobnianiu się jak w przysłowiu o wronach. Tu po prostu ludzie są w pełni uzależnieni od tych, z którymi przebywają. My też. Co ważne, rzadko tu chodzi o innych, przestających z nami – częściej o nas, przestających z innymi.

Stajemy się takimi jak ci, z którymi przestajemy, i jest to nieuniknione. I właściwie dlatego właśnie, tak dla naszego ogólnego bezpieczeństwa, jak i dla ocalenia nas samych w nas – powinniśmy jak najszybciej przestać z nimi przestawać.

Albo najlepiej w ogóle nie zaczynać.

Kurdesz nad kurdeszami

Okrzyk biesiadny, XVIII wiek

Autorem tego zawołania (a może najpierw tylko powiedzenia) był podobno warszawski osiemnastowieczny kupiec i bankier Grzegorz Łyszkiewicz. Spopularyzował je Franciszek Bohomolec w wierszu pod takim tytułem. Refren tego wiersza, który stał się sugestywną pieśnią, brzmi: „Kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami!”.

Trudno powiedzieć, co to takiego, ten kurdesz. Może to zawołanie, może nazwa pieśni po prostu? Łyszkiewicz musiał trochę mieć do czynienia z osmańską odmianą języka tureckiego, bo ten swojsko brzmiący „kurdesz” jest podobno wzięty z tego języka. „Kardasz”, „karyndasz”, to dobry kompan, towarzysz, brat nawet, a właściwie brat-bliźniak, zrodzony z tego samego łona, co się zwało „karym”. Potem chyba jednak z nazwą nawet najlepszego towarzysza i kamrata tego słowa nie kojarzono. Niektórzy mogli myśleć o jakimś rodzaju wina, wtedy byłoby uzasadnione takie emocjonalne wyróżnienie: jeśli uznajemy coś nad czymś innym, musi to być naprawdę wyjątkowe. A jeśli kurdesz, o którym mówimy, śpiewamy, jest nad wszystkimi innymi kurdeszami, nad wszystkie inne kurdesze, cóż to za kurdesz być musi!

Z tego, że nie wiemy, o który kurdesz chodzi, a właściwie nie mamy pojęcia, co to w ogóle kurdesz i nawet co to wszystko znaczy,

wynika głębokie przekonanie, które w okrzyk wkładamy. Naprawdę, nad kurdeszami jest ten kurdesz i cieszy nas to, i biesiadę czyni weselszą. Tym bardziej że przecież wszyscy razem tak uważamy, zupełnie jakbyśmy kibicowali temu kurdeszowi, żeby nad innymi był, żeby inne pokonywał i zwyciężał. To przyjemnie, to wspaniale mieć do czynienia z czymś, co jest nad wszystkimi innymi. A my właśnie mamy!

Tak się tym kurdeszem cieszymy, że go nawet powtarzamy. Raz mało, raz to go tylko przywołujemy. A potem – dowartościowujemy. Kurdesz! Kurdesz – nad kurdeszami! I niech ktoś tylko spróbuje myśleć, a zwłaszcza mówić, że może być inaczej!

A do tego samo słowo brzmi dobrze, zarazem fantazyjnie i zadziwryście. Twardo. To te właśnie, te same cechy fonetyczne sprawiły, że nazwanie przedstawicielki jednej z dawniejszych profesji, wzięte skądinąd z przekształconej nazwy drobiu, tak ochoczo bywa używane dzisiaj jako najpospolitsze z wulgarnych przekleństw. Jeden z eufemistycznych zastępników tego przekleństwa zresztą to słowo równobrzmiące z początkiem naszego okrzyku.

Dobrze, że cały okrzyk i to jego osobliwe, wschodnie i nieco tajemnicze jądro ocalały przed zagrożeniem wulgaryzacją i nikomu nie przychodzi do głowy zakląć kurdeszem.

On pozostaje nad kurdeszami.

Lepiej nie mówić

Powiedzenie

W starym anegdotycznym dialogu było: „– Nie jesteś moim prawdziwym przyjacielem, nigdy nie pytasz, co u mnie! – A co u ciebie? – Lepiej nie pytaj”.

Jak ktoś pyta, dostaje odpowiedź. Moze nam czasem być tak, że na naszym pytaniu nam zależy, na odpowiedzi mniej. Wtedy może jednak lepiej nie pytać w obawie usłyszenia czegoś, czego usłyszeć się nie chce. A czego i odpowiadający może nie musieć chcieć mówić.

Mowa jest srebrem, milczenie złotem. Wprawdzie Bacon twierdził, że milczenie jest cnotą głupich, ale był w tym sędzie dość odosobniony. Lepiej byłoby mu milczeć. Milczenie przystoi prawdziwym mędrcom, a także tym, którzy, jak mówi Boecjusz, gdyby milczeli, pozostawaliby filozofami... Jeronimo, wódz Apaczów, na pytania sądu odpowiadał: „Apacz milczy”, czym potwierdzał uznanie, którym się cieszył. Oczywiście milcząco, jak przystoi nie tylko mędrcom, lecz i prawdziwym, dzielnym mężom.

Jest wiele sytuacji i ról, w których milczenie jest wskazane. Jest, owszem, wieloznaczne, ale to bywa zaletą. Moze być wyrazem wyniosłości i skromności, zgody i protestu. Biorąc wszystko pod uwagę, częściej lepiej jest milczeć, niż coś mówić. „Wiesz-li co, to

zamilcz", jak mówi szatan do Adriana Leverkühna w *Doktorze Faustusie*

Ale milczenie to nie jest to samo, co zwykłe niemówienie. Kiedy śpię, piszę, jem, kiedy jestem sam, nie mówię, ale nie nazwałbym tego, nawet gdybym potem już mówił, milczeniem. Milczenie jest poważniejsze, znaczące. Jest niemówieniem w sytuacji skłaniającej raczej do mówienia.

Tu, w tym powiedzeniu, chodzi także o milczenie, ale nazwane tylko niemówieniem. Lepiej nie mówić, niż powiedzieć to, co trzeba by było powiedzieć, zwłaszcza gdyby się chciało powiedzieć prawdę. „— Powiedzieć prawdę? — Lepiej nie”. Lepiej nie mówić. Nic nie mówić. Tak będzie dla nas obu lepiej, ja nie powiem, to ty nie usłyszysz. Ale, oczywiście, mówienie o niemówieniu też jest mówieniem. To z kolei przewaga mówienia, że o milczeniu i niemówieniu, żeby zostało usłyszane, często trzeba powiedzieć. Można i milczeć o niemówieniu, ale mało kto będzie wtedy wiedział, na jaki temat akurat wtedy się milczy, bo to milczenie podobne jest do milczenia o wszystkim innym, nawet o mówieniu.

Więc lepiej, na wszelki wypadek, powiedzieć, o czym się nie mówi, a właściwie nie o tym, tylko o tym, że się o tym nie mówi. O tym, o czym dzięki temu (nie przez to) nie będziesz nawet wiedział, co to takiego, bo nie powiem, a nie powiem, bo lepiej nie mówić.

Tyle że z tego, że mówię, że lepiej nie mówić, wcale nie wynika, że naprawdę nie powiem. Jak już tak zacząłem mówić, to zwykle jednak zaraz powiem o tym, o czym lepiej nie mówić, o czym mówić nie warto i nie trzeba.

Chociaż lepiej byłoby, gdybym nie mówił.



Lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć

Przysłowie, odnotował Samuel Bogumił Linde, 1806

Nieco kontrowersyjne, gdyby brać to dosłownie. Ale powtarzamy to do dziś w różnych okolicznościach. I ta paradoksalność zdaje się nam wzmacniać mądrość tego przysłowia. W każdym razie głębo-kość, często trafnie kojarzoną z pewną niejasnością.

Niektóre wersje tego przysłowia przywołują wprost niedogodno-ści znajdowania z głupim: mianowicie trudności czy też wręcz niemożliwość podzielenia się. Możemy się domyślać, że prowadzi to do sporów, komplikacji, które w sumie mogą być większe niż korzyść ze znalezionego. W większości zastosowań nie wymaga się takiego rozwinięcia, a sytuacja dzielenia się nie staje nam od razu przed oczy.

Najwłaściwsza i najciekawsza zarazem wydaje się interpretacja, że ważniejsze od tego, co się czyni czy też co się z nami dzieje – jako że trudno gubienie, a właściwie także i znajdowanie, uznawać za działania celowe – jest towarzystwo.

Inne przysłowia, podobne, mogą nas w tym utwierdzać. Z mądrym lepiej wiele rzeczy: minąć się (niż z głupim spotkać) – to tak, natu-ralnie; kozy paść (niż z głupim w karty grać) – też jasne; wypić kwa-tereczkę (niż z głupim beczkę) – o, czyżby?; pieczeń obracać (niż z głupim jeść); płakać (niż z głupim się śmiać); bić się (niż z głupim

w przyjaźni żyć); wreszcie lepiej z mądrym w piekle niż z głupim w niebie. Chyba się trochę przysłowiodawcy zapędzili w tej eskalacji... W tych ostatnich przykładach szacunek dla mądrości mądrość samą chyba przytłumił.

Towarzystwo mądrego jest wartością samą w sobie. Inne rzeczy, nasze przypadki czy działania, mogą mieć jakieś znaczenie, ale okazuje się, że najbardziej liczy się, z kim. Chociaż czy przez to nie powątpiewa się po części w naszą, niezależną, mądrość? Co prawda dobrze przestawać z mędrce, bo kto z kim przestaje, takim się staje, ale może w końcu i my nie tak całkiem sroce spod ogona? A tu ten przesadny snobizm...

Zauważmy też, jak w tych innych przysłowiach nisko traktowane są różne nasze aktywności, a także wewnętrzne stany ducha (wywołujące śmiech i płacz), czy wreszcie nawet ostateczne pozaziemskie miejsce. Rdzenne zgubienie i znalezienie jest w tym kontekście umiarkowane.

Niektórym może wreszcie przeszkadzać jeszcze jedna sprawa. Oto nie ulega wątpliwości, że nasze cechy są często funkcją cech innych ludzi i bywają przez te cechy relatywizowane. Bycie mądrym to może być cecha niezależna, ale często ujawnia się w zestawieniu z mniejszą mądrością, a najwyraźniej widać ją przy głupocie. Jakimi wydamy się innym, a nawet sobie samym, pozostając tak konsekwentnie, niezależnie od sytuacji, w towarzystwie mądrych? Zapewne: dążącymi do mądrości, ale czy tylko?

A w towarzystwie głupich. .

L

Lepszy rydz niż nic

Przysłowie, odnotował Gamius, 1702

Rydz bardzo smaczny grzyb, w *Panu Tadeuszu* wszyscy na niego dybali, bo był najsmaczniejszy. A tu wchodzi w emulację z takim przeciwnikiem! I znowu, jak to w przysłowia, winien rym.

Porównując rzeczy ze sobą, zawsze możemy je i z niczym porównać, co wcale nie znaczy, że wtedy z niczym nie porównujemy. Owszem, z niczym, ale nie nie porównujemy, tylko przeciwnie: porównujemy. Z niczym.

Ale jak się coś z niczym porównuje? Zapewne chodzi tu o jakiś brak, a i kryterium porównania musi być specyficzne. Czy lepsza zła stawa, czy pusta lodówka? Czy marny samochód, czy jego brak? Czy kiepska praca, czy bezrobocie? Czasem dopiero przy takiej alternatywie możemy się dopatrzeć jakichś zalet w tym, co mamy. I czasami robi się nam od tego lepiej. No, ale to w sytuacji posiadania czegokolwiek, choćby słabego.

Pewnie nie zawsze tak jest. Zły sąsiad gorszy od braku sąsiada, który to brak dla niektórych i od dobrego sąsiada lepszy. Zła zona, bywa, gorsza od stanu kawalerskiego, a i staropanieństwo może być lepsze od marnego ślubnego. I tak dalej, i tak dalej.

Ale ci, co mówią o rydzach, mają na myśli to, co lepiej, żeby w ogóle było. Jakiegokolwiek zdrowie, choćby najgorsze, od jego braku,

najmniejsza nawet pogoda od braku pogody... Zaraz, chyba coś nie tak. To może ogólniej: lepsze cokolwiek niż w ogóle nic. Tak, z tym można by się zgodzić. Ogólne nic jest do niczego.

Przysłowia ostrzegają, radzą, zmuszają do zastanowienia, służą za matryce do wyjaśniania zjawisk, nie tylko trudnych do wyjaśnienia. I bywa, że pocieszają. To właśnie często służy jako pocieszenie. Mało? Ale zawsze coś! Nie najlepsze? Ale przecież jest. To już lepiej tak niż wcale.

Ten minimalizm ratuje z depresji i innych opresji, ale czasem może i ograniczać. Jakoś w końcu leci, a mogłoby wcale nie lecieć – to już lepiej niech leci, jak leci. Jaki jest, taki jest, byle był. Niechby bił, byle był (tak o złym mężu mówiły dobre zony, zdaniem mężów).



A niech tam, niech będzie tak, jak jest, a w końcu jakoś jest.

Rydz jest lepszy, bo mogłoby nic nie być. A jak chcemy, żeby było lepiej, może być od tego gorzej. Lepsze jest wrogiem dobrego – mówi kolejne przysłowie. Z braku laku i kit dobry. Jak się nie ma, co się lubi, a na bezrybiu i rak ryba. I tak dalej. Całkiem pokaźny ten polski zbiór minimaliów.

A z drugiej strony rydz wspinały grzyb. Skoro, mając go, zestawiamy z niczym, to znaczy, że mamy nie lada jakie wymagania. Inni pewnie cieszyliby się z rydza, uważali za szczęśliwców, a my kręcimy nosem i łaskawie przyznajemy, że to wprawdzie nie to, ale ostatecznie mogłoby być gorzej, i że dobrze, że nie jest.

Pewnie że dobrze.

Literaci do pióra! Studenci do nauki!

Hasło z wiecu w Fabryce Samochodów Osobowych, Warszawa, marzec 1968

Niech każdy robi, co do niego należy. Studenci niech się uczą, bo są studentami, literaci niech piszą literaturę. Te dwa napisy pojawiły się najpierw na Żeraniu, a potem także na innych transparentach przedstawicieli klasy robotniczej, demonstrujących przeciwko demonstrującym przeciwko władzy ludowej w marcu 1968 studentom, literatom i innym inteligentom. I niech nie zamęczają spokoju.

Struktura perswazyjna sugestywna. *Nec sutor ultra crepidem*. Pilnuj, szewcze, kopyta. Rób, co do ciebie należy. I mamy podany kierunek. Do nauki! Ta konstrukcja przyimkowa, tu kierująca ograniczająco, jest częsta w wezwaniach do aktywności. „Do dzieła!”, „do boju!”, „do wotów!”. Trudno o bardziej wyraziste pobudzenia. „Do wioseł!”, „do szabel!”, a w końcu: „do stołu!”, „do kielichów!”, „do mazura!”. „Po szklaneczce do piosneczki!”. I w ogóle hejże ha!

Ale to wtedy, gdy my wszyscy razem. I albo nie mówimy (czy raczej nie wykrzykujemy) wówczas, kto mianowicie, nie używamy żadnej nazwy albo używamy wspólnej nazwy dla nas wszystkich, tych, co to do: „Polacy”, „waszmościowie”, „wiara”.

Ale gdy to nie my razem, takie ukierunkowanie przez „do”, dopełnione dopełniaczem, częściej wysyła do działań mniej atrakcyjnych

lub wyznacza ścisłe sfery, czy wreszcie nie zawsze pożądane miejsca pobytu. „Irena do domu!”, „Ludwiku do rondla!” są jeszcze względnie sympatyczne, ale inne bywają zbyt kategoryczne, dominujące i sytuacyjnie mało atrakcyjne: „do apelu!”, „do garów!”, „do budy!”.

Te buńczuczne i naiwne wysyłania inteligencji do jej obowiązków i na właściwe jej miejsce spotkało się od razu z parodystycznymi dowcipami. Ponieważ wrogiem groźniejszym od zrewoltowanej młodzieży były określone środowiska, najpierw określane zresztą bezigrekowo jako „sjonisci”, zartobliwie wysyłano ich, już jako poprawnych językowo syjonistów, do Syjamu (który przy sjonistach nie miałby racji bytu). Obok tych haseł umieszczano, jako kontynuację ciągu, „pasta do zębów”.

A „literaci do piór” mogłoby brzmieć tak pozytywnie aktywizująco! Być może zresztą, że takie hasło pojawiało się w bardziej prostodusznych latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku z dobrym odniesieniem. Potem, z nie dla wszystkich czytelną aluzją, nawoływano w popularnej rubryce: „czytelnicy do piór” i czytelnicy odpowiadali własną twórczością.

Takie wysyłanie na właściwe miejsce i do właściwych zajęć może dawać poczucie mocy. Można wtedy, zwłaszcza jeśli się działa w gromadzie, swobodnie przekraczać granice głupoty, wysyłając Żydów na Madagaskar czy postów do rozrzucania gnoju.

A studenci, rzeczywiście, powinni się uczyć.

Lotem bliżej

Hasło reklamowe, lata sześćdziesiąte XX wieku

Przestrzeń jest, spostrzegamy ją. O, stąd dotąd. Tam, dalej. Z czasem jest trudniej. Przeszłości już nie ma, to jasne, przyszłości jeszcze. Jest niby teraźniejszość, ale co to za czas, zwykłe zetknięcie nieistniejącej przeszłości z nieistniejącą przyszłością. I jeszcze się ciągle przesuwa.

Ale choć bardziej jesteśmy pewni realnego istnienia przestrzeni niż czasu, to z przestrzenią łatwiej nam jest walczyć, a nawet ją pokonywać. A czasu się nie da. Nawet ci, co mówią o zarządzaniu czasem, powinni zdawać sobie z tego sprawę. Czas jest nieubłagany i albo ucieka przed nami, albo nas goni. Przestrzeń opanowujemy, może być nasza, z czasem gorzej. Jak mamy swoje pięć minut, to wszystko. I też mija, i okazuje się, że już za pięć dwunasta. Za nie nasze pięć.

Walka z czasem jest śmiertelna. Gdy dopadniemy uciekający nam czas i mamy go, możemy go sobie zabijać, czym tam chcemy. Niestety, częściej to on nas dopada, kiedy goni. I, oczywiście, także zabija.

Z przestrzenią walczymy inaczej. Nie o to chodzi, by ją zabijać, ona sama też nie zabija nas. My możemy ją opanowywać lub, częściej, pokonywać. Do opanowywania przestrzeni używamy oczywiście

czasu. Odległości pokonujemy w jakimś czasie i im prędzej, tym bardziej pokonujemy. Ten odcinek w dwie godziny. Sto metrów w dziesięć sekund.

Przestrzeń jest realna i niezmienna. Rzeczy możemy przybliżać do siebie i oddalać, częściej my sami możemy być bliżej lub dalej od nich. Ale samej przestrzeni nie przesuniemy. Możemy wiele zmieścić na hektarze ziemi, ale nie dwa hektary. Punktu oddalonego o kilometr nie zbliżymy ani o milimetr, bo kilometra nie da się skrócić.

Nie zrobimy bliżej, ale możemy zrobić szybciej. Wykorzystujemy czas, nierozciągliwy sam w sobie, i mieścimy w nim coraz więcej przestrzeni. Już tysiąc kilometrów w jednej godzinie. Bo coraz szybciej, tysiąc kilometrów na godzinę. Zartobliwe „sześćdziesiąt minut na godzinę” dawało w pewnym czasie gwarancję tempa normalnego w niezupełnie normalnych czasach.

W *Paragrafie 22* Hellera Dunbar żył powoli. Lubił wszystko, czego nie lubił, bo go nudziło, więc miał subiektywne poczucie wolniej upływającego czasu, więc czasu dłuższego. Można powiedzieć, choć sam tak nie mówił, że próbował mieścić w godzinie parę godzin. Nawet jeśli przez takie działania nie będziemy żyli długo, to będziemy żyli dłużej. Bo możemy wolniej albo szybciej, a to podobne do dłużej i krócej.

Bliżej nie będzie, ale może będzie szybciej. Szybciej to jakoś bliżej. I samolotem jest szybciej niż – powiedzmy – na piechotę. I krócej z punktu A do punktu B, oddalonego od A o tysiąc kilometrów. I w ten sposób B jest, jak się uprzemy tak mówić, bliżej A. Lotem bliżej. Ale nie wiemy, od czego.

Ładną mamy pogodę

Formuła zagadnienia

W innym wariantcie: „ładna dziś pogoda”. Tak często taką pogodą zagadywaliśmy, że stało się to prototypem początku rozmowy. I teraz trudno jest nam, skoro to wiemy, tak właśnie zacząć. Musimy szukać nowych formuł, banalność akurat tej dyskwalifikuje ją, sprawia, że znika ona całkiem z rozmów. Ale kto wie, czy przez to nie stanie się z czasem, jako szczególnie unikana, wyjątkowo oryginalna. Na razie jest symbolem banału.

Bo i o czym tu mówić, kiedy nie ma o czym mówić? A mówić trzeba, to tylko z najbliższymi, z bliską rodziną, z prawdziwymi przyjaciółmi można sobie swobodnie pomilczeć, a jak jesteśmy z innymi, trzeba mówić. I często wiemy, że to mówienie powinniśmy zacząć właśnie my

No to zaczynamy mówić, a najłatwiej mówić o tym, co widać. I co wiąże się z tym, co najbardziej i zawsze wspólne rozmówcom, choćby największymi wrogami byli: z czasem. Ta ładna pogoda jest teraz, dotyczy nas, nas razem. Jeśli jesteśmy meteopatami, a takich wśród nas podobno coraz więcej, to nawet bardzo dotyczy.

Oczywiście zła pogoda dotyczy nas znacznie bardziej i też często stanowi przedmiot rozmowy i też jej początku, ale skarzenie się na złą pogodę nie jest aż tak banalne, bo nie jest wymyślone sztucz-

nie, nie jest zagadywaniem dla zagadywania. O złych rzeczach dobrze porozmawiać, wprowadzić ich nie zmienimy, ale wspólne ponarzkanie może je znacznie złagodzić. A o ładnej pogodzie mówimy już niemal jawnie bez myślenia o niej, tylko po to, żeby zagadnąć, kiedy milczenie ciąży albo kiedy bardzo nam chodzi o kontakt.

I właściwie powinno to być przyjemne dla zagadywanego (czy, często, zagadniętej), wskazuje mu (czy jej) przecież na to, że zagadywającemu (rzadziej zagadywającej) zależy. I stąd ta pogoda, jawny pretekst, ale przecież do pretekstu trzeba mieć dobry i ważny powód. A jednak uznane powszechnie zostało za śmieszne, godne wykpienia, bo jakoby nieudolne i naiwne.



A jest w tym parę smaczków. Po pierwsze, ta ekspozycja przydawki. I na początku ta przydawka stoi, i oddzielona jest od swojego rzeczownika. To i akcent zdaniowy mieć musi. Zaiste, ładna to musi być pogoda. Po drugie, mamy tu to „mamy”, tę wspólnotową formę czasownika posiadania. Jak coś wspólnego mamy, i to ładnego, to jak nie mamy wspólnego tematu znaleźć do rozmowy? A zacznijmy od tego, co przecież mamy. My mamy. Wprawdzie inni pewnie też ją teraz, zwłaszcza tu, mają, ale my chyba szczególnie. I powinniśmy o tym właśnie razem wiedzieć.

Pogoda jest zawsze, dobra czy zła. Ale kiedy jest dobra, możemy nie mówić o tym, że dobra. Inna, niemeteorologiczna, za to metaforyczna, pogoda, pogoda ducha mianowicie, już musi być dobra, żeby być. Zagadywanie ładną pogodą jest zazwyczaj pogodne, świadczy o dobroduszości.

Jak się okazało, nadmiernej.

Mądrej głowie dość dwie słowie

Prysłowie, odnotowane w „Monitorze”, 1771

„A ja tylko dwa słowa: bądź szczęśliwa i zdrowa”. „A tyś rzekł mi dwa słowa, nie więcej: że kochasz mnie i wiatr”. „Benia, ja mam do ciebie dwa słowa”. Popularny wpis do pamiętnika, słowa popularnej piosenki sprzed kilkudziesięciu lat, dialog z *Opowiadań odeskich* Izaaka Babla. Wszystkie te cytaty zastanawiały mnie jako człowieka bardzo młodego i kazały wątpić w prawdziwość dwusłowowości. Nie ma czegoś takiego jak dwa słowa. Dwa słowa to o wiele więcej niż dwa słowa. To co najmniej cztery.

Lakoniczność jest zaletą. Jako lakoniczność, nie jako mrucliwość czy milczkostwo. Cezar ze swoim trzydziślatowo-trzysłowym komunikatem o tym, że przybył, zobaczył i zwyciężył, jest niedoścignionym wzorem. Puszkina jako carski urzędnik musiał napisać raport o skutkach plagi szarańczy. Napisał coś, co w dość dokładnym przekładzie Tuwima wygląda tak: „Szarańcza leciała, leciała i siadła. Siedziała, siedziała, wszystko zjadła i dalej poleciała”. Puszkina zrobił sobie lakoniczny żart z żywiołowej klęski, Cezar raczej nie, ale myślenie zdaje się podobne: po co się rozpisywać?

Pisząc różne podania, zastanawiałem się wielokrotnie, czym wypełnić tę ćwiartkę papieru. I powtarzałem prośby, wywijając sformułowaniami, i zaczynałem wymownie, i kończyłem. A może wystarczy-

łoby parę słów. Na przykład: „proszę o urlop, bo mi się należy”
A po co pisać, że się należy? To wiadomo! Więc: „proszę o urlop”
Krócej to już tylko można by dopełniaczowo: „urlopu!”. Nie, to chyba za krótko.

Przysłowie zdaje się mówić, że kiedy mówimy rozwlekłe, kiedy używamy większej niż dwa liczby słów, nie traktujemy adresata tych słów jako głowy szczególnie mądrej. A co, jeśli ta mądra głowa chciałaby sobie trochę poczytać albo posłuchać? A może lubi nas słuchać?

Wiele mądrych głów uważa przy tym, że trzeba trochę popisać i pogadać, bo tak wypada. Bo to niegrzeczne jest powiedzieć tylko to, o co chodzi, i już. Bo zresztą chodzi często, zwykle, zawsze o to, żeby trochę ze sobą pobyc. A jak tu być bez mówienia?



I wiele, większość chyba, mądrych głów myśli, że wszyscy myślą podobnie, a jak nie myślą tak, to myślą, że tak trzeba myśleć, albo że większość myśli, że tak trzeba myśleć. I że w związku z tym można trochę nieuważnie i słuchać, i czytać, bo nie jest tak, że jeśli jakieś słowo przegapimy, to stracimy cały sens. A gdyby tak było, że mówimy tylko to, co ważne, to by tak było.

Ale naprawdę w przysłowiu chodzi o to, że jak ktoś mądry, to w lot zrozumie. I dwa słowa mu wystarczą, a jak jeszcze mądrzejszy, to może i jedno. I od razu będzie wiedział, o co chodzi. W każdym razie będzie mu dość. Co nie znaczy, że nie możemy sobie jeszcze trochę pogadać.

A „dwie słowie”, a nie „dwa słowa”, bo to stara liczba podwójna. Wtedy jeszcze bardziej słyhać było i widać, także gramatycznie, że dwa. Nie więcej.

Mądry wybór, lepsze życie

Hasło wyborcze Unii Wolności, 1997

Hasło to miało różne interpunkcyjne warianty, subtelnie różniące odcienie znaczeniowe: były z dwukropkiem, z myślnikiem, z przecinkiem, bez niczego. Ale kształt słowny był zawsze ten sam. Było to hasło przyjęte później, już w trakcie kampanii, po odrzuceniu całkiem niefortunnego, przegadanego i wywołującego konsternację i konfuzję hasła: „w lewo? w prawo? zawsze do przodu!”, które nie tylko językowo było niezdarne, a znaczeniowo rodziło poczucie zagubienia i dezorientacji, ale jeszcze do tego dawało się łatwo parafrazować, a w jednej z parafraz „przodu” było zastąpione przez „złobu”, co miało wydźwięk lekko dezawuuujący.

To nowe hasło było oczywiście lepsze i mądrzejsze. Mądry był wybór raczej tego hasła. Choć i ono mogło być lepsze.

Było zgodne ze spokojnym i ciągle niezrozumiale niepociągającym wizerunkiem partii. Najpierw „siła spokoju” Tadeusza Mazowieckiego, potem inne uczciwe, porządne i mało demagogiczne hasła. I efekt zwykle mniej niż umiarkowany.

Tego hasła nie skandowano. Niby to trochę, miara rytmiczna dla hasła typowa, sprawdzona, to ciąg dwusylabowców z akcentami na co drugiej sylabie. Inne hasła, także reklamowe, z tej miary wiele wyciągały. Tu skandowanie jest wykluczone, okrzyki nie-

możliwe, to hasło raczej do spokojnego stwierdzenia, nawet do pomruczenia.

Jego mądra oczywistość jest porażająca. Zgadza się z nim od razu. Nie ma tu co prawda prostego orzekania, nie ma czasownika czy innego orzeczenia, ale w hasłach to normalne. Wiemy o tym i zwykle łatwo potrafimy je uzupełnić. Tu mogłoby to być „mądry wybór daje lepsze życie” albo, jeśli ktoś nie lubi w hasłach zbyt klasycznie zbudowanych zdań, po prostu: „mądry wybór to lepsze życie”.

Jeśli mamy w zwyczaju dokonywać mądrych wyborów, to życie nasze jest lepsze. Jeśli teraz dokonamy wyboru mądrego, poprawimy sobie życie. A już na pewno nie pogorszymy. I dlatego trzeba wybrać mądrze. Chyba nie ma takiego, co by się z tym nie zgodził. Każda partia, każde ugrupowanie, wszyscy powinni się pod tym podpisać.

Skoro to my namawiamy do mądrego wyboru, to należy podejrzewać, że, dla nas przynajmniej, tylko wybór właśnie nas będzie mądry. Wprost tego nie powiemy, ale w końcu mówimy do ludzi mądrych, którzy rozumieją, co to jest mądry wybór i kto jest mądry. Oni już wiedzą. Moglibyśmy nawet nic im nie mówić, ale w końcu jak kampania, to coś trzeba powiedzieć.

Więc, jak trzeba, to proszę bardzo. Radzimy wam mądrze, żebyście dokonali mądrego wyboru, bo on da wam i nam da, i w ogóle wszystkim – lepsze życie.

Taki wybór będzie, proszę was, najlepszy.

Mówi się?

Dawne pytanie telefonistek

To pytanie o kontakt. Nie tego, kto pyta, tylko tego, kto jest pytany, albo tych, co są pytani. Tak się mówi, a raczej mówiło, kiedy się pytało, czy rozmowa telefonicznych partnerów trwa. Czy się odbywa. Czy kontakt, czyli kontrakt z pocztą, która łączy swoimi łączami, jest realizowany. Czy wszystko w porządku. Bo może się nie mówi, może się nie zaczęło mówić albo się skończyło, albo, co byłoby bodaj najgorsze, się przerwało. I tu to nie ci przerwali, co rozmawiali, tylko się przerwało na łączach i rozmowa przerwana. I wtedy trzeba będzie interweniować.

I pytało się tak bezosobowo, bo bardziej chodziło nie o to, żeby konkretni ludzie rozmawiali, lecz o to, by sama rozmowa trwała, toczyła się. W takich okolicznościach używamy „się”, mówi się na przykład, że stąd tam idzie się dwie godziny i nieważne, kto idzie i o normach tak się mówi, na przykład że tak się robi, a owak się nie robi.

Panie telefonistki pytały tak bardzo bezosobowo, że nie ograniczały tego do gramatyki, lecz nawet głos ustawiały do możliwej bezbarwności, a pytanie redukowały intonacyjnie do czegoś w rodzaju stwierdzenia, które przecież żadnym stwierdzeniem być nie mogło, skoro zmierzało do stwierdzenia stanu faktycznego, bo po to było.

I odpowiadaliśmy, że się mówi. Oczywiście, gdy słyszeliśmy, bo gdy nie słyszeliśmy, nie mogliśmy odpowiedzieć. A pytanie było między innymi właśnie po to, żeby wyeliminować naszą niemożliwość jego usłyszenia. Czyli w pewien sposób sensowniejsza, pożyteczniejsza informacyjnie byłaby odpowiedź: „nie mówi się”, mniej prawdopodobna i czasem dość nonsensowna, podobnie jak pozytywna odpowiedź na tak skądinąd częste pytanie: „czy śpisz?”. Taką oczekiwaną odpowiedzią był więc też, a może przede wszystkim, brak jakiegokolwiek odpowiedzi.

Teraz, gdy łączymy się bezpośrednio, nie kręcąc już żadnymi korbkami, niczym już nie kręcąc, lecz wystukując te wydłużające się ciągi numerów, nie słyszymy głosu telefonistek. Rozmawiamy bezpośrednio, sami. Wprawdzie jeszcze bywa, że uświadamiamy sobie, że może niezupełnie, i choć nikt nam nie mówi „rozmowa kontrolowana”, potrafimy przypomnieć sobie formułę „to nie jest rozmowa na telefon”.

I jakoś się mówi, bez mówienia i myślenia, że się mówi.

A „mówi się” mówi się i przy innych okazjach, na przykład wtedy, gdy mówimy, jakie mówienie jest poprawne. Czy mówi się „dwoma kobietami” czy może „dwierema kobietami”. To właśnie to odwołanie do norm, tutaj językowych.

I jeszcze mówi się tak, w konsekwencji, w powiedzeniach. Ciekawe, choć nie najsympatyczniejsze, jest to, że najczęstszym z nich, najbardziej chyba nieprzejrzystym znaczeniowo, jest „mówi się trudno”. Łatwo nam się tak mówi.

Ale mówi się trudno, tak w języku bywa.

Na bezrybiu i rak ryba

Przysłowie, odnotował Michał Czajkowski, 1839

Stara opowieść prawnicza głosi, że jedna z ustaw, traktująca o gospodarce wodnej, a w szczególności dotycząca ryb, zawierała na końcu uwagę: „w rozumieniu niniejszej ustawy rak jest rybą”. Chodziło oczywiście o to, żeby to, o czym było w ustawie, a co odnosiło się do ryb, odnieść i do raków. Pewnie, można by napisać tak właśnie, że to, co dotyczy ryb, dotyczy i raków, ale prawnicy wolli inaczej. A że przy tym mogą, jak im się (czasem, niestety, słusznie) zdaje, wpływać na znaczenia, przynajmniej na rozumienia słów, jeśli nie systemowe, to choćby okazjonalne, to cóż im szkodzi raka na potrzeby tej ustawy w rybę zmienić.

W przysłowiu rak też się rybą staje, ale z przyczyn odmiennych. Otóż ryb nie ma, a potrzebne. Można zatem, dla korzyści tej sytuacji, uczynić z raka rybę albo przynajmniej coś, co można za rybę uważać, a jak i to nie, to chociaż uznać. I taką oto mamy kolejność: „rak jest rybą” – no nie, to nieprawda. Zatem: „raka będziemy uważać za rybę” – nie, i to nie wchodzi w rachubę. A więc: „raka uznajmy za rybę” – nad tym można się już zastanowić.

Mamy bowiem trzy płaszczyzny. Pierwsza, to to, co jest. Rzeczy, sprawy, byty. Ontologia. Jak coś jest, jest. Jak coś czymś jest, to jest. Druga, to to, co o tym myślimy. Epistemologia. Wiemy, że coś jest.

Coś uważamy za coś, dla nas to to jest tym. I trzecia, to, co mówimy, jak to nazywamy. Język. To nazywa się tym. Pewnie, że o tym, co jest, wiemy i dlatego możemy powiedzieć, że jest, i tak dalej, ale możemy przyjąć, że te trzy warstwy istnieją. Tak uważamy. Więc tak możemy powiedzieć.

Ryb nie ma, są raki. Tego się nie zmienia. Nie możemy nawet uważać, że to ryby te raki. Bo uważanie nie od nas zależy. Ale jakbyśmy uznali? Uznanie to nie uważanie, o uznaniu możemy już uznaniowo decydować. W każdym razie możemy uznać, że możemy decydować. Więc uznać.

Raka w rybę nie zmienimy, nie da się. Ale ryb nie ma, mało że nie ma, nie ma i nie będzie, bo to bezrybie. Jak bezrybie, to jak mogą być ryby? Jeżeli to prawdziwe bezrybie, to jednego możemy być pewni: cokolwiek tu jest, nie jest rybą. Choćby miało wszystkie cechy ryby, to to nie ryba, bo tu bezrybie. Ale ryb potrzeba. Wszystko jedno po co, ale muszą być.

No, to trzeba użyć raka. Rak jest. I jest do tego gotowy, żeby być rybą. Albo żeby go za rybę uważać czy w ostateczności uznać. A sytuacja tego wymaga.

Rak zatem stanie się rybą. Jak się nie ma, co się lubi... Z braku laku... Erzace... Kawa zbozowa... Etykiety zastępcze... Wyroby czekoladopodobne... Skąd my to znamy?

Ale jest pewien kłopot. Jeżeli na bezrybiu raka zmienimy w rybę, choćby tylko uznaniowo, to co to będzie za bezrybie? Już nie bezrybie!

A przecież rak jest rybą tylko na bezrybiu...

Na dwoje babka wróżyła

Prysłowie, odnotował Wacław Potocki, 1674

Babka pojawiła się w tym przysłowiu trochę później, najpierw to była wróżka, która „na dwoje szła”. Dziś byłoby to zrozumiałe raczej tylko intuicyjnie. Ale i współcześnie nie jest to przysłowie szczególnie przejrzyste. Zapomnieliśmy, że wróży się „na coś”, a i użycie formy „dwoje” jest nieco dziwne. Skąd tu ten charakterystyczny rodzaj gramatyczny? Może dla podkreślenia różnicy między jednym a drugim z tych, na które babka wróżyła...

Bo istotnie, nie chodzi tu o to, że wróżąca babka przewiduje dwoje, na przykład bliźnięta, tylko o to, że może być jedno, ale może być i drugie, a to drugie to całkiem co innego niż to pierwsze.

Że może być tak, a może być inaczej. Tak albo nie. Tak albo tak. Te formuły są różne, mogą się nawet wydawać przeciwstawne, ale tu akurat chodzi o to samo i to, że raz na to samo mówię „nie”, a raz „tak”, albo raczej ze raz na coś różnego mówię „nie”, a raz „tak”, nie przeszkadza.

Babka jako wróżka nie bardzo się sprawdza, jej pytyjskość może być denerwująca, ale tu nie o nią chodzi. Naprawdę wcale jej nie ma, to my próbujemy bawić się w przewidywanie przyszłości, a właściwie stwierdzamy raczej mało odkrywczo, że różnie to może być. Banal, a daje poczucie pewnej głębi, bo jest, jak to banały, refleksyjny.

A do tego, choć wiemy, że zawsze może być różnie, tylko czasem mamy takie wyraźne poczucie rozgraniczenia. Akcje mogą pójść do góry albo spaść, jak twierdzą analitycy giełdy. Wiatr może być jutro wschodni albo zachodni, tak przynajmniej mówią meteorologowie. Albo rybka, albo akwarium, jak mówią dowcipni parafrazy.

I często to „tak” i „nie” z tego dwojga wiążą się z czymś dla nas dobrym z jednej i złym z drugiej strony. Można wygrać, ale można i przegrać, piłka jest bowiem okrągła. Mogę zyskać, ale mogę i stracić. Wyzdrowieję albo mi się pogorszy. A bezradna babka widzi w tym ambiwalencję losu i wróży na dwoje, na wszelki wypadek i w świadomości niemożliwości rozeznania, co się stanie.

To „na dwoje” usamodzielniało się z czasem i funkcjonowało dla określenia sytuacji krytycznej. „Już było ze mną na dwoje” znaczyło, że mogłem równie dobrze umrzeć, jak żyć dalej, i że to, że żyję, to szczęście. Mogłem nie żyć. W rozwiniętym przysłowiu o babce, dziś już nieprzypisywanym, może właśnie dlatego zresztą, też jest mowa o śmierci: „na dwoje babka wróżyła, albo umrze, albo będzie żyła”. Tu pojawia się dodatkowo uwiarygodniający rym i okazuje się, że babce chodzi o nią samą.

Ta niepewność jest denerwująca, ale i krzepiąca. A poza tym, jeśli chcemy znaleźć jakieś zupełnie pewne przewidywania, możemy sięgnąć do dwualternatywności. „Jeśli na świętego Prota jest pogoda albo ślota, na świętego Hieronima deszczyk jest albo go nie ma”.

Ale wcale nie wiadomo, czy nam zależy na tej pewności rzeczy przyśłych.

Na pochyłe drzewo i kozy skaczą

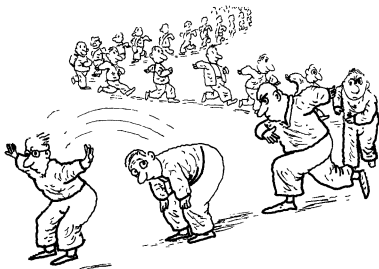
Przysłowie, odnotował Jan Murmellius, 1527

Jest też wariant: „Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą”. Oba w wymiarze dosłownym dość nonsensowne. Pierwsze wskazuje, że pochyłe drzewo jest tak dobrym miejscem do wskakiwania, że nawet kozy, zwykle rzadko skaczące po drzewach, nie potrafią się powstrzymać od skoczenia. Drugie zakłada jakieś dziwne przemiany obyczaju u kóz, które, znalazłszy pochyłe drzewo, skaczą na nie, wszystkie bez wyjątku. Pierwsze bardziej trzyma się rzeczywistości, pokazując jednak pewną wyjątkowość koziego zachowania, drugie, z oryginalnym założeniem, że i na inne drzewa, mniej pochyłe, też skaczą kozy, a na pochyłe to już wszystkie, prezentuje rzeczywistość nazbyt swoistą. Jest jeszcze odmiana tego drugiego, każąca traktować kozy nie w zbiorze, lecz pojedynczo, ale także bezwyjątkowo: „Na pochyłe drzewo każda koza skacze”.

Jak zawsze chodzi o ludzi. Tu są pochyłymi drzewami, a i kozami też. Pochyłość odpowiadać może przygnieceniu przez niepomysłny los, a więc ubóstwu i ogólnemu nieszczęściu, może też oddawać pochylenie charakterystyczne dla przyjmujących pokorną postawę. I przysłowie to znaczy, że jak źle, to źle. I coraz gorzej. I wszystkie nieszczęścia do kupy, więc jak tu się nie poddać. A jak się poddasz, to już w ogóle do niczego. I każdy wykorzysta, i jeszcze dokopie.

Ponure to przysłowie, deterministyczne i defetystyczne. Znajduje dobre umocowania w księgach i doświadczeniu pokoleń. „Mającym będzie dane, a niemającym odjęte”. Nie ma co się spodziewać sprawiedliwości. Wprawdzie w innym miejscu mówi się, że błogosławieni cisi, pokornego serca i ubodzy duchem, bo będą pocieszeni, a w jeszcze innym, że jak prosimy, to się nam da – ale częściej bliższa jest ta kozia perspektywa.

Przysłowie świadczy też o pewnej podłośćkowatości ludzkiego charakteru. Wiktymolodzy zgodni są co do tego, że ofiara może swoją ofiarowością prowokować do pogłębiania swojego statusu ofiary, że pewien typ postawy ułatwia znęcanie się. Te kozy, nawet one albo wszystkie one czy też każda z nich, skaczą na nas, ale i my trochę odpowiedzialności za to ponosimy. Dlaczegośmy tacy pochyli... Mogłoby to przysłowie być wyrazem pognębiającego wszystkie



pochyłe drzewa przeświadczenia, że wyjścia nie ma, mogłoby być wytłumaczeniem nieszczęść, zwykle naszych własnych, przed innymi i nami samymi, czy wreszcie mogłoby być manifestacją spokojnej rezygnacji. Ale chyba bywa częściej ostrzeżeniem przed pochylaniem się jako drzewo. I jako takie może być krzepiące. Wprawdzie na pochyłe, owszem, kozy i różne nieszczęścia, ale my niekoniecznie musimy się tak pochylać.

A samo wyobrażenie kozy wskakującej na drzewo, choćby i pochylę, a szczególnie gromady kóz – jest nieodparcie zabawne.

Nasza wola – Polska gola

Hasło kibiców, lata siedemdziesiąte XX wieku

Dopełniaczowe okrzyki są klasyczną formą żądań zbiorowych. Krzyżące zbiorowości domagają się wielu rzeczy: chleba, pracy, igrzysk. Ta akurat zbiorowość, aktywna jak mało która, aktywna zresztą nie tylko werbalnie, żąda strzelenia bramki przez polską reprezentację piłki nożnej. Zapewne chodzi o ostateczne zwycięstwo, ale do tego zwycięstwa prowadzą zdobyte bramki. Czyli gole. Nie da się ukryć, że o golach lepiej krzyczeć.

„Polska gola!” to okrzyk podstawowy, krótki i bezwzględny. Bywa rozbudowywany. W popularnej pieśni kibiców, przez którą, razem śpiewaną, łatwiej nawet wywoływać jedność tłumu niż przez skandowanie, śpiewano: „Polska gola, Polska gola, taka jest kibiców wola”. Na transparentach z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia widniał napis czterowyrazowy: „Nasza wola – Polska gola”, tak też wtedy wołano.

Struktura prosta, analogiczna. Cztery dwusylabowe wyrazy, więc trochej, czyli na przemian sylaba akcentowana i nieakcentowana. Dobre do krzyczenia, do powtarzania

Prawda, że wyraz „wola” pojawił się tutaj dla rymu z „gola”, co, choć po „wola” następuje, jest dla hasła podstawowe. Ale też użycie tego wyrazu daje całemu napisowi czy też okrzykowi interesu-

jącą perspektywę. Otóż okazuje się, że strzelenie gola ma być realizacją woli kibiców.

Chęć, pragnienie, ochota, zamiar, decyzja, postanowienie – wszystkie te pojęcia coś łączy. W jednych dominuje emocja, w innych nastawienie na realizację. Pragnienie może obyć się bez działania, postanowienie powinno się wcielać w życie. „Wola” to słowo silne, zdecydowane. Często formalnie i sprawczo zapowiadające czynności, a właściwie czyny. Żeby czyn powołał coś do życia, musi być wola. Taka wola powinna być silna. Jeśli ktoś taką wolę wyrazi, powinien mieć do tego wyrażania prawo, i na tym się skończyć nie może. Za tak wyrażaną wolą musi iść działanie: tego, kto wyraża, lub innych, odeń zależnych. „Taka jest moja wola” – to może powiedzieć tylko nie byle kto. Władca, sprawca, decydent. Właściwie jak tak powie, to już jest pewne, że ta wola będzie zrealizowana. Nie można dopuścić, żeby nie.

Kibice wyrażają oto wolę, żeby był gol. „Taka jest nasza wola” – mówią, a właściwie wołają, a naprawdę jeszcze krócej: „nasza wola” – a lapidarność zazwyczaj zwiększa kategoryczność. To wola zbiorowości, ważnej, decydującej o wielu sprawach. Emocjonalnie zaangażowanej.

Trudno się takiej woli przeciwstawić, trudno sobie wyobrazić, by nie została spełniona.

Wyrażanie pragnienia jako pragnienia rzadziej prowadzi bezpośrednio do jego realizacji. Jeśli pragnienie zostanie określone jako wola, szanse realizacji zdają się nieporównanie wyższe.

Zwłaszcza jeśli ta wola będzie wykrzyczana tysiącem gardel.

Na złodzieju czapka gore

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

Mało co jest tak widoczne, jak płonąca czapka. Samą czapkę też widać się dobrze, tym bardziej jak płonie, co zresztą trudne nieco do wyobrażenia.

Znaczy to, że jak kto co ukradnie, widać to po nim od razu. I, żeby metaforę ciągnąć dalej, jest on w niebezpieczeństwie. Nie tylko dlatego, że go widać, sc. jako złodzieja, ale że płomień z czapki jest zagrażający. Spali się złodziej razem z czapką.

Stereotypowy przedwojenny obraz złodzieja kazał widzieć go skradającego się w nocy, przy księżycu, z pękiem wytrychów w ręce, z workiem na plecach, w masce na twarzy, właściwie na oczach. Na głowie złodziej obowiązkowo miał czapkę typu kaszket. Pewnie dlatego, żeby trochę twarz zasłaniała, ale można było sobie naiwnie wyobrazić także, że po to, by miało się co palić, jakby co.

Przysłowie zakładało pewną poczciwość ludzkiej natury. Nie potrafimy udawać, oj, nie potrafimy. Jak coś ukradniemy, zaraz po nas widać, zaraz czapka gore. A z drugiej strony, przenikliwość. Tacy jesteśmy, że przed nami nic się nie ukryje. Jak coś ukradniesz, zaraz zobaczymy płonąca czapkę. Poczciwe jest to przysłowie i nie wydaje się grzeszyć przenikliwością.

Ale poucza. Jak już tak jest, że ukryć trudno, a zobaczyć łatwo, nie powinniśmy ryzykować złych uczynków. Cokolwiek zrobimy, nie da się przed ludźmi ukryć. Cokolwiek zrobisz złego, liczyć się z tym, że zobaczymy to i tak.

Przysłowia, porzekadła zdają się zyskiwać na dawnej formie. Jak coś brzmi staroświecko, znaczy to, że było prawdziwe już bardzo dawno temu. „Gore” to rzadko dziś spotykany czasownik. Ja gorę, on gore – to sobie wyobrażamy. Ty zapewne gorzesz, a my gorzemy – to już znacznie gorzej. A oni? Gorą czy gorzeją? Gorzeją, zapewne, ale to w ogóle inny czasownik, bo i ja gorzeję, i ty gorzejesz, i on gorzeje także. „Gorzeć” ma wszystkie formy, „goreć” już pewnie tylko dwie, utrzymywane też ledwo, ledwo: pierwsza osoba, „ja gorę”, przez opowieść o panu Pogorzelskim, a trzecia osoba dzięki właśnie tej czapce, oprócz której nic już dziś więcej nie gore.

Ale czapka tak.

Ta osobliwość i jednocześnie ta optymistyczna naiwność każąca wyrzekać się kradzieży wydają się tak niedzisiejsze i mało realistyczne, że pojawiły się liczne parafrazy. Złodziejowi zakładano w tych nowszych, teraz już z kolei cynicznych, przysłowiach czapkę futrzaną, szczególnie z karakułów, co miało znaczyć, że owszem, złodziejstwo się opłaca i wykrywane bywa rzadko. Ale mody się zmieniają, karakuły stały się niezbyt częstym materiałem na czapkę i te parafrazy zaczęły także brzmieć archaicznie i przez to dobrodusznie. Tyle że teraz przez zbytnią, a więc również naiwną, oczywistość stwierdzenia opłacalności i bezkarności kradzieży.

Lepsza już ta pierwsza naiwność.

Nicea albo śmierć

Hasło polityczne, Jacek Saryusz-Wolski, 2004

Nie wiadomo, jak długo pozostanie w pamięci Polaków to hasło, dość oryginalnie zawierające nazwę francuskiego miasta. Było silnie związane z okolicznościami i głosiło przymus bronienia pewnych unijnych rozwiązań europejskich, dających Polakom określone przywileje (mniejsza już o to jakie i czy realne), a zapisanych właśnie w Nicei. Ale wyszło poza te okoliczności, będąc przedmiotem gorącego sporu politycznego.

W większości zgadzano się, że to bardzo dobre hasło. Zwięzłe, wyraziste. Każdy, kto usłyszał, wiedział, o co chodzi, i zapamiętywał. Brzmiało po męsku, stanowczo. Choć egzotycznie brzmiące, było patriotyczne, więc mogło liczyć na dobre przyjęcie jako broniące polskich interesów. I jednocześnie ogromna część polityków uważała, że to hasło niedobre, antagonizujące nas z pozostałymi członkami Unii. Że demagogiczne, wywołujące napięcie także wewnętrzne. Posuwano się do wyśmiewania szczególnie głośno prezentującego to hasło polityka Platformy Obywatelskiej Jana Marii Rokity. Imputowano całej tej partii, że chętnie wycofałaby się ze stanowiska, zwłaszcza tak ostro wyrażanego. Istotnie, jak się coś mocno wyrazi, o odwrót trudno, nawet gdyby się chciało. A tu nie wiadomo, czy chcieć, bo hasło dobre. Nawet przeciwnicy widzieli

w nim dobre hasło. Dobre, choć oczywiście beznadziejne i w ogóle głupie. Głupie, ale dobre.

Takie dobre, że nie mogło być oryginalne. I nie było, w każdym razie jeśli chodzi o strukturę i drugi człon alternatywy, bardzo rozłącznej. Ze śmiercią zestawiano wiele wartości, co w końcu sytuację raczej ułatwiało. Mało kto, mając wybór między śmiercią a czymkolwiek, wybierze śmierć, co dopiero gdy drugim członem, wobec śmierci alternatywnym, jest ojczyzna, wolność czy coś podobnie wartościowego. Toteż wybierano te wartości, a najbardziej znaną spośród nich był socjalizm, zestawiany ze śmiercią nie przez kogo innego jak Fidela Castro, co wiarygodności oczywiście dodawało. U Kościuszki była alternatywa: „śmierć albo zwycięstwo”. W klasycznym bandyckim zestawieniu „śmierć albo pieniądze” śmierć także lokowała się na początku, co mogło być tłumaczone możliwością sprawnie wywołanego szoku. W innych połączeniach mamy oczywiście do czynienia ze skrótem myślowym, zestawiającym na przykład socjalizm albo ustalenia unijne po jednej, a kompletną katastrofę, śmiercią nazywaną, po drugiej stronie. Czyli, inaczej



mówiąc: jak nie będzie socjalizmu albo Nicei, to w ogóle śmierć. Albo może inaczej: bronić socjalizmu (lub Nicei) aż do śmierci. Albo wreszcie: mam wybór – albo obronię Niceę (ustalenia itd.) czy też socjalizm, albo umrę. To znaczy po prostu, że będę bronił socjalizmu albo też Nicei do śmierci.

No, oczywiście, niezbyt mądre to wszystko. Ale wyraziste. A ci, którzy skłonni są widzieć w tej wyrazistości znamię funkcjonalności hasła, pokazują jednocześnie świadomość konwencji.

Niech to piorun strzeli



Przekleństwo

„Bogdaj mnie jasny piorun ubił, jeśli nieprawda, zem cię, dalbóg, bardzo lubił, czy kochał” – mówi Tadeusz do Telimeny, zaklinając ją w ten sposób, żeby mu uwierzyła. Bodaj go piorun ubił.

Wiele wariantów ma to powiedzenie, wyrażające raz nieprzeparte dążenie do wiarygodności, gdy odnosi się do mówiącego, raz niechętny stosunek do zdarzeń, gdy do nich. Ostatnio częściej spotykany jest drugi wariant. Jeszcze czasem usłyszymy: „niech mnie piorun strzeli, jeśli nie”, ale częściej mamy w odniesieniu do rzeczywistości: „niech to grom spali”, „żeby to piorun spalił”, „niech to grom strzeli”. Pioruny i gromy mają palić, co bardziej zrozumiałe, lub strzelać, co gramatycznie jest bardziej wątpliwe, ma jednak pewien wzorzec w języku myśliwych, którzy „strzelają zwierzynę”. Strzela się jeszcze byki, błędząc, ale to już inna, frazeologiczna sprawa. Rzadziej namawia się te zjawiska atmosferyczne, żeby trafiły, a bywa, że ich domysłności zostawiamy, co zrobić mają: mówimy „niech to jasny grom ..” i urywamy.

Czasem mamy tu pośredni rozkaznik z „niech”, czasami dość bliskie znaczeniowo podrzędne zdanie celowe z „żeby”. Oczywiście te formy są częste i w innych przeklinających powiedzeniach. „Żeby go pokręciło”, „niech cię drzwi ścisną”, „żeby to diabli wzięli”, „niech

to diabli porwą"... Tak sobie mniej lub bardziej wyrafinowanie przeklinamy, często nie życząc nikomu i niczemu niczego naprawdę złego.

Gromy i pioruny to może być interwencja z góry, znak czuwania nie tyle opatrności, ile surowego sędziego. Gromowładnego Zeusa, Jowisza, Thora czy Peruna. Gromy możemy metaforycznie rzucać i ciskać, ale skądinąd raczej do zmysłu słuchu się one odnoszą. Gromy raczej słyszać, niż widzieć, one grzmiają, choć bywają jasne. Pioruny widzimy i oczywiście słyszymy także, to całość wyładowania. Widzimy ich blask, słyszymy ich huk. Błyskawice natomiast, też w przenośni ciskane, raczej tylko widzimy.

Groźne pioruny etymologicznie mają coś wspólnego z łagodnym praniem. Wydaje się nam dziś, że „pranie” jako bicie, uderzanie, jest metaforycznie wtórne, że najpierw miało znaczenie „czyszczenia”. Jest nieco inaczej – najpierw było jednak uderzanie, a to „pralnicze” znaczenie wzięło się ze sposobu czyszczenia materiałów na mokro: przez bicie kijankami i czym tam popadło i niejako wytłukiwanie w ten sposób brudu.

Dzisiejsze bijące, uderzające pioruny i gromy z praniem się oczywiście nie wiążą, za to przypominają konotacyjnie rozgniewanych gromowładnych bogów, z zapomnianym nieco litewsko-słowiańskim Perunem, który od pioruna wziął nazwę.

Pioruny rzadko dziś w nas godzą. To iskry tylko. A piorunochronem od posądzenia nas o kłamstwo czy nierzetelność może być przywołanie takiego gromu, żeby w nas strzelił, gdy kłamiemy.

Niech żyje nam



Okrzyk, życzenie

„Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam!” – to już śpiew. „Niech nam żyje” – to początek życzeń, zaraz będzie nie tylko wskazanie, lecz najczęściej i opis tego, kto ma żyć. A takie „niech żyje nam” bywa oczywiście fragmentem życzeń, okrzyków i śpiewów, nieraz długich i rozbudowywanych, jak choćby: „łubudubu, łubudubu, niech żyje nam prezes naszego klubu, niech żyje nam!”, ale bywa i samoistne jako reakcja na widok czyjejś postaci lub brzmienie czyjegoś nazwiska. Reakcja zbiorowa. Ktoś daje sygnał, woła wielu. Może zgół wszyscy, z wyjątkiem tego, co to właśnie ma żyć.

To najprostsze, podstawowe wysławianie kogoś, rzecz jasna kogoś, kto żyje. Towarzyszy ono uroczystościom, toastom, wystąpieniom. Jest jednym z podstawowych życzeń, wyrażonym konwencjonalnie i standardowo, ale przy tym w ważny i nawet dość wzniosły sposób. Przy bezpośrednim zwracaniu się do tego, komu życzymy, mówiono (wołano, śpiewano) też w drugiej osobie, czyli: „Żyj nam!”. I ta druga osoba, i ta trzecia, z „niechem”, nie mogła być znaczeniowo zwykłym rozkazującym trybem, tylko trybem życzeniowym, odpowiadała formułom z partykułą „oby” – trudno nam przecież w końcu świadomie, celowo i skutecznie dostosowywać się do tak wyrażonych nakłoneń. Żyć będę sobie żył, ale nie

wskutek rozkaznikowego namawiania czy proszenia. Podobnie z innymi życzeniami, jak choćby „bądź zdrow”.

Może się wydawać, że dosyć skromne jest to życzenie. Czy naprawdę życzymy komuś, kogo wystawiać w ten sposób chcemy, zaledwie tego, co i tak ma miejsce? I nawet nie dodajemy, że chodzi o to, żeby długo żył, na przykład sto lat, albo żeby jakoś szczególnie szczęśliwie. To znaczy możemy dodawać, ale okrzyk się w ten sposób zepsuje i będzie z tego coś innego. Ale chyba nie o zwykłe przedłużanie życia tu chodzi. Może jest tam gdzieś ukryte, lecz założone milcząco, długie życie w pamięci, może mamy tu do czynienia z odniesieniem do jakiegoś specjalnego, pełnego i prawdziwego życia...

W każdym razie, w tej przynajmniej wersji, jest to życie, z którym i my, okrzykujący, mamy coś wspólnego. Wskazuje na to całkiem nieoczywisty gramatycznie celownik zaimka osobowego „my”. Ten, kto żyje i ma żyć, ma żyć nam. Pewnie, sobie też, ale to nie jest i nie będzie egoistyczne życie dla siebie, żadne tam życie sobie, a nie trzeba dodawać, że oczywiście nie może to być takie sobie życie. To będzie życie dla nas, życie, z którego i my, a może przede wszystkim my, będziemy mogli, czy wręcz mamy, wyciągać korzyści.

Taki celownik pierwszej osoby, częściej w liczbie pojedynczej, bywa stosowany, gdy chcemy podkreślić więzi łączące nas z tymi, do których i o których mówimy. Apelujemy zatem z troską: „tylko mi się nie przezięb”, albo kategorycznie zakazujemy: „zebyś mi się nie ważył!”. Takie rzeczy masz robić, czy też nie robić, jakoś też mnie, dla mnie. Ważne to dla mnie.

A nam – niech żyje.

Nie kładź palca między drzwi

Przysłowie, odnotował Szymon Budny, 1580

„Drzwi” to jeden z rzeczowników bez liczby pojedynczej. Nie wiadomo nawet, jak mogłaby ta liczba wyglądać. „Jedno drzwio?” Nonsens. Inne wyjścia jawią się nam jako jeszcze bardziej absurdalne. Nie ma niczego takiego pojedynczego. Drzwi są tylko mnogie, bardziej niż spodnie, bo spodnień sobie jakoś wyobrażamy, bardziej chyba niż nożyce nawet.

I jeżeli jest coś między drzwiami, to między jednymi drzwiami i drugimi drzwiami. Jak się bardzo uprzemy, możemy i jedno, i drugie nazwać parą drzwi i wtedy będzie to między dwiema parami drzwi. Ale to chyba będzie bardziej dziwne i może przywołać na myśl cztery drzwi (cztery pary drzwi? Idź precz, szatanie!).

Między jednymi drzwiami i drugimi drzwiami może być trochę miejsca, na przykład jakieś pomieszczenie. Pokój – powiedzmy. Z jednej strony jedno drzwi, z drugiej drugie. Pokój pośrodku. Między. Stosunkowo sporo miejsca między takimi drzwiami.

I na nic byłoby ostrzeżenie dotyczące kładzenia czy niekładzenia, a nawet (bo i tak bywa w innych wersjach tego przysłowia) pchania czy niepchania palca między tak usytuowane drzwi.

I dlatego, zapewne, na okazję tego przysłowia wyobrażamy sobie pojedyncze drzwi (jeśli ktoś już bardzo chce, to parę drzwi), i to

jeszcze właśnie domykające się, i palec między tym, co nazywamy drzwiami (jeśli nie określamy tym mianem całego układu wraz z futrynami, czyli ten drewniany najczęściej, ruchomy prostokąt – a jeśli takie dwa są, bywają nazywane skrzydłami), a futryną.

Drzwi się właśnie zamykają. To też, ściśle rzecz biorąc, jakiś absurd, bo to przecież nie drzwi są otwarte ani zamknięte (choć tak uważał Marivaux, mówiąc, także zresztą niesłusznie, że drzwi muszą być albo otwarte, albo zamknięte), tylko pomieszczenie, do którego te drzwi prowadzą. Albo z którego wyprowadzają.

No dobrze, powiedzmy, że drzwi się zamykają. To znaczy, że ta prostokątna, drewniana (choć może być na przykład częściowo szklana) część zbliża się do takiego obramowania (zwanego czasem futryną, a dawniej obrazowo i pięknie uszakami). I wtedy właśnie nie powinniśmy tam kłaść palca. Jak już drzwi bliskie zamknięcia. A jak bardzo bliskie, to nie możemy tam palca pchać.

I jest to tak oczywiste, że aż dziwne, że trzeba nas o tym pouczać. Ale to rzecz jasna metafora i chodzi o to, żebyśmy w konfliktach starali się nie brać udziału, bo to tak, jakbyśmy między drzwi, cokolwiek by to znaczyć mogło, palec wtykali, wsadzali czy wręcz pchali. Bo nam przytrzasną i wtedy będzie nam już wszystko jedno, jak nazwać to, co z nim właśnie byliśmy zrobili.

Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera

Hasło werbunkowe, Henryk Sperber, 1944

Jak coś do rymu, to prawdziwsze. Także i dlatego ta chęć taka szczerą. Inna by nie dawała oficera. A tak jest optymistycznie i wiarygodnie. Tak werbowano do Wojska Polskiego.

Rzecz jasna chodzi o szczerą chęć kandydatów na oficera, chęć, by być oficerami. Kiedyś status oficera był bardzo wysoki, oficerowie to była przed wojną elita. Wprawdzie, choć tak się wysoko nosili, wojny nie wygrali, ale co stereotyp, to stereotyp. Zostaje dłużej. Tak ze oficer to bardzo dobrze.

Żeby nim być, potrzebny jeszcze status wykształcenia. Matura to duża rzecz, daje szansę. Ale jak tu ją szybko zdobyć? I okazuje się, że mamy alternatywę. To szczerą chęć.

Jak nie wolno, ale bardzo się chce, to można – mówi jakże realistycznie Szwejk. Istotnie, przy wielkiej chęci tak bardzo miłą regułę, że dobrze jest z tego milknięcia regułą uczynić. Bo nawet jak jej nie będzie, będziemy z nią w zgodzie postępować.

I ta szczerą chęć ma siłę sprawczą. Pewnie, sama nie wystarczy, ale wiele przeszkód pozwoli pokonać. Zwłaszcza jakiś brak formalności. Formalność, wiadomo, jest z natury swojej zbyt ciężka. I za taką formalność może tu być uznana matura. Masz ją czy nie masz, różnica w istocie formalna. A przecież istnieje kryterium o wiele bar-

dziej naturalne, czyli prawdziwe, takie, które bardziej czujesz, które w dobrym znaczeniu od ciebie właśnie i tylko od ciebie na dobrą sprawę zależy.

To szczere chęci. Ale nie ma łatwo, muszą być naprawdę szczere. Tyle że stopień szczerości sam oceniasz. Wiesz, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane, i dlatego nie o dobre chęci tu chodzi. To idealistyczne fanaberie. Tu chodzi o prawdziwą, naturalną, ludową chęć. Szczera.

Samej chęci pewnie nie wystarczy. Ale ona jest najważniejsza. Jeśli jest naprawdę szczera, pozwoli pokonać inne trudności. Jej szczerość będzie kryterium skuteczności. Jeśli mimo chęci oficerem nie zostaniesz, będzie to znaczyć, że chęć nie była zupełnie szczera. Inaczej byłbyś już oficerem, a jakże.

Zestawianie zewnątrznie w końcu, z pewnymi pretensjami do obiektywizmu, przyznawanej matury z wyłącznie wewnętrznie weryfikowaną szczera chęcią zdaje się wyrażać zaufanie do człowieka, przynajmniej w aspekcie samooceny. Istotnie, ktoś zna mnie lepiej niż ja sam? Kto może wiedzieć równie dobrze, na co zasługuję, do czego się nadaję? Czy dobry byłby ze mnie oficer?

Jeśli zdamy się na dobrodziejstwa samooceny, jeśli chęci szczere wystarczą do uczynienia chętnych oficerami, świat stanie się piękniejszy. Nikt nam nie będzie przeszkodą i wreszcie będziemy mogli robić to, na co naprawdę zasługujemy.

Kłopot tylko, że wszyscy inni też.

Nie ma wolności bez „Solidarności”

Hasło solidarnościowe z okresu stanu wojennego, 1982

Nie ma dymu bez ognia, a bez pracy kołaczy. Jak jedno z drugim jest nierozzerwalne, to bez pierwszego nie ma drugiego, a bez drugiego pierwszego. Czasem rzecz w tym, co pierwsze.

Jak powiem, że nie ma dymu bez ognia, mówię, że coś w tym jest. Są oznaki, muszą być oznakami czegoś. Tego właśnie. Nie ma skutków bez przyczyny. Musiał być jakiś powód. Nie jestem szczególnie odkrywczy, przeciwnie, sadzę banały, ale widocznie trzeba je przypomnieć, bo jakoś sobie z nich nie zdajesz sprawy.

Gdybym powiedział (a mogę przecież), że nie ma ognia bez dymu, mówiłbym, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Jeżeli wszedłeś między wrony, to kracz. Jak jest przyczyna, to skutku nie może nie być i z obecności czegoś, co mogę uznać za przyczynę, wnioskować pewnie mogę o konieczności czegoś, co skutkiem tej przyczyny jest lub będzie. Choć, oczywiście, jeśli mówię o skutku przyczyny, podobnie zresztą jak wtedy, gdy mówię o przyczynie skutku, popełniam błąd tautologii.

A bywa jeszcze inaczej i może być tak, że jedno z drugim są po prostu połączone. Czasem tak bardzo, że to jedno to prawie część drugiego. Albo drugie pierwszego. Jeśli nie wiadomo co czego, to po prostu są nierozzerwalne i nie może być tak, że jedno jest, a drugiego nie ma. I odwrotnie też.

Nie ma wolności, jeśli nie ma solidarności. Te dwie wartości powinny być blisko, nie są wszelako od siebie koniecznie zależne. Można sobie wyobrazić wolność społeczeństwa, w którym solidarności, a w każdym razie jej objawów, nie spotyka się zbyt często – jak też solidarne, a przecież zniewolone, społeczeństwo.

Tu jednak chodzi o „Solidarność”, zalegalizowany związek zawodowy, niezależny i samorządny, bez którego, nawet jeśli będą nam to silnie w głowy kładli, wolności sobie nie wyobrazimy. A jak nie wyobrazimy, to nie będzie, bo przecież naprawdę wolność jest stanem postrzeganym subiektywnie i jeśli postrzeganym nie jest, to go nie ma i już.

To hasło było jednym z najczęściej, najbardziej konsekwentnie powtarzanych w okresie stanu wojennego, a i potem. Władze zapewniały, że Polacy żyją w wolnym państwie, a odpowiedź była ciągle taka sama. Jak nie zalegalizujecie „Solidarności”, to nie mówcie o wolności, bo jej nie będzie. Bez „Solidarności”.



Oczywiście wcale przez to nie mówimy, że jak będzie „Solidarność”, to od razu uznamy, że wolność też już jest. Istnienie „Solidarności”, legalne naturalnie, bo naprawdę i tak „Solidarność” żyje, jak wiemy, jest warunkiem koniecznym, ale wcale nie jest powiedziane, że wystarczającym do istnienia wolności.

Ale najpierw ją zalegalizujcie, a potem zobaczymy.

Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

Przysłowie wzięło się z łańcuskowej opowieści o babie, która kupiła sobie prosię i ten zakup spowodował nie jeden, ale cały szereg kłopotów, bo likwidowanie każdego z następujących po sobie kłopotów powodowało następny, jeszcze większy. I tak się baba męczyła. Ale najpierw kłopotu żadnego nie miała. Tylko że o tym pewnie nie wiedziała. Kiedy nie mamy kłopotu, zwykle nie wiemy, że go nie mamy. Co innego, kiedy go przestajemy mieć. Wtedy odczuwamy jego brak. To znaczy, wcale nam go nie brak, tego kłopotu, tylko czujemy, że go nie mamy i o to nam chodzi. O to nam chodziło wtedy, kiedy go mieliśmy – żeby go nie mieć. Wniosek stąd, że aby naprawdę nie mieć kłopotu, trzeba go najpierw mieć. Inaczej nie w pełni nie będziemy go mieć.

Baba z opowiastki kłopotu czy serii kłopotów w końcu się pozbyła. Musiała być bardzo szczęśliwa, ta baba. Potem. Ale przysłowie łąpie ją w środku opowieści, wtedy, gdy ten kłopot ma, duży i dość świeży, bo mowa tu o zapewne całkiem niedawnym sprawieniu sobie pierwszego kłopotu: o kupnie prosięcia. I dziwimy się jej, dlaczego ten brak kłopotu (nieuświadamiany, ale tego sobie nie uświadamiamy) baba zechciała, nieopatrznie i lekkomyślnie, na kłopot zamienić.

Przypominamy sobie tę babę i jej prosię, gdy ktoś (nas samych nie wyłączając) nagle staje w obliczu kłopotu w konsekwencji własnej decyzji, najczęściej oczywiście podjętej w intencji poprawy losu, statusu czy samopoczucia chociażby. Coś sobie na przykład kupujemy. Nie było nam to konieczne i bez tego nie było tak źle. A teraz to mamy, co kupiliśmy, i okazuje się, że wcale lepiej nie jest, a jeśli nawet pod jakimś względem jest, to pod innym dużo gorzej, bo kłopot, tak że per saldo się nie opłaciło.

Nie zawsze zresztą chodzi o kupno, bo z przysłowia dzisiaj cytowana jest właściwie najczęściej sama pierwsza część.

Nie miała baba kłopotu... I potem już nic dopowiadać nie trzeba. Wszyscy rozumieją. Formalnie z tego czasu przeszłego nie musi wynikać wprost, że teraz już go ma, ten kłopot, ale na mocy implikatury tak to sobie właśnie wyobrażamy. „Nie byłem żonaty do trzydziestki” – mówiąc tak, niby nie mówię jednoznacznie, że po trzydziestce się ożeniłem, bo formalnie niewykluczone, że mogłem i potem być kawalerem, a jednak wszyscy usłyszą w tym zdaniu informację o moim ślubie koło trzydziestki. I w przysłowiu o babie usłyszą informację o aktualności jej kłopotu. Tak, teraz kłopot jest. A mogła baba go nie mieć. Sama sobie winna. Lepšie jest wrogiem dobrego, a baba nie pamiętała o tym i prosię sobie kupiła. I my sami mówimy tak często o sobie. I tak mówiąc, dziwimy się po trochu, co nam do głowy przyszło. Po co nam to było.

Pamiętajmy jednak, że dopiero jak kłopot minie, naprawdę go nie będzie!

Nie mów hop, póki nie przeskoczysz

Przysłowie, odnotował Mikołaj Rej, 1549

Albo „zanim przeskoczysz”, albo „zanim nie przeskoczysz”. To takie wyjątkowe przypadki, gdzie „tak” i „nie” to wszystko jedno. Ale „póki” tylko z „nie”. „Póki”, „dopóki”, „zanim” – wszystkie te dziwne słowa mówią o jakiejś granicy czasowej, do której coś się dzieje albo ma dziać. „Póki żyję, działam”. To samo znaczy „póki nie umrę, działam”. Tu negacja ma jasną funkcję. „Póki”, „dopóki” są z czasownikami niedokonanymi. Póki okręt walczył, Słowacki siedział na maszcie. Jak mówimy o końcu, w końcu dokonanym, pojawia się „nie”. „Zanim” dajemy częściej, gdy przed jakąś granicą jest czy ma być jakaś czynność dokonana. „Zrób to, zanim wyjdiesz”. I to logiczne. „Zanim nie” stosowane jest wtedy, gdy przeczenie odnosi się do tego, co przedtem, i wtedy, gdy to, co przedtem, jest niedokonane. „Nie zrobię tego, zanim mnie nie poprosisz”. „Siedzę, zanim mnie nie wyrzucą”. Ale i bez negacji można: „siedzę, zanim mnie wyrzucą”.

Tu nam się radzi – bo przysłowie ma charakter radząco-ostrzegający – żebyśmy nie mówili, póki nie przeskoczymy. Czyli zanim nie przeskoczymy. Czyli zanim przeskoczymy. Krótko mówiąc, przed przeskoczeniem.

Przeskoczenie jest dokonane. Przeskoczyłem, przeskoczę. Czasu te-

rażniejszego brak. Jest „przeskakuję”, ale to o przeskakiwaniu, nie o przeskoczeniu. Czyli zgodnie z przysłowiem mógłbym powiedzieć „hop” dopiero wtedy, gdy przeskoczę. Po przeskoczeniu.


Dziwnie by chyba brzmiało takie „hop” po wszystkim. To „hop” zwyczajowo wiąże się ze skakaniem, jest jakby jakimś jego słownym odpowiednikiem. Albo i wręcz nazwą. A często to zachęta do skoczenia. „No, hop!”, „skacz!”. I ktoś wtedy skacze. Albo nie. Mógłbym tak siebie zachęcać, gdybym chciał skoczyć, ale się na przykład bał. Ale chyba bym nie zastosował takiego wykrzyknika już po swoim – a także cudzym – skoku. Chyba że bym opowiadał o jakimś dawnym skakaniu i użył tego „hop” jako nazwy czynności „I ja wtedy hop, i byłem po drugiej stronie muru”.

To jasne, nie powinniśmy mówić, że coś było, jak jeszcze się nie stało. Choć czasem tak próbujemy rzeczywistość zaklinać. Ale z takimi skokami, z działaniami ryzykownymi, bywa tak, że potrzebujemy otuchy do nich i zachęty. Takiego właśnie „hop”, żeby ktoś nam powiedział, żeby skoczyć i kiedy skoczyć. I jak nikt nie chce, sami sobie „hop” wołamy.

Tym bardziej że nie do końca ustalone jest tego „hop” znaczenie. Bo jest jeszcze i leśne nawołujące „hop, hop!”, i mitygujące „hop, hop, nie zapędzaj się!”, i w innych okazjach też można jakoś to zastosować...

Byłbym za tym, żebyśmy sobie takiego „hop”, w dowolnych znaczeniach, mogli używać, a ponieważ to sobie, to niekoniecznie głośno. A innych „hopem” zachęcamy.

A po przeskoczeniu mówić „hop” w ogóle nie warto.



Nie śmiej się, dziadku, z cudzego upadku

Przysłowie, odnotował Bartosz Paprocki, 1576

To jedno z przysłów, wywołujących interesującą wizualizację. Wyobrażamy sobie obserwującego czyjś upadek i zaśmiewającego się z tego powodu dziadka. Zresztą, przez pewne symetryzujące przeniesienie, ten upadający też jest leciwy, przez co cała sytuacja staje się jeszcze śmieszniejsza. Sami się z niej śmiejemy. A czyjś dosłowny, fizyczny upadek, na przykład przez poślizgnięcie się – powiedzmy – na skórcie od banana, był jednym z najczęściej wykorzystywanych gagów filmowych. Co innego, gdyby chodziło o upadek moralny, ale w przypadku upadku dziadka... Też jakoś, nie wiemy czemu, rozwesela...

Nawoływanie do syntonii, do empatii, do wczucia się w rolę upadającego brzmi w tym przysłowiu prosto i wiarygodnie. Śmiech w takiej sytuacji jest objawem wrogości, naganego odczuwania satysfakcji z tego, że kogoś spotkało coś nieprzyjemnego.

Współczucie w dawnej polszczyźnie miało różną składnię. Współczuło się komuś, tak jak i dzisiaj, ale także współczuło się z kimś, co logiczniej nieco wiąże się z pierwszym członem czasownika – „współ-” w końcu wskazuje na jakieś bycie razem z kimś. Dziś współczujemy „komuś”, używając celownika. Wprawdzie lepszy on niż biernik, zupełnie już przedmiotowo traktujący nazwany nim

obiekt, również żywy, a nawet ludzki – ale nie w pełni satysfakcjonujący humanistycznie. „Komuś” coś dajemy, ofiarowujemy, lecz też zazdrościmy i dokuczamy. Nazywa on beneficjanta, otrzymywacza, nie tylko dobrych naszych działań i uczuć. Ten dawniejszy narzędnik towarzystwa wraz z solidarnym przyimkiem „z” lepiej chyba o nas mógł świadczyć.

Rozwinięcie przysłowia odwołuje się do argumentacji dość przyziemnej, mało szlachetnej. Dlatego nie powinniśmy się śmiać z upadków, że i nam się mogą, nawet w najbliższej przyszłości, przygodzić. Dziś mnie, jutro tobie. Poczekaj, zobaczysz. Tak pomyślawszy, rzeczywiście dobry humor, wywołany cudzymi niepowodzeniami, możemy utracić.

Przysłowie jest wypowiedziane raczej z pozycji dziadka upadającego niż dziadka oczekującego na swoją kolejkę do upadku. Albo przynajmniej z pozycji obserwatora, potępiającego dziadka wesołego. Ale może być i autorefleksją kogoś, kogo czyjeś kłopoty raczej bawią, niż smucą. Kogoś, kto w ten sposób się uszlachetnia.

Bo i istotnie, z czego tu się śmiać? Nam nie polepszy się od pogorszenia sytuacji innych. A jak nam by się coś stało, pomyślimy, jak cudzy śmiech by nam dokuczył. To może lepiej się nie śmiać.

Tylko jak tu się nie śmiać. I w ogóle przecież lepiej być wesołym. Przyjemniej. Ten upadający też to w końcu zrozumie. Może pośmiej się się potem z nas. A jeśli naprawdę ma poczucie humoru, to teraz, horyzontalnie, pośmiej się razem z nami. Empatycznie.



Święci garnki lepią

Przysłowie, odnotował Jacek Przybylski, 1819

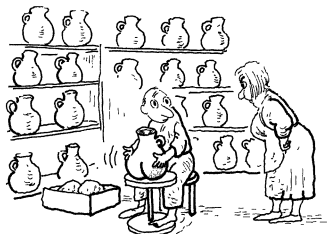
W potocznym przekonaniu garnki w ogóle z lepieniem nie mają nic wspólnego. Same garnki już coraz mniej istnieją, a lepienie też ma jakiś wątpliwy status. Jeszcze niedawno, owszem, były garnki, rondle, nawet saganki – metalowe, okrągłe pojemniki, w których coś się pichciło, gotowało. Lepić ich oczywiście nie można było. Teraz, jak się wydaje, garnki pozostały w jakichś przenośniach, a naprawdę mamy nowoczesne naczynia kuchenne. Pewnie to z powodu niedobrych skojarzeń, które garnki wiązały z obligatoryjną pracą w kuchni, gotowaniem, zmywaniem i w ogóle.

Lepienie jako czynność kojarzy się dzisiaj głównie, jeśli nie wyłącznie, z dwoma typami działań: z artystyczną lub paraartystyczną twórczością (rzadziej) oraz z dość zmundnym scalaniem czegoś, co nie daje się dopasować, na przykład jakiegoś programu czy budżetu (częściej). Z garnkami wcale.

W przysłowiu są jeszcze święci. Owszem, używano czasem tego słowa w sensie pozasakralnym, nieco przenośnie, z myślą o ludziach szczególnie dobrych, zwłaszcza cierpliwych i wyrozumiałych, ale główne znaczenie pozostało: to ci, których jakiś Kościół (zwłaszcza rzymskokatolicki) wyniósł na ołtarze, uznał godnymi czci liturgicznej.

Wydawałoby się, że ze wszystkich słów przysłowia właśnie „święci” najbardziej narazeni byli na anachronizację i archaizację, a tu masz, wcale. Już bardziej archaizują się „garnki” i nazywający zwykłą czynność czasownik „lepić” też.

Garnki dawniej się lepiło z gliny. Głównie robili to garncarze. Dziś też różne konfekcyjne naczynka z gliny i innych glinek powstają, ale jeśli ktoś je nazywa garnkami, to przenośnie, ludowo lub staropolsko. Czynność lepienia takich garnków nie była zapewne całkiem łatwa, ale uważana była za jakąś dostępną nawet amatorom. Przysłowie głosi, że tak jak do wytwarzania z gliny, czyli lepienia, naczyń, zwanych garnkami, nie trzeba szczególnego kunsztu, tak i do tego, o czym aktualnie mowa, może się wziąć ten nawet, kto nie jest specjalnie przygotowany. Spróbujmy, nie święci garnki lepią. To nie takie znów trudne. I my się do tego nadajemy. I ty, i ja także...



To nie tyle deprecjacja zajęcia czy wytwarzanych dóbr, ile wiara w ludzkie możliwości. Gdyby tylko święci mieli patent na lepienie garnków, garnków nie byłoby wiele, a są. Inna rzecz, że święci mało się kojarzą z profesjonalizmem, do tego garncarskim.

Pewnie, że możliwa byłaby i inna interpretacja: że oto święci garnków nie lepią, lepią je inni, którzy, nie mając cechy świętości, zapewne mają cechy inne, bardziej predysponujące ich do lepienia. A święci nie, prawdopodobnie nie umieją. I dlatego może jeszcze trudniej je lepić.

Ale wiemy, że to pogodne, pełne wiary w ludzkie możliwości przysłowie. I że jeśli przysłoby jakiś garnek ulepić, możemy śmiało próbować.

Nie wychylać się

Napis ostrzegawczy, XX wiek

Zartownisie utrzymywali, że w latach dwudziestych ubiegłego wieku pod oknami wagonów kolejowych w Palestynie był umieszczony napis: „Wyglądaj, wyglądaj, ładnie będziesz wyglądał!”. Wskazywałby on na ciekawą, zabawną i w sumie miłą grę komunikacyjną, możliwą tylko w warunkach silnej wspólnoty językowej. I wieloznaczność czasownika, i ironiczna zachęta w miejsce ostrzeżenia – sam chciałbym, żeby instytucje tak ze mną rozmawiały

Napis o wychylaniu się jest prosty i jednoznaczny. Jest przy oknie, z którego wychylanie się jest ryzykowne. Jest w bezokoliczniku, który jest bardziej oficjalny niż rozkaznik i zwiększa bezosobową kategoryczność. Brzmi nie jak rada, ale jak surowy zakaz.

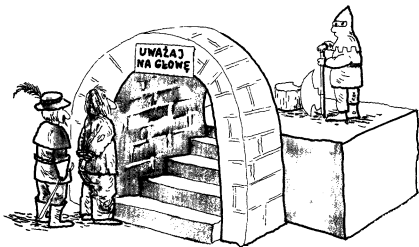
Zakazy nieczęsto są interpretowane jako wyrazy troski o dobro tego, komu się zakazuje. Mam tego nie robić i już, nikt nie mówi, że to dla mojego dobra. Słyszę w tym zapowiedź konsekwencji: jeśli zrobię coś zakazanego, spotka mnie kara. Częściej myślę wtedy o ponoszeniu odpowiedzialności niż o moim bezpieczeństwie. Zapinam pas, by uniknąć nie tyle obrażeń w wypadku, ile mandatu, przez ulicę nie przechodzę na czerwonym, bo policja.

Wychylanie się, podobnie jak silniejsze znaczeniowo wyłamywanie się, odnosi się metaforycznie do zachowań nonkonformistycznych,

nawet społecznie ryzykownych. Jeśli się wyłamuję z grupy, nie mogę liczyć na jej solidarność, a w końcu mogę spodziewać się ostracyzmu. Jeśli się wychylam...

Wychylanie się nie jest bezpieczne także w tym przenośnym znaczeniu. Brak określenia, z czego mianowicie, trochę uabstrakcyjnia odniesienie, czyniąc z wychylania stałą cechą zachowania, z jednej strony może i godnego podziwu jako znamię odwagi cywilnej, z drugiej wskazującego na niedostatek rozważy, a może i umiejętności przewidywania.

„Nie wychylać się” używane bywało często dość ironicznie raczej przez tych, którzy piętnowali w ten sposób zbyt ni konformizm. Oni też byli autorami również złośliwej formuły „BMW” („bierni, mierzni, ale wierni”). Wierność, lojalność – to poważne wartości, wszak nie absolutne, i ich ocena zależy od obiektów (a może podmiotów?). Zależy, komu wierzymy. Posłuszeństwo już w ogóle słabo pretenduje do bycia wartością.



Naruszanie zakazów samo w sobie może być przedmiotem podziwu tylko w mało rozwiniętych społecznościach. Ale skłonność do posłuszeństwa, nawet jeśli bywa uznawana za cnotę, to raczej nie bywa jako cnota szczególnie eksponowana. Tendencja do niewychylania się znamionuje jednostki pokorne, tchórzliwe, przeciętne, w ogóle mało jednostkowe. I prostackich cwaniaków.

Nie powinniśmy się wychylać dla samego wychylania. Także nie na przekór, tylko dlatego, że to zakazane. Ale sam zakaz nie powinien nas powstrzymywać od wychylania się.

Nie powinniśmy się nie wychylać tylko dlatego, że nam zakazano.

No to frugo

Hasło reklamowe, Kot Przybora, lata dziewięćdziesiąte XX wieku

„Fruugo” jest nazwą napoju owocowego, który wszedł na rynek z wyrazistą, nawet miejscami agresywną, ale i zabawną, kampanią reklamową, z tym właśnie hasłem. „Fruugo”, bo ma się kojarzyć z owocami, a każdy odniesie początek nazwy („fru-”) do owoców: „frukta”, „fruit” i tym podobne.

Ale jednocześnie „fru!” to onomatopeja fruwania. Jak ktoś czy coś frunie, to robi fru! Albo fruuuu! A jeśli ma pofrunąć, to znaczy, że ma tego tu nie być. „Fruwaj stąd!” to mało grzeczna zachęta do oddalenia się. I jeśli brak grzeczności jeszcze wzmóc lapidarnością chcemy, to będzie „fru!”. Bywa też, że z własnej woli ten, kogo się chcemy pozbyć, się nie oddali. Albo że w ogóle nie będziemy do niego adresowali żadnych apeli, bo tego na przykład niegodzien. Że będziemy się go chcieli pozbyć wbrew jego woli, nawet może z zastosowaniem pewnego przymusu. Że go po prostu będziemy chcieli wyrzucić, nakłaniając do tego aktu innych. Wyrzucić go. Wy... go. Sprawić, że on fru! Wyleci. My go po prostu fru! Stąd. Fru! go. Fruugo! Jak się to odpowiednio powie, staje się jasne.

I w hasło mówiło się to dosyć odpowiednio.

Bo wiele rzeczy może nas integrować, a wyrzucanie kogoś poza nasze towarzystwo – szczególnie. Klipy reklamowe początkowej



kampanii, pokazujące wyjątkowo niesympatycznych zgredów, próbujących narzucić młodemu własny stosunek do owoców, usprawiedliwiały w całej rozciągłości nawet bardziej brutalne nawoływania niż fru! go.

Ale żeby sukces był pewny, trzeba stworzyć dobre warunki do przyjęcia tego apelu. Językowo możemy próbować pobudzić przez różne rozkazniki, okrzyki i tak dalej. Ale dobrze też sięgnąć po wypróbowaną partykułę, która jak mało co potrafi stworzyć warunki zachęty. Czyli „no”.

Tak pobudzamy innych do działania, wspólnego z nami najczęściej. „No chodźmy wreszcie!”. „No zróbmy coś!”. Mało tego, samych siebie tak pobudzamy: „no, muszę iść”; „no, trzeba się zbierać”. Jak powiem takie „no”, sam poczuję, że to właśnie pora, że trzeba, że inaczej się nie da.

I można dodać jeszcze reaktywne „to”. Jak coś się dzieje, my reagujemy. Dzieje się – to reagujemy. „Jak tak, no to tak” – jak powiedział jeden z kandydatów na premiera, kiedy się dowiedział, że właśnie nim został.

„No to frugo!” – to znakomicie, agresywnie skonstruowane hasło miało ogromny potencjał pobudzający i integrujący. „No to cyk!” – wołały i wołają do dziś ci, co chcą się napić. „No to już!”. Zapowiedź „no to” i kadencyjne „juz”. Albo „fru go”. Mamy wrażenie, że naturalnie reagujemy na to, na co trzeba naturalnie reagować, że pobudzamy się wzajemnie i czujemy się pobudzeni, że integrujemy się wobec kogoś, kogo usuwamy, i czegoś, co jest dla nas właśnie. Bo my też, cokolwiek by to znaczyło, fru! ten napój też. Wypijemy.

Fru. No.

Od przybytku głowa nie boli

Przysłowie, odnotował Salomon Rysiński, 1618

„Co za dużo, to niezdrowo” – mówi jedno ze starych przysłów, potępiających nadmierności. *Omne nimium nocet*, każdy nadmiar szkodzi. A to przysłowie o przybytku zdaje się mu polemicznie odpowiadać. Ale też wiemy, że „zbyt”, „zbyttnio”, to niedobrze, to tkwi w znaczeniu tego słowa, podobnie jak w znaczeniu tego akurat „za”. I za dużo niedobrze, i za mało. I w ogóle takie „za” to niedobrze.

Ale tu nie „za”, nie „zbyt”, nie zabytek ani zbytek, tylko przybytek. I to nie taki przybytek, do którego się przybywa, czyli taka budowla, tylko taki przybytek, który wynika z samego przybywania. To, co przybyło. Więcej.

Szybciej, wyżej, dalej. Chwalebne olimpijskie pragnienia. Lepiej, lepiej nawet mniej, ale lepiej. Dążenie do doskonałości. I, oczywiście, więcej. Co więcej: coraz więcej. Jak tak z boku popatrzeć, mniej to może szlachetne, ale w końcu naturalne. Dla niektórych więcej to lepiej, dla innych wystarczy, że więcej to po prostu więcej i już. Coś oprócz tego, co jest. Czego tu więcej chcesz? *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?* Oj, znalazłoby się. Diamenty, perły i najpiękniejsze oczy nie wystarczą.

Przybytek jest czymś, o czym się myśli. Żeby było więcej tego, co jest. Na zapas, dla bezpieczeństwa, na wszelki wypadek wreszcie.

Potrzebne, niepotrzebne, w każdym razie nie zaszkodzi. Głowa nie rozboli od takiego przybytku. A kiedy nie ma – albo jest za mało, albo mogłoby być za mało, albo jest tyle tylko, że można sobie pomyśleć, że jakby było trochę mniej, co w końcu możliwe, to wtedy mogłoby być za mało – głowa może boleć.

„Niech cię o to głowa nie boli!” – mówimy, co ma znaczyć tyle co: „nie przejmuj się, nie martw się, nie kłopotz”. Taki ból głowy bierze się ze zmartwień. I od przybytku na pewno się nie weźmie. Przeciwnie nawet, jakby głowa bolała, od przybytku przestanie.



To przysłowie brzmi jak reguła, dotycząca naszych reakcji na zdarzenia. Na takie sytuacje, które nie są przez nas spowodowane. Po prostu przydarzył się przybytek i jest i nie ma co się kłopotać. Niech będzie. Ale przecież skoro to przysłowie, to ono samo musi być reakcją na coś. Na przykład na nasze niewczesne zmartwienia czy choćby ich możliwości. Po co nam mówić, żebyśmy się nie martwili? Czyżby to było możliwe? Może brałoby się z naszej podejrzliwości wobec przybytków? Czasem przecież niektóre powodzenia mogą nam się wydać nadmiernymi...

Ale co tam, niech będzie więcej.

A przy tym czasem służy nam to powiedzenie, gdy powodzenie czyjeś po prostu komentujemy. Duzo ma, i jeszcze więcej? A niech tam. Od przybytku głowa nie boli.

I w ogóle mającym będzie dane. I że będą przez to mieli więcej, jeszcze więcej im się dostanie. Co by było, gdyby od tego głowa boleć miała...

Oferta ZREMB-u zawsze na czas

Hasło reklamowe, lata osiemdziesiąte XX wieku

To było bardzo dziwne hasło. Funkcjonowało już w warunkach pełnego kapitalizmu, wśród najbardziej komercyjnych komunikatów reklamowych, a jednocześnie zdawało się prezentować reklamę zgrzebną i socjalistycznie pozorną, obejmującą produkty monopolistów, mało dostępne tym, którzy z taką reklamą się stykali.

Między coraz barwniejszymi i proponującymi coraz bardziej rozrywkową formułę audycjami telewizyjnymi, między coraz profesjonalniejszymi filmami reklamowymi, zachęcającymi z coraz mniejszą nieśmiałością do odrobiny luksusu i Wiednia w filizance, z uporem pojawiała się oferta ZREMB-u, zwana po prostu ofertą ZREMB-u, choć nikt nie wiedział, co to za skrót i co on oznacza, dotycząca głównie wózków widłowych różnych typów. Nie bardzo było wiadomo, co taki telewidz mógłby zrobić z wózkiem widłowym różnego typu, zapewne nie bardzo go sobie nawet wyobrażał, a tu głęboki głos wciąż popularnego prezentera zachwalał mu te cuda. Oczywiście mogliśmy sobie wyobrazić i nawet wyobrażaliśmy, że przecież i dystrybutorzy takich dóbr telewizję oglądają, a wśród nich także ci, dla których różne typy wózków widłowych to zwykła rzecz – wszak dziwiliśmy się tej absurdałnej sytuacji, wózki widłowe za widmowe uważając.

Ale dziwiliśmy się pogodnie. Ilekroć zobaczyłem tę reklamę, coś mnie poruszało, przeżywałem ni to déjà vu dziwaczne, ni to wrażenie niezmienności świata. To przesłanie z lat dawnych, choć w sumie niedawno minionych, nie przywodziło na pamięć niczego, czego pozbyliśmy się z radością czy ulgą – przeciwnie, pokazywało, że świat ma ciągle jakieś stałe punkty odniesienia.

I szczególnie działała tu homogeniczność samego językowego przekazu. Porządek stary już się zwałił, wszystko się zmieniło, a oferta ZREMB-u zawsze jest na czasie.

Pamiętam, że po pewnym czasie ta oferta ZREMB-u znikła z ekranów telewizyjnych. Nie powiem, zebym tego szczególnie żałował, o ile pamiętam, nawet tego zniknięcia nie zauważyłem. Ta oferta była tak dziwaczna i coraz bardziej, że jej brak nie mógł być postrzeżony. Był zbyt naturalny, zeby go zauważyć.

I jakiś czas jej nie było.

A potem pojawiła się znowu. Znowu była na czasie! To, że była, pokazywało, że była na czasie. Jej prawdziwość była potwierdzona przez samo jej istnienie. I tylko dlatego tak mogło być, że była tak straszliwie anachroniczna, anachroniczna coraz bardziej. Inaczej nie byłoby sensu mówić, że jest na czasie.

A ona była i była na czasie. Zawsze. Oferta nieznanego ZREMB-u, oferująca różne typy wózków widłowych, ta sama, bez zmian.

I już jej nie ma. Bo zawsze nie jest zawsze.

ORMO czuwa

Hasło propagandowe, lata pięćdziesiąte XX wieku

„Śpij spokojnie, ORMO czuwa” – brzmiała pełna wersja. Ochotnicze rezerwy milicji obywatelskiej, ochoczo pomagające jej w pełnieniu szczytnych obowiązków zapewnienia spokoju spokojnym mieszkańcom socjalistycznego państwa, czuwały. Ormowcy, w poczuciu powołania i mocy, wyposażeni w broń i ideologię, spełniali się, jeśli nawet nie w działaniu, to w dyspozycji do działania, czyli w czuwaniu.

Czuwanie to wyższa forma uwagi, zazwyczaj szlachetna forma nie-spania. Czuć, czuj, czuwaj. Czuć duch. Jak „bywać” od „być”, tak „czuwać” od „czuć”. Czasowniki wielokrotne. No, są pewne różnice. Bywał, znaczy był wiele razy. A czuwał, czy to znaczy, że wiele razy czuł? Może raczej: wiele czuł, czy też mógł wiele czuć, bo na czucie się nastawił, nie na odpoczynek. „Bywaj!” – to pożegnanie. „Czuwaj!” – to wezwanie do bycia czujnym. Ale także harcerskie zawołanie, które tę nazwę cnoty czujności w pozdrowienie na początku ubiegłego wieku obróciło. „Czuwaj, wiaro!”.

Bo chodzi o czuwanie, ale i o czujność. A to słowo, szlachetne samo w sobie, zaczęło z czasem przybierać konotacje mniej sympatyczne. Nawoływanie do czujności wiązało się z podejrzliwością wobec bliźnich, z nastawieniem każącym wszędzie dopatrywać się

wrogów i wrogości. Tym bardziej że wróg, jak wiadomo, miał tak-
że czuwać. „Wróg nie śpi!” – wołały nawołujące do czujności hasła.
Właściwie wszyscy powinni czuwać, być czujni, wykazywać się
czujnością. Ale wygodnie było, jeśli szczególna czyjaś czujność
zdejmowała część obowiązku czujności z reszty obywateli. Mogli
oni mieć wtedy wrażenie, że tamci są czujni za nich samych. Ze
ktoś, nie śpiąc, żeby spać mógł ktoś (czyli my), czuwa w naszym
imieniu. Ranne łosie ryczą z bólu, a my zdrowi przebiegamy różne
knieje i ostępy.

Czuwanie jest wtedy naprawdę, jeśli jest w permanencji. ORMO
tym się charakteryzowało, że było zawsze czujne. Zawsze gotowe
do podjęcia działań, jakie były w danej sytuacji potrzebne. Milicja
i tak była obywatelska, nazwą swoją podwójnie wskazując na spo-
łeczny charakter, i jako milicja, nawiązująca do rycerskiej wojско-
wości, i jako obywatelska, obywateli, nie władzę reprezentując. To
co innego niż policja, oddziały w służbie aparatu ucisku. A tu rezer-
wa tej szlachetnej milicji, ochotnicy.

Ochotnicy – bardzo społecznie i dobrze. Dobrowolna rezerwa szla-
chetnie obywatelskiej milicji – znakomicie. I rzecz jasna czuwa, czu-
wa za nas, żebyśmy mogli spać spokojnie.

I dobrze by było, żebyśmy spali spokojnie i w ogóle zachowywali się
spokojnie, i byli spokojni. Wtedy ORMO nie musiałoby aż tak bardzo
czuwać i my także nie musielibyśmy być czujni. Ale ponieważ nie
wszyscy są spokojni, czujność obowiązuje. Wtedy jest spokój.

Oszczędzaj i ucz oszczędzać

Hasło propagujące oszczędzanie, lata sześćdziesiąte XX wieku

„Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą” mówi przysłowie z końca XIX wieku. Ale wiele było konkurentów oszczędności. Według innych przysłów ludzi bogacili się mianowicie: modlitwą i pracą; uczciwością i pracą; wytrwałością i pracą; wiarą i pracą; trzeźwością i pracą; przemysłem i pracą; statkiem i pracą; nauką i pracą; cierpliwością i pracą. Tylko pracą zawsze, też i dlatego, że to dobry rym do „bogacą”.

Te wszystkie inne to były sporadyczności, raczej propozycje przysłów niż przysłowia, jakieś mniej lub bardziej chwilowe zestawienia, często zwykłe okazjonalizmy. I tylko oszczędność w parze z pracą przetrwała, i to na pierwszym miejscu. Choć przecież najpierw trzeba zapracować, by potem zaoszczędzić.

Przysłowie przysłowiem, ale potrzebne było i hasło. I kampanie promujące zwyczaj oszczędzania. Pomyślano na przykład, że dobrze byłoby wzmóc oszczędzanie działalnością kampanijną, wyróżniającą jakiś okres jako dobry dla akcji. Wierzano, że akcjami da się wiele osiągnąć, nawet mentalność zmienić. Uznano też, że warto jakiś miesiąc z oszczędzaniem związać. I tak jak kwiecień został uznany za miesiąc pamięci narodowej, i właśnie w kwietniu należało uruchamiać tę pamięć, miesiącem oszczędzania został miano-

wany październik. Trudno zgadnąć dlaczego, w końcu październik na trwale, jak się zdawało, związał się z rewolucją, która zresztą była w listopadzie, a rewolucja i oszczędzanie nie bardzo idą w parze. Ale nic, widocznie powody były i w październiku mieliśmy oszczędzać więcej niż w pozostałych miesiącach

A hasło do oszczędzania było proste. Tryb rozkazujący nie zawsze dobrze odnajduje się w krótkich formach perswazyjnych, może się wydawać nazbyt dosłowny. Jest jednak poważny, odrzuca zarzut manipulacyjności, pokazuje, że odbiorcę traktuje się serio i nie szuka się tanich chwytów. Oszczędzaj. Oszczędzaj w PKO. To porządne wezwania.

Ale czegoś mało. Samo „oszczędzaj” może nie wystarczyć. Dodać coś trzeba. I może dobrze byłoby dodać tu coś, co uczyni z adresata, który mógłby się nie najlepiej czuć jako obiekt perswazji, namawiania – podmiot działający. Owszem, oszczędzaj – ale na tym nie koniec. Jeszcze do tego ucz tego oszczędzania innych. Ty właśnie, ty – z namawianego stań się namawiającym. Ucz innych. Ty już wiesz, że to dobre. Jesteś nam bliski. Nie musimy cię przekonywać, że oszczędność dobra rzecz. Ty możesz nawet, przechodząc nad tą oczywistością do porządku dziennego, iść krok dalej: możesz innych oszczędności uczyć.

Potem z takich formuł, gdy wzbogaci się je o mechanizmy ekonomicznego zainteresowania, wyrosną mniej lub bardziej, częściej bardzo, nieuczciwe łańcuszki Tymczasem – oszczędzaj i ucz.

A jak nawet nie będziesz uczył, to przynajmniej oszczędzaj.

Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek

Przysłowie, odnotował Jan Murellius, 1527

Drugi wariant to: „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”. Różnica niby niewielka, przecież jest. „I” mówi o tym, że jednemu coś i drugiemu, „a” dodaje jeszcze odcień przeciwstawienia: „Bogu świeczkę, a diabłu ogarek” wskazuje, że owszem, jednemu i drugiemu coś, ale diabłu co innego niż Bogu. Bogu jednak więcej, ogarek to mały kawałek świecy, długo się palić nie będzie. Możemy jeszcze asyndetonicznie: „Panu Bogu świeczkę, diabłu ogarek” – tu mamy wyliczankę, co komu. Może jeszcze dalej będzie, komuś innemu coś innego... Jest wreszcie wariant: „I Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek”, językowo nie najtrafniejszy, bo jak „i – i”, to zazwyczaj chodzi o to samo, a tu w końcu świeczka i różny od niej ogarek. Ale znaczeniowo, „ideologicznie”, chyba ta ostatnia wersja najlepiej oddaje, o co chodzi. „Bogu służ, a diabła nie gniewaj” mówi inne stare przysłowie. I w tym rzecz.

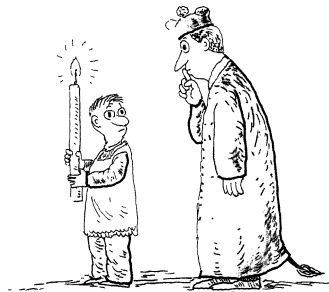
Bo raczej nie piętnuje się tu obłudy, fałszu i dwulicowości, lecz pochwała, a przynajmniej akceptuje zapobiegliwość. Wprawdzie Pismo Święte mówi, że zaden nie może dwom panom służyć, a w tym przypadku opozycja tych panów jest, by tak rzec, krańcowa, ale z drugiej strony... na wszelki wypadek...

Tym bardziej że naprawdę nie chodzi tu o Boga i diabła, to tylko ta-

ka metafora. Pewnie, że dobrze osadzona w kulturze. Bo oczywiście medalik dobra rzecz, ale z drugiej strony odczynić urok też nie zaszkodzi. Pomodlić się trzeba, ale i splunąć za lewe ramię wypada. A w gusłach i zabobonach kto, jak nie diabeł, siedzi?

Moc złego znaczna, krzywdy wyrządzać on gotów, po co to nam? Przez ogarek nie zubożemy.

Opowiadają o Jagiellu, że kiedyś przed boską ikoną jedną świeczkę zapalił, a pod wizerunkiem diabła dwie. Ciekawe, skąd wziął się tam wizerunek diabła i jaką funkcję miał pełnić. Być może chodziło tu o jakiegoś mniej lub bardziej pogańskiego białwana, czyli inaczej: wizerunek litewskiego bożyszczka, które anegdociarz, ksiądz zapewne, do diabła przyrównał. I mogło się to odnosić albo do, nie do końca wypienionego z króla, białwochwalstwa (czyli: dawnej,



tradycyjnej wiary przodków), które świadczyłyby o dzikości tego, zdaniem cywilizowanej niemieckiej Europy, prymitywnego monarchy, albo o wyjątkowej przezorności litewskiej, z chytrą kojącością. Albo i o tym, i o tym. No, trochę pewnie przesadzono. Może i zapalił, ale żeby aż dwie?

Interesujące, że pierwsze odnotowanie przysłowia na ten temat jest w formie negatywnej: „Ani ty Bogu świeczki, ani diablui oze-gi”, co zapewne musiało znaczyć, że ten ty, o którym mowa, z żadną stroną nie trzyma. Bogu świeczki nie zapala, to mógłby chociaż diablui coś. A tu temu złemu też nic, nawet niedopałka łuczywa. Ani jednemu, ani drugiemu.

Oj, nieostroźnie.

To chyba lepiej i, i.

Partia z narodem, naród z partią

Hasło propagandowe, lata siedemdziesiąte XX wieku

W mowie na Sejmie Czteroletnim król Stanisław August Poniatowski powiedział: „król z narodem, naród z królem”. Trzy lata później to powtórzył, sprawiając, że to hasło znalazło się na transparentach warszawskich manifestacji.

Takie odwrócenia są dobre, sugestywne. Kuba Bogu, Bóg Kubie. Dają poczucie równowagi, odpowiedniości. Co moje, to twoje, co twoje, to moje. Ale najlepiej z „z”. Ja z tobą, ty ze mną. Bo i jak inaczej? Przecież jak jeden z drugim, to konieczne, że drugi z pierwszym. Wystarczy jedno, żeby drugie było prawdziwe też. To może niekoniecznie trzeba to drugie dodawać.

Ale jednak lepiej, bo inaczej za bardzo będzie kolejność widoczna. Jak ja z tobą, to ty przede wszystkim, a ja tylko z tobą, za tobą dopiero, później. Król z narodem, w porządku, król dołącza się do narodu, robi to, czego naród oczekuje. Ale potem dodajemy, że naród z królem także, i jak król z narodem, a naród nie bardzo z królem, to niedobrze. Naród też powinien, odwracalnie, z królem.

Perswazyjne, propagandowe zestawienie dwóch bytów, dwóch wartości, zwykle polega na tym, że jedna z tych wartości już przysługuje tym, do których apel kierowany, druga dopiero ma być. „Kościół Święty matka nasza”, mówimy tym, co matki kochają, i od

razu zaczynają i kościół kochać. A jak powiemy to religijnym zapaleńcom, co rodzinnych uczuć mają niewiele, to może matkę pokochają. U regalistów naród przy królu zyska, u patriotów natomiast może zyskać król.

„Partia z narodem” – raczej było obliczone na tych, co naród już kochają. A jak partia z tym narodem, to może i partię polubią. A poza tym, jak partia z narodem, to może i naród z partią też... nie wiemy dokładnie co, ale razem. Pewnie będzie stał, jak niegdyś z królem. Coś powinien tej partii...

Partia to po łacinie część. W systemie demokratycznym polityczne kontinuum dzieli się na części, partie. Każda z partii ma nazwę. Ta partia, o którą tu chodzi, nie wymagała nazwy, bo, wbrew nazwie „partia”, była całością tego politycznego kontinuum. I reprezentowała naród. Ją z kolei uosabiali przywódcy. Mówiło się „partia”, a w domyśle był przywódca. Czasem było to poetycko i propagandowo sankcjonowane, także z odwróceniem. Partia – Lenin, Lenin – Partia. Bliźnięta-bracia. Tu partia, reprezentując naród, będąc częścią nie tyle polityki, ile narodu, z tym narodem jest jednak zestawiana. Można się zastanawiać, na ile trafnie. Dlaczego to dwa odrębne byty być mają, co do których już nie tylko jedności, ale i wzajemnego nierozzerwalnego towarzyszenia mogą być wątpliwości, skoro hasło ma je rozpraszać?

Stąd, choć hasło dobrze odwracalne, miało wywoływać poczucie więzi, partii i narodu oczywiście, obok niego jeszcze lepiej funkcjonowały teksty o moralno-politycznej jedności całego narodu i o jedności narodu i partii.

Jednak co jedność, to jedność. Wtedy niepotrzebne żadne „z”.

Pasta kiwi but ożywi

Hasło reklamowe, lata międzywojenne XX wieku

Jedno z kilku najgłośniejszych przedwojennych haseł reklamowych. Nazwanie pasty do butów egzotycznym mianem nowozelandzkiego ptaka niełota mogło być uznane za równie kontrowersyjne jak związanie jej z nazwą oryginalnego owocu tropikalnego. Ale dla wielu Polaków nazwa „kiwi” przez wiele dziesięcioleci kojarzyła się głównie z pastą do obuwia. Mnie zresztą, choć jestem powojenny, też. Reklamowe zapewnienia o takich właściwościach są bezpieczne. Nie mogą być uznane za nieprawdziwe

Po pierwsze, jest tu czas przyszły, a w ogóle mówienie o prawdziwości i, tym samym, o nieprawdziwości zdań o przyszłości jest w zasadzie niemożliwe. Co było, było, co jest, jest. To prawda. Ale nawet jeśli uznamy, że „co będzie, to będzie” jest prawdą na podobnie tautologicznej zasadzie, to pamiętamy, że co było i co jest, wiadomo, a kiedy mówimy, że co będzie, to będzie, nie wyrażamy przeświadczenia o prawdziwości, tylko zdajemy się na los.

Po drugie, mamy tutaj metaforę. Metafora nie może być literalnie prawdziwa. Kiedy mówimy o żywych kolorach, nie uważamy ich za organizmy. Nie oczekujemy, że nasze buty w wyniku działania pasty zaczną się zachowywać jak zwierzątka czy rośliny.

I po trzecie, nie wiadomo, co to ma znaczyć, że but zostanie oży-

wiony. Może się będzie świecił? Ale co żywego się świeci? Świetliki może jakieś... Może koloru dostanie? Takiego żywego koloru, przypominającego jakoś to, co żyje, może życie w ogóle?

W reklamie ważne są konotacje. Słowa mają dobrze się kojarzyć, ich zakres znaczeniowy odgrywa mniejszą rolę. Promienny świt może zachwalać czekoladowy batonik, a pogodny uśmiech – ostrze do golenia. Kiedy słyszę o cichym zapachu jasnej miękkości, to wiem, że ma to działać na zmysły, a nie opisywać rzeczywistość reklamowanego przedmiotu. Ożywienie buta to i tak całkiem porządkny związek znaczeniowy.

Zabawna jest w tym hasła natomiast pojedynczość tego buta. Owszem, but występuje często w pojedynkę, może być lewy czy prawy, może mieć dziurę czy plamę, ale rzadko mówimy o jednym butcie wtedy, gdy to, co mówimy, odnosi się do pary butów. Bo dlaczego niby jeden? Jeden tylko but będzie ożywiony? A jednak ta liczba pojedyncza daje pewien efekt. Dynamizuje całe hasło i przewrotnie je uwiarygodnia. Jak się zdaje, przez odbanalizowanie Ożywienie butów brzmi płasko i trywialnie, ożywienie buta – dziarsko jakoś i oryginalnie.

No i, oczywiście, co chyba decydujące, rytm przy dwóch butach byłby niedobry. A tak mamy klasyczne dla reklamy parzyste trocheje: akcent – brak, akcent – brak... i wierzymy jeszcze bardziej.

Że ożywi, cokolwiek to znaczyć może.

Patrzcie państwo!

Formuła zdziwienia

No, no. A to ci dopiero. Coś podobnego. Tyle formuł zdziwienia. Patrzcie państwo! No popatrzcie tylko.

Takie to dziwne, że gdyby państwo nie zobaczyli, to by państwo nie uwierzyli. Dlatego proszę, żeby państwo patrzyli, bo jak państwo popatrzą, to i zobaczą. No widzicie państwo?

Najpierw, żeby nie było nieporozumień, o błędzie, gramatyczno-towarzyskim. Oczywiście „państwo” powinno łączyć się z czasownikiem w trzeciej osobie, zatem powinno być i „niech państwo patrzeć”, i „widzą państwo”. Powinno tak być, bo przecież nie mówimy drugoosobowo „patrz pan” ani „widzisz pan”. To znaczy czasem, owszem, mówimy, ale czujemy, że to albo niegrzeczne, albo stylizacja. Zatem powinno być „niech państwo patrzeć” albo nawet „niech Państwo patrzeć”, wielką literą, ale jakoś nie jest. W innych zdaniach może tak, ale tu, patrzcie państwo, nie jest i już. No widzicie państwo, do czego to podobne! I co państwo na to poradzą?

Jak coś zobaczymy, zwłaszcza na własne oczy, uwierzemy. Słuchom możemy nie wierzyć, nos czasem zawodzi, a, jak widać, wzrok raczej nie. I jak patrzę, widzę. I wiem, że tak jest, bo przecież widzę.

A tu chodzi o to, żeby państwo patrzyli, widzieli i wiedzieli, że tak jest, jak widać. Jak państwo widzą. I żeby państwo dziwili się razem ze mną, bo do zdziwienia potrzebuję towarzystwa, inaczej samemu trudno by mi było uwierzyć nawet w to, co widzę.

Państwo stają się w ten sposób moimi współnikami. Czasem wobec nieosobowej rzeczywistości, dziwnej, proszę ja państwa, całkiem. Czasami wobec innych ludzi, co to, patrzcie państwo, zachowują się jakby nie wiem co, a przeciez...

To nie tylko dziwne, ale nawet godne wyrażenia zdziwienia, z nutą potępienia. No nie mogę, no tylko popatrzcie, widzicie ich? Patrzcie państwo, a to się wystroił. A to ci narozrabiał. Patrzcie państwo!

Nasze wydziwianie z państwa udziałem staje się bardziej obiektywne i uzasadnione. Potrzebuję wsparcia tym bardziej, jeśli wyrażam tym zdziwieniem opinię. Już nie tylko swoją, państwa również. Wspólną, naszą.

Prawdę mówiąc, Państwa może w ogóle nie być, zebym mógł Państwa do patrzenia nawoływać, brać na świadków czy współników osądów. Albo raczej Państwo mogą sobie być, właściwie powinni Państwo być, zebym się do Państwa mógł zwracać, ale niekoniecznie właśnie zwracać tym samym słowem „państwo”, które jest w zwrocie „patrzcie państwo”. Tamci państwo z tego zwrotu to zupełnie inni państwo niż Państwo. Tamtych ja mam dla siebie, żeby tak ich sobie właśnie przywoływać, proszę państwa. Tak to sobie wymyśliliśmy w języku.

Patrzcie państwo...



Pisz na Berdyczów

Powiedzenie, początek XIX wieku

Berdyczów jest gdzieś niedaleko Żytomierza. Niewielka to miejscowość, u nas głównie z tego powiedzenia znana. „Pisuj do mnie na Berdyczów!” – pisał już Słowacki w *Beniowskim*, tłumacząc tak włoskie *addio* i dodając przy tym, że to „okropne słowa! jeśli nie zabiją, to serce schłoszczą tysiącami biczów”, a my nie wiemy, czy nazwa miasteczka była rymem dla dopełniacza liczby mnogiej nazwy narzędzia kaźni, czy odwrotnie.

W każdym razie już Słowacki wiedział, że w Berdyczowie poczta działa źle, a działała tak źle, że mogło się to stać przyczyną tego ironicznego zaproszenia. Niektórzy dodawali, żeby pisać małymi literami, co miało czynić próbę korespondencji jeszcze bardziej beznadziejną. Pisz sobie, pisz. I tak nie przeczytam. Lepiej, żeby list nie doszedł. Odmowa kontaktu jest sama w sobie dość przykra. Przy zastosowaniu ironii staje się okrutna. Ale z kolei przy zastosowaniu cytatu, który jednak jakoś kulturowo i komunikacyjnie łączy nadawcę z odbiorcą, sprawa się nieco łagodzi. Ty wiesz, dlaczego ja ci mówię o Berdyczowie, a ja ci dlatego mogę powiedzieć, że to wiesz. Porozumieliśmy się.

A przy tym zwykle w takim zerwaniu bywa trochę goryczy. Nie chcę cię znać, nie mów do mnie, nie szukaj mnie, nie pisz. Albo pisz na



nieznany adres, na przykład na Berdyczów. Coś się musiało stać, żeby to powiedziano. Jakieś przewiny były.

We wcześniejszej wersji tego powiedzenia, które i tak dziś już prawie jest zapomniane i czasem się tylko pojawia jako archaizm, była forma częstotliwa: „pisuj”. Znaczyłoby to, że dopuszczam myśl, nawet czynię ją prawdopodobną, że będziesz nie tylko pisać do mnie, lecz wręcz pisywać. Ja nie będę odpowiadał, to jasne, a ty mimo to będziesz pisywać. Zależy ci na mnie. Ale i mnie musi na tobie jednak zależeć, skoro tak wyobrażam sobie, zapewne z satysfakcją, twoją bezskuteczność i beznadziejność usiłowań. I mówię ci o niej.

Oczywiście ta złośliwa zachęta nie musiała odnosić się tylko do osobistych, mniej lub bardziej romantycznych, relacji. Bywała używana w związku z arogancją urzędów, nieodpowiadających na korespondencję, z obniżeniem standardów obyczajowych, nakazujących odpisywanie na listy. Ale istota pozostawała ta sama: wysiłki będą daremne.

I powiedzenie się uogólniło – przestało oznaczać tylko niechęć, naszą czy czyjąś, do wymiany wiadomości, zaczęło sugerować zaprzestanie próżnych prób zainteresowania. „Pisz na Berdyczów!”, czyli odczep się, daj mi spokój. Nie dam się nabrać, nie chcę cię znać. W ogóle mnie to nie interesuje, co chcesz mi powiedzieć.

Ciekawe tylko, jak korespondować z kimś, kto rzeczywiście w Berdyczowie mieszka i trzeba do niego tak listy adresować. Miejmy nadzieję, że poczta teraz tam lepsza.

Podaruj sobie odrobinę luksusu

Hasło reklamowe, Paulina Fedak, 1992

Wielu spośród tych, co pamiętają to bardzo popularne swego czasu hasło reklamowe, nie pamięta już dziś, czego ono dotyczyło. I to częsty problem dobrych haseł: są nieraz tak trafne, że zapominają się, o co w nich chodziło. Autotelizują się, uniwersalnieją, stają się obiektywnymi wzorcami formalnymi. Podobnie jest z hasłami dowcipnymi, co zresztą zwykle łączy się z trafnością – bywa tak zabawnie, że nie wiadomo, o co chodzi.

Tu chodzi o nasz („twój”) stosunek do luksusu. Jest ambiwalentny i coś z tym trzeba zrobić. Z jednej strony, owszem, tak. Lüksus dobra rzecz. Ale z drugiej strony to początek lat dziewięćdziesiątych dopiero, socjalistyczne morały jeszcze gdzieś tam, choćby nieuświadomione, tkwią w mentalności, a pławienie się w dobrobycie, przepychu, luksusie i z postawą katolicką nie za bardzo jakby się zgadza.

I chciałoby się, i nie. No, chyba żeby odrobina tego luksusu. Nie jesteśmy pewni, czy luksus dzieli się na odrobiny, czy w ogóle się dzieli i czy można mieć odrobinę. Bo raczej się myśli, że jak luksus, to luksus, cały. Ale i czuje się, że można czasami trochę sobie poszaleć lub lekko podogadzać, pozwolić sobie na małą rozpustę i pożyć przez chwilę nieco ponad stan. Więc może i luksus odrobina może być? I może nie zaszkodzi?

W takich sytuacjach, gdy mamy wrażenie nadciągającego poczucia winy, gdy wydaje się nam, że robimy coś, na co właściwie nas nie stać, dobrze się lekko rozdziwić i potraktować siebie jako darczyńcę i beneficjanta w jednej osobie. Tu ten ja, co daję, mam ten w końcu gest – a tu ten ja, co biorę, bo jak tu nie brać, jak daję? I tak sam siebie obdarowuję.

I mogę to robić, bo przecież lubię siebie, mam powody. I, jak się zastanowię, to czuję, że zasługuję nie tylko na lubienie, ale i na okazywanie tego lubienia, czyli na jakiś choćby prezent.

No, może nieduży, jakaś odrobina, ale za to od razu nie czegoś tam zwyczajnego, tylko prawdziwego luksusu. Mogę się ubierać zwyczajnie, ale krawat mam markowy. Jem tak sobie, ale lubię czasem napić się naprawdę dobrego wina. Mieszkam przeciętnie, ale ta komódka to ho, ho.

Ten tryb rozkazujący w istocie nie rozkazuje, nawet nie prosi. „Podaruj sobie” jest naprawdę przyzwoleniem. Reklama nam pozwala na to, czego i tak chcemy, pozwolenia tylko, choćby własnego, wypatrując. Może zatem: „pozwól sobie na podarowanie sobie odrobiny luksusu”? Tak, coś w tym rodzaju. I jak tu nie ulec? Reklama mówi mi też „ty”, bo to oczywiste, przecież nie będzie mówiła przez „pan/pani” ani przez „państwo”. Ale w ten sposób sam do siebie również mówię przez „ty”, bo przecież nie przez „ja”. I tak sam sobie pozwalając, doceniając, obdarowując, tworzę dobry i miły ze sobą układ. I jeszcze będę miał tę odrobinę luksusu.

To w końcu tylko odrobina. Na odrobinę nas obu stać.

Pokorne cielę dwie matki ssie

Przysłowie, odnotował Jacek Przybylski, 1819

Co do pokory, to nasz stosunek do niej jest co się zowie ambiwalentny. Z jednej strony jest piękną i pożądaną cnotą, zwłaszcza w zestawieniu z hardością, z drugiej, gdy z kolei z dumą ją porównać, jawi się jako mało szlachetne połączenie tchórzostwa i braku poczucia własnej wartości. Chętnie stykamy się z pokorą, zwłaszcza innych wobec nas, skłonni jesteśmy ją nie tylko akceptować, ale i nagradzać, natomiast z trudnością możemy znosić oczekiwania ze strony innych naszej pokory wobec nich. A kiedy się pokorą szczycimy, zwykle jakiś osad ironii w tych naszych autoportretach się mieści.

W tym dość dziwnym przysłowiu, choćby z racji zwielokrotnienia liczby matek (matka, jak powszechnie wiadomo, jest tylko jedna, bardziej „tylko jedna” niż ktokolwiek czy cokolwiek), cechę pokory wiąże się z cielęciem, zwierzęciem młodym, słabym, może sympatycznym, ale niezbyt rozgarniętym. Cielę w różnych naszych powiedzeniach łatwo wpada w zachwyty, gapi się na malowane wrota, nie spodziewamy się po nim dowcipu ani aktywności. Ze wszystkich martwych, a ruszających ogonem zwierząt najbardziej zadziwia nas właśnie cielę. Ciele-mele.

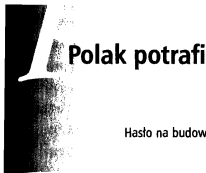
Cielęciu z całą pewnością trudno przypisać hardość, dumę, stanow-

czość. Nie ma ono zapewne szczególnie rozbudowanego poczucia godności, czy choćby poczucia własnego ja. Już jako cielę można je uznać za *ex definitione* pokorne. A tu jeszcze przydawkowo ta pokora jest mu przypisana. Nie o każde cielę tu chodzi, lecz o cielę pokorne. Zapewne w zestawieniu z nim inne cielęta są pokorne mniej.

I to właśnie cielę, cielę pokorne, czyli, jeśli metaforę serio potraktować, ktoś wyjątkowo pokorny, może liczyć na pewne dodatkowe korzyści. Możliwość ssania dwóch matek wydaje się dla cielęcia nie lada przywilejem. Samo posiadanie dwóch matek jest czymś niespotykanym, a tu jeszcze taka ich eksploatacja.

Przysłowie mogłoby nas uczyć pokory, pokazując jej atrakcyjne konsekwencje. Ale w istocie bywa inaczej: ta perspektywa korzystnej pokory rzadziej jawi się tu jako wprost zalecana. Częściej pokazujemy w ten sposób, jak instrumentalizują własną pokorę nasi bliźni, a także obnazamy ich mało etyczne postępowanie, wiążące się z rezygnacją z dumy w zamian za materialne korzyści, przywileje i apanaze.

Matki cieląt, krowy, służą do dojenia, przez ludzi, oraz do ssania, przez cielęta. Tutaj ten aspekt jest wysunięty na pierwszy plan. Cielę ssie, wysysa matkę, mało tego, dwie matki. Wiadomo, cielę to ssak, tak zresztą jak i my. Ale tu to ssanie jawi się jako nadmierne już czerpanie korzyści. To cielę jest pokorne, ale w tej pokorze skłonni jesteśmy dopatrywać się wielu cech mniej dobrych: i hipokryzji jakiejś, i bezwzględności, i łapczywości. Taka sfunkcjonalizowana pokora cnotą już być przestała. Pokorą też.



Polak potrafi

Hasło na budowie stalowni Huty Katowice, 1975

Dobre slogany bywały niepełne, i ten taki jest. Nie wiemy, co Polak potrafi, wiemy, że potrafi. Może wszystko, może cokolwiek.

„Potrafić” to specyficzny czasownik. Ani całkiem dokonany, ani niedokonany. Albo razem i dokonany, i nie. Ma czas teraźniejszy i tak samo brzmiący czas przyszły. Jak teraz, to potrafię. Jak potem – też. „Potrafię dziś to zrobić i potrafię jutro”. Nie ma formy „będę potrafił” i nie ma też imiesłowu „potrafiący”. To znaczy są używane, ale niepoprawne. Polak taki jest, że potrafi. Inni może nie, ale Polak tak. Możecie sami zobaczyć.

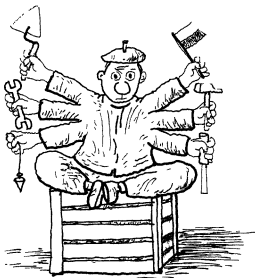
Trudno uznać, że jest to element stereotypu Polaka. Na pewno jest wiele takich rzeczy, które Polak potrafi, być może są wśród nich takie nawet, które potrafi lepiej niż inni, ale taka moc uniwersalna, potencjalnie odnosząca się do wszystkiego, rzadko mu chyba bywa przypisywana.

Może stąd właśnie ten slogan.

Jakoś dziwnym wydawałaby się konstatacja, sloganowa czy też nie, o Japończyku, który potrafi. I o przedstawicielach innych narodowości. Na przykład. „Holender potrafi”. „Norweg potrafi”. Nie wydaje się celowe mówienie o nich w ten sposób. A o Polaku – proszę bardzo. Jakoś nas nie razi.

Odczytujemy, że chodzi tu o zbudowanie nowego, pozytywnego stereotypu Polaka, a przynajmniej jednego jego składnika. Polak to ma być ten, który potrafi. Ponad dwieście lat drażni nas francuskie powiedzenie „pijany jak Polak” i próbujemy je odwrócić, naiwnie utrzymując, że tu chodzi właśnie o to, że Polak się nie upija albo że pijany robi rzeczy wielkie. Zależy nam na naszym wizerunku u innych i chcielibyśmy, żeby uważali na przykład, że Polak to ten, co to potrafi. Wszystko jedno co, najlepiej wszystko.

Ale mamy niejasne poczucie, że najpierw trzeba by zlikwidować dawny stereotyp, w którym może być zawarte coś innego, że – powiedzmy – Polak generalnie nie jest taki, że to wszystko potrafi. I to by nie było najgorzej, bo w głębi ducha dopuszczamy jeszcze jedną, o wiele gorszą ewentualność, tę mianowicie, że żadnego stereotypu Polaka nie ma. Jeśli jednak jest, spróbujmy go wyczyścić.



I hasło „Polak potrafi” dałoby się najpierw odczytać jako „Polak, a potrafi”. Odnosiłoby się do negujących negatywny stereotyp egzemplifikacji, by potem z nich móc próbować uczynić nowe, pozytywne reguły. I wtedy byłoby dopiero, że Polak potrafi, bo taki jest.

Brak uzupełnienia, co potrafi, jest – jak się rzekło – dobry, bo pozytywnie otwierający na te wszystkie rzeczy, które tu sobie można swobodnie dopowiedzieć. Ale co, gdy pojawią się nie tylko pozytywne i ktoś doda – powiedzmy – że Polak potrafi wszystko zepsuć?

A co, jak trzeba, to też Polak potrafi!

Polam... i wszystko jasne

Hasło reklamowe, lata dziewięćdziesiąte XX wieku

Hasło dość typowe, także ze względu na funkcjonalność, a w związku z tym i częstotliwość zawartych w nim wyrazów. Często to właśnie z reklam dowiadywaliśmy się, że wszystko proste, że wszystko gra. I że coś jest jasne, jasne jak słońce na przykład. Tu jest to razem i jeszcze do tego chodzi o zarówki.

Wszystko jasne.

Tak mówimy, kiedy dowiadujemy się, kiedy wydaje się nam, że się dowiedzieliśmy, kiedy chcemy, żeby inni się dowiedzieli o tym, żeśmy się właśnie dowiedzieli. „No, teraz to wszystko jasne!”. Teraz wiem, czego się trzymać. I bardzo dobrze, bo warto wiedzieć więcej, dokładniej, wyraźniej, jaśniej. Tak właśnie często jest.

Ale, niestety, również często zdarza nam się mówić o tej jasności z rozczarowaniem. Wiedza nasza, owszem, wzrosła, ale – powiedzmy – wiara w ludzi raczej zmalała. Jeżeli wszystko dla nas już jest jasne, nie mamy złudzeń. Co było zakryte, widzimy odkryte. Lepiej pewnie byłoby nam nie wiedzieć. Albo przynajmniej nie tak jasno. A tu teraz wszystko jasssne...

Rzecz zupełnie jasna, że tu, w tym hasle, mówi się jednak o tej jasnej stronie jasności

1 Ta hasłowa jasność ma znaczeniowo odniesienie podwójne. Reklamy lubią i dlatego tworzą takie językowe sytuacje, w których jakieś
1 nieoczekiwane znaczenie słowa się ujawnia, i to ujawnia zabawnie. Kiedy okazuje się, że Kiemlicze, tak często piorący szablami przeciwników, nagle mówią o praniu odzieży. Stąd takie dobre przyjęcie różnych reklamowych żartów o kopii (z kserokopiarki), której żadna inna nie skruszy, o dzinsach, których nie znosisz, ale które są nie nie do zniesienia, tylko nie do znoszenia, o mocnych w gębie... papierosach i temu podobne. W jednej z reklam piwa stwierdza się dość autorytatywnie, że to nieprawda, że mężczyźni myślą tylko o jednym. Tylko że towarzyszy temu hasłu zdjęcie dwóch butelek piwa.

Tu wszystko robi się jasne dzięki zarówno i dzięki reklamie też, bo wskazuje nam jasno na to, co powinno być od początku jasne, czyli że zarówno Polam są dobre. Jasne.

Na początku hasła jest nazwa, potem jest wzbudzający oczekiwanie wielokropek – i wszystko jasne. Przypomina to włączenie światła. „Jak tym pstryczkiem zrobisz pstryk, to się widno robi w mig”. Podobieństwo tekstu do zdarzenia nie musi być wyraźne, wystarcza odległa sugestia. Wielokropek sprawia, że przedłużamy drugą samogłoskę nazwy, a potem dość szybko wypowiadamy formułę o jasności. I robi się jasno, i wszystko już wiadomo.

Hasła proste bywają trafne. Ale też można ich nie zauważyć. Pasują, nie prowokują. Nie rażą.

Kto wie, może hasło mówiące o jasności powinno razić?

Polecam się łaskawej pamięci



Formuła pożegnania

Pojawia się ta formuła na zakończenie listu, ale i samoistnie, przy pożegnaniu. Polecamy się pamięci naszego korespondenta lub rozmówcy. To on ma być łaskawy, nazywanie pamięci „łaskawą” jest metonimią, cechę właściwą człowiekowi przypisujemy innej jego właściwości czy też cesze, czyli pamięci.

A my się, czyli siebie, polecamy. To ciekawy czasownik, oznacza między innymi łagodniejsze nieco rozkazywanie, nakłanianie, utrzymane w trybie dość ultymatywnym. Przy czym, o ile jawnie i bezpośrednio nazywamy wydawane przez nas rozkazy rozkazami („rozkazuję, żebyś!”) i prośby prośbami („proszę, żebyś...”), to rzadko, polecając komuś zrobienie czegoś, mówimy, że właśnie polecamy komuś zrobienie czegoś („polecam, żebyś...”).

Nie wzdramy się natomiast przed mówieniem, że polecamy, jeśli na przykład komuś polecamy kogoś, czyli czynimy tego kogoś polecanego przedmiotem uprzejmego i mniej lub bardziej starannego zainteresowania ze strony tego kogoś, komu tamten jest polecany. „Polecam panu tego oto młodego człowieka”. W tym lub raczej podobnym sensie możemy też polecać jakieś wydarzenie, choćby spektakl, czy rzecz, choćby książkę.

O ile to pierwsze polecenie czy polecanie może mieć miejsce wte-

dy, gdy ktoś wyższy rangą lub statusem zwraca się do kogoś niższego, to to drugie częściej występuje przy równowadze, a zdarza się, że i przy odwrotnej zależności. Takie polecenie to właściwie prośbienie.

Tu – nie kogo innego, lecz siebie samego polecamy. I to nie bezpośrednio komuś, tylko jego pamięci. Może dlatego, że z względów jesteśmy niemal pewni, a co najmniej pewni tego, że możemy na nie liczyć, natomiast nie możemy z pewnością zaufać pamięci? A może raczej dlatego, że skromnie ograniczamy to ewentualne przyszłe zainteresowanie do bezinteresownego pamiętania? W każdym razie pamięć nam ma wystarczyć.

Pamięć zwana tu jest bardzo uprzejmie „łaskawą”. Płaczymy się trochę przy przypisywaniu tej cechy, podobnie zresztą jak przy mówieniu o uprzejmości. Słusznie prosimy o łaskawe względy czy uprzejme odpowiedzi, nie zawsze wiemy, czyją uprzejmość mamy na myśli, gdy zwracamy się z uprzejmą prośbą, a zupełnie niestosownie sami „łaskawie prosimy”, co nieraz zdarza się słyszeć, na przykład wśród starających się być uprzejmymi polityków. A do tego ta łaskawość staje się czasem ironiczna, a określenie kogoś „łaskawcą” wcale nie musi wynikać z nadmiaru dóń szacunku.

Ale pamięć bywa łaskawa. Czasem dlatego, że wiele może pomieścić, w tym i to, o co jest jej właściciel proszony. A czasami nasza pamięć w swojej łaskawości wymazuje z siebie różne nieporządane niegdyś, a niechętnie wspominane potem, incydenty ..

Sam bym się chętnie o łaskawość do swojej pamięci zwrócił. Może w trybie któregoś z poleceń.

Polska dla Polaków

Hasło organizacji „Sokół”, początek XX wieku

Wprawdzie tzw. doktryna Monroe z 1823 roku była sprowadzana do hasła „Ameryka dla Amerykanów”, ale można sądzić, że polskie hasło nie jest w tym wypadku prostym naśladownictwem (bo przecież nie przekładem). Poza tym kto to jest Amerykanin? Jaka to nacja? A kto Polak, dobrze wiadomo. Znak jego Orzeł Biały, a mieszka między swymi w polskiej ziemi.

Co ciekawe, Polska, gdy to hasło powstaje, nie istnieje jako państwo. Ale na pewno niedługo zaistnieje i wtedy powinna być dla Polaków.

Hasło to może być interpretowane jako nie tyle patriotyczne, ile raczej nacjonalistyczne czy wręcz szowinistyczne. Polska jest dla Polaków i już. Polacy mają prawo do Polski. Tylko Polacy.

Ale przecież można odczytać je całkiem inaczej. Polska tak, dla Polaków, a Polak to ten, kto w Polsce. Polska dla wszystkich Polaków, dla wszystkich tych, którzy ją uważają za swoją ojczyznę, niezależnie od tego, skąd się wywodzą. Polakiem jest ten, kto chce być w Polsce, bo ten czuje się Polakiem. I w takim ujęciu jest to prawdziwie otwarte, postępowe i demokratyczne hasło. Żadnej ksenofobii, wręcz przeciwnie. My wszyscy Polacy.

Hasło brzmi pozytywnie, na tak. Mówi dla kogo, nie dla kogo nie.

Ale kiedy mówi dla kogo tak, jednoznacznie wskazuje dla kogo nie i nie jest Polska dla innych. Nie-Polaków, obcoplemieńców, przybłędów. Jak nie-Polak, precz z naszej polskiej Polski. Tak było i jest powszechnie odczytywane

Trudno z tym hasłem polemizować. Ale w końcu są sposoby.

Pierwszy to ten wskazany wyżej. Jeśli przedstawimy wniosek i przesłankę, jeśli zrezygnujemy z pierwszeństwa definicji Polaka jako kogoś zasługującego na Polskę i damy pierwszeństwo definicji Polski, z niej potem wyprowadzając definicję Polaka – hasło ocaleje, zyskując wspaniałe nowe znaczenie.

Drugi – to stare i niezawodne obśmianie. Jeden z moich znajomych w młodości napisał na budynku przy ulicy Wolskiej: „Wolska dla Wolaków”. Na ulicy Kolskiej pojawił się parę lat później napis: „Kolska dla Kolaków”, bardziej obfity w znaczenia, już nie tylko kalamburowe, bo przy Kolskiej mieściła się izba wytrzeźwień. Seria mniej lub bardziej zartobliwych połączeń nazw miejsc i grup ludzi, które to nazwy tylko fonetycznie są zbliżone, też pomaga – syjoniści są kierowani do Syjamu, a księża na księżyc.

„Polska dla Polaków” mogło być hasłem niepodległościowo przepłaszającym najeźdźców, zaborców. Mogło potem premiować postawy narodowowyzwoleńcze. Dziś, wykorzystywane coraz częściej do ekscesów nacjonalistycznych, może budzić niepokój. I to nie tylko tych, którzy nie są Polakami. Także tych, którzy nie mają ochoty udowadniać, że nie-Polakami nie są. I tych, którzy nie lubią, kiedy ktokolwiek musi coś takiego udowadniać.

Niewątpliwie, Polska dla Polaków jest. To dobrze. Ale po przesunięciu lub usunięciu czasownika robi się mniej sympatycznie

Poznaj swój kraj

Hasło propagujące turystykę, początek XX wieku

Obce kraje mozesz znać, może nawet powinienes. „Znasz-li ten kraj...”. Swój powinienes, a właściwie musisz. To obowiązek. To twój kraj, ty go masz, ale i on ciebie ma. A tu do swego często gorszy mamy stosunek niż do obcych. Do kraju, do ludzi. Nikt nie jest prorokiem między swymi. Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie.

To dobre hasło, rytmiczne, czterosylabowe z akcentami na sylabach końcowych, dynamicznie wznoszące się i mocno, dobitnie opadające i do tego z trzema jotami na końcach trzech wyrazów. Nie można go zmienić ani na jotę. Jota była minimalnym znakiem w hebrajskim piśmie, dlatego ta sugestia niezmienności taka sugestywna. A w polszczyźnie jota kojarzy się z dwoma perswazyjnie wyrażystymi formami gramatycznymi: z zaimkami dzierżawczymi („twój”, „mój”, „swój”) i oczywiście z drugą pojedynczą osobą rozkaznika. I tu jeszcze do tego ten „kraj” na skraju hasła.

Kraj to coś bardziej naturalnego, prawdziwego niż państwo. To ziemia, ludzie, historia. Kraina jest baśniowa i legendarna, gdzieś daleko, kraj jest blisko. A nasz, swój, jest bardziej krajem niż obce. A gdy inne kraje nazwiemy obcymi, bardziej obce się stają, dalekie „Kto chce zwiedzać obce kraje, niechaj zwiedza. Ja – zostaję”, mó-

wi sółka u Brzechwy. A Zagłoba mówi najstuszej w świecie, gdy Ketling mu o Szkocji opowiada: „dalekie to są i zamorskie kraje, a tu jakoś przystojniej człowiekowi żyć”. A kiedy wyjedziemy z naszego kraju, mówimy o nim po prostu „kraj”. Będąc poza swoim, naszym krajem, mówimy: „w kraju”, „do kraju”, „z kraju”.

W naszym kraju wszystko jest nasze. Ale to nie znaczy, że ten nasz kraj (bardziej nasz niż ten; mówiąc o naszym kraju „ten kraj”, pokazujemy do niego mało patriotyczny dystans) dobrze znamy. Mało, wiemy, że do końca nigdy go nie poznamy. Kraj to rozległy, sami nie wiemy, jak rozległy, życia nie starczy, by go dobrze poznać.

A tu hasło do tego właśnie zachęca, skłania, a nawet obliuguje. Nie tyle, co byłoby naturalne, do poznawania, ile wręcz do poznania. Dokonanego. W pełni i do końca.

Taki rozkaznik tego dokonanego czasownika ma pewne frazeologizacje. „Poznaj pana Pawłowskiego” – mówimy, przedstawiając pana Pawłowskiego. I już. Pan Pawłowski został poznany. Szybko i sprawnie. A z drugiej strony: „poznaj go, tego twojego niby przyjaciela!”. Oj, nie poznałem ja się na nim wcześniej, teraz dopiero widzę, jaki jest.

„Poznaj swój kraj” było, i jest nadal, świetnym hasłem krajoznawczym, a także interesująco nieodmiennym tytułem ciekawego periodyku. Namawiało lub zobowiązywało – zależnie od sytuacji i od nastawienia tych, do których przemawiało – do czegoś w sumie niemożliwego, ale też w ten sposób mogło działać w permanencji.

Pozwolą Państwo

Formuła zagadnięcia

Nasza grzeczność sięga czasem aż tak daleko, że od pozwolenia tych, do których się zwracamy, uzależniamy, co popadnie, łącznie z naszą ochotą, do tego jeszcze wyrażoną w trybie warunkowym: „Jeżeli Państwo pozwolą, to chciałbym...”. To już oczywiście przesada, ale prawdą jest, że taka prośba o pozwolenie bywa uznana za zupełnie naturalną, ba, nawet oczekiwaną. A jeśli Państwo, do których się zwracamy, nie pozwolą, to nie chciałbym? Nonsensem, jeśli Państwo pozwolą, zupełnym (tu chodziło o pozwolenie na użycie słowa) jest „jeśli Państwo pozwolą, to chciałem...”, gdzie Państwo w przyszłości mają niby decydować o tym, co wcześniej było moją chęcią. Ale tak mówimy i już.

Nie zawsze taka zależność od rozmówcy czy też audytorium jest formułowana w okresie warunkowym, z „jeżeli”. Ponieważ albo uczestniczymy w rzeczywistym dialogu, albo ten dialog pozorujemy, możemy o takie pozwolenie prosić, pytając, na przykład: „czy pozwoli Pani, że zapalę?”; „pozwolą Państwo, że zdejmę marynarkę?”. Dobrze jest wtedy na pozwolenie nie czekać, nawet nie przyglądać się tym, do których się zwracamy, bo a nuż nie pozwolą? Jeśli zaś po takim pytaniu zrobimy, co chcemy, wykazemy wyraźnie, że pozwolenie zostało nam dane, a wraz z nim i przejaw pew-

nej sympatii, nie tylko zadatek, ale i przesłanka do sympatii prawdziwej.

Intonacja pytajna nie zawsze zresztą musi być wyraźna. Prawdę mówiąc, może jej wcale nie być, a zdanie z tym pozwalającym czasownikiem w czasie przyszłym może brzmieć całkiem oznajmująco. Mój znajomy, gdy brakło mu argumentów w sporze lub gdy miał dość konwersacji, zwykł mawiać: „pozwoli Pan, że się oddalę”. „Pan pozwoli, że się przedstawię” informuje nas rozmówca i wie, co mówi, bo ja rzeczywiście pozwalam. Nie mam zresztą wyboru. Bardziej jeszcze nie mam wyboru, gdy ktoś do mnie powie: „Pan pozwoli ze mną”. Będę wiedział, że chodzi o wspólne pójście tam, dokąd on chce mnie zaprowadzić, a dokąd ja, gdybym mógł, wcale bym nie poszedł. Ale on ma legitymację, znaczek czy coś tam podobnego i wiem, że ja muszę z nim pozwolić. A co, to już tam obaj wiemy. Czasem nawet nie trzeba dodawać, że ze mną (czy z nami), wystarczy samo „Pan pozwoli”. Pozwalam, dziwiąc się tylko po trochu, że wstępem do ograniczenia mojej wolności może być coś wręcz przeciwnego, mianowicie odwołanie się do mojego pozwolenia. Tyle że tu nie ma żadnego warunku, żadnego pytania. Dowiaduję się, że pozwolę. Już pozwoliłem. Miał rację.

Takie ujmowanie pozwalania dzieli nas. To ja tobie lub ty mnie masz na coś pozwolić, choćby formalnie. Szkoda, że znikło już dawne, efektowne „no pozwoooli Pan”, które wyrażało swoistą bezradność wobec przekraczającej normy rzeczywistości. Było odwoływaniem się do wspólnego zaskoczenia dziwnością świata. Państwo pozwolą, ale to już była przesada.

Prasa kłamie

Hasło studenckie, marzec 1968

Hasło krótkie, dobre do rytmicznego skandowania, a i jako okrzyk nie najgorsze. I proste, jednoznaczne

Choć może niezupełnie jednoznaczne. Takie sformułowania, logicznie rzecz biorąc, mogą mieć dwie podstawowe interpretacje. Jeśli powiem, że kupcy oszukują, mogę mieć na myśli, że cechą charakterystyczną kupców jest oszukiwanie. W radykalnej postaci, nasuwającej się czasem, miałoby to znaczyć, że wszyscy kupcy zawsze oszukują. Ale może być inne odniesienie. Gdy powiem: „kupcy oszukują”, i spotkam się z protestem sfer kupieckich, mogę zawsze utrzymywać, że chodziło mi nie o kupców w ogóle, lecz o Hieronima i Erazma, którzy kupcami są, a jakże, i czasem zdarza im się kogoś oszukać. Pewnie, że kupcy mi nie uwierzą, ale logicznie jestem w porządku. Dwaj kupcy, czyli „kupcy”, czasem oszukują, czyli „oszukują”. „Kupcy oszukują”.

Cała prasa zawsze kłamie? We wszystkim? No nie, nie przesadzajmy. Zresztą jednym z haseł pochodnych wobec tego hasła o prasie w ogóle było dość zabawne: „czytajcie «Świerszczyk»! «Świerszczyk» nie kłamie!” (z wariantem mówiącym o „Misiu”).

Ale kłamie prasa w tym, co ważne, w tym, o czym teraz myślimy, o nas i tak dalej. Być może trzeba by wołać: „nie wierzcie prasie!”, ale takie hasło jest mniej zgrabne, trudniejsze do wołania.

Dziś wydaje się to naiwne. Prasa kłamie? Przecież to oczywiste. Coś ty, prasie wierzysz? A może i telewizji? Przecież wiadomo, że telewizja nie mówi prawdy. Trochę to przypomina dziecięcą konstatację, że dorośli nie zawsze mówią prawdę, że można ich przyłapać na kłamstwie. Pewnie, nie znaczy to, że prasa, telewizja czy dorośli kłamią bez przerwy i na każdy temat – ale że to normalne, że można znaleźć u nich nieprawdę. A poza tym przecież widać, że w każdej gazecie piszą co innego, wszystko nie może być jednocześnie-



nie prawdą. A poza tym, co to za dziwna kategoria prasowa: „prawda”?

Tyle że wtedy prasa była jedna i prawda była jedna, i ta jedna prawda jak się okazała nieprawdziwa, to skutki były poważne. I choć od dawna wiadomo było, że ta jedna prawda jest nieprawdziwa, to powiedzenie tej prawdy, a zwłaszcza jej wołanie, też było znaczące.

Było odreagowaniem. Dawało jasność, oczyszczenie. Prasa kłamie, nie wiercie jej. To najlepsza obrona, nie trzeba zbijać kolejnych bzdurnych zarzutów i argumentów. Z kłamcami się nie dyskutuje. Telewizja kłamie! I wszystko jasne. Takie hasła, okrzyki, napisy są najlepsze w sytuacji, gdy dostęp do prasy i telewizji mają jedynie oni – ci, co kłamią.

Dzisiaj my wszyscy mamy dostęp, możemy mówić swoją prawdę, nie mamy zamkniętych ust. Na zarzuty można odpowiadać, można walczyć słowem i prawdami.

Niestety, kłamstwem oczywiście też. Szkoda.

Prawda w oczy kole

Przysłowie, odnotował Mikołaj Rej, 1557

Pamiętam taki rysunek satyryczny, autorstwa radzieckiej spółki artystycznej działającej pod pseudonimem Kukryniksy, przedrukowany w polskich „Szpilkach”, na którym była narysowana prawda, tu akurat spersonifikowana gazeta o tym tytule, realistycznie kłująca jakąś dzidą w oczy różnych wrogów prawdy: amerykańskich imperialistów oraz ich sługusów i popleczników. Pokazywało to między innymi, że istnieje rosyjski odpowiednik tego przysłowia.

Wyobrażenie sobie klucia czegoś zewnętrznego w nasze gałki oczne jest wyjątkowo nieprzyjemne. Ból tam doznawany, przynajmniej w imaginacji, musi się wydawać szczególnie dojmującym. Nawet jeśli ma to czynić coś tak szlachetnego jak prawda.

Prawda jest jedną z najwyższych wartości, a kto wie, czy nie jest uznawana, przynajmniej oficjalnie, formalnie i na zewnątrz, za wartość najwyższą, wyższą niż piękno, dobro, sprawiedliwość i tym podobne. To w końcu prawdę się wymienia najczęściej spośród tych wartości jako coś, za co warto ponieść najwyższą ofiarę, umrzeć nawet. Tak jest w każdym razie w deklaracjach.

Prawda nas wyzwoli, prawda daje życie, my żyjemy, by dać świadectwo prawdzie. Prawda ponad wszystko. Jak można żyć w kłamstwie? Prawda?

Ale jak się przyjrzeć frazeologii, to prawda bywa bolesna i okrutna, może być gorzka i konieczna. Nawet kiedy jest naga, co w innych przypadkach nie jest szczególnie nieprzyjemne, to nie powód do dobrego samopoczucia. Gdy mnie ktoś zapyta: „chcesz poznać prawdę?”, mam kłopoty z twierdzącą odpowiedzią, a gdy zapowiadają, że przyszła pora na prawdę i teraz ją właśnie, prawdę, wreszcie usłyszymy, to, niestety, daleki jestem od radosnych oczekiwań.

I oczywiście, co słyszymy ostatnio dosyć często, prawda musi boleć. Dziwne, lecz prawdziwe: akurat z tym doznaniem prawdę, z pewną satysfakcją, łączą służebnicy prawdy. I jej tropiciele.

Więc nie dziwny się, że prawda może kluć w oczy. W oczy kluje także światło, z którym prawda częstokroć bywa zestawiana. Jaskrawe, wszystko oświetlające, niepozostawiające niczego w cień. Jak prawda zresztą, pełna, naga i, niestety, w tym okrutna.

Jeżeli przy tej frazeologii, ujawniającej nasz strach, przy skojarzeniach z bólem i przykrymi doznaniem, jeszcze cenimy prawdę, to możliwe, że jest ona tak ważna i wspaniała, że nic nas do niej nie zrazi i, kiedy przyjdzie pora i potrzeba, z rozkoszą dla niej zginie my.

Chyba że, o czym przykro pomyśleć, nasza miłość do prawdy ma charakter raczej zewnętrzny i deklaracyjny, a naprawdę boimy się jej i niespecjalnie ją kochamy. Wolałbym tego nie mówić głośno. Ale jeżeli to prawda, to może nas od tej niezbyt szczerej miłości do prawdy wyzwoli.

Prędzaj ci serce pęknie

Hasło reklamowe, lata międzywojenne XX wieku

Rzadko się zdarza tak udane wykorzystanie wieloznaczności frazeologii jak w tej reklamie prezerwatyw. Oczekujemy od nich niezawodności, czyli przede wszystkim, żeby nie pękły. Można by nas o tym po prostu zapewnić, ale to porównanie odporności na pęknięcie jest o wiele bardziej sugestywne. Serce, obok pęknięcia z nadmiaru wysiłku, w tym i miłosnego, zna inne rodzaje pęknięcia, także z miłości mniej fizycznej. Tutaj uruchomione są wszystkie skojarzenia, co daje jeszcze efekt zabawy. Bo jest to wyobrazalne raczej tylko w żartach i przywołuje ten anegdotycznie najprzyjemniejszy z możliwych rodzaj śmierci.

Jako handlowe zapewnienie ma wymiar przekonującej gwarancji, sytuacyjnie atrakcyjnego przeczenia „— Ale czy.. czy przypadkiem nie...? I czy na pewno nie. ?” „— Alez skąd, proszę pana, nigdy w życiu! Już prędzaj...!” — dajemy się przekonać

Wyobrazenie sobie czegoś mało możliwego czy wręcz niemożliwego jako bardziej prawdopodobnego od tego, czego się obawiamy, uspokaja nas. A gdy jest bardziej prawdopodobne od tego, czego oczekiwaliśmy, pozbawia nas złudzeń. „Prędzaj mi kaktus na dłońi wyrośnie”. Kaktusy w ogóle prędko nie rosną, a na dłoni wcale „Prędzaj skonać!”. No tak, to wygląda na poważne zobowiązanie.

Zaskoczenie z kolei możemy, zdradzając własną naiwność i mało uzasadniony optymizm, wyrażać frazą: „prędzej śmierci bym się spodziewał”. Jak się okazuje, śmierć dobrze się tu nadaje

Jasne, że rzecz nie w tym, żeby wolniej, tylko żeby wcale. Ale taka fraza z „prędzej” wydaje się bardziej elegancka przez pewne skomplikowanie. I bywa zabawna, jak w tym wierszyku Słonimskiego o pewnej Czeszce, która pytała portiera w hotelu, czy mieszka w nim pan Kozeluch. Gdy usłyszała, że nie mieszka, zapytała Czeszka, czy może mieszka pan Vitellu. Portier odpowiedział, że już prędzej by mieszkał Kozeluch.

Takie gramatyczne relatywizowanie przez użycie stopnia wyższego daje poczucie konkurencyjności zdarzeń. Co jest bardziej prawdopodobne, co mniej? Zastosowanie rachunku prawdopodobieństwa do zdarzeń niemal w równym stopniu niemożliwych daje czasem poczucie pewnego absurdu. Choć można przywoływać porównawczo także mniej niemożliwe. I można też to porównanie odnieść do przeszłości. „– Czy to było tu? – Nie, już prędzej tam .”.

Coś, co jest niemożliwe, nie może być bardziej lub mniej niemożliwe. Po prostu nie może być. Sherlock Holmes, żeby dojść prawdy, eliminował te hipotezy, które mówiły o zdarzeniach niemożliwych, i wówczas to, co do tej pory wydawało się nieprawdopodobne, stawało się pewne jako jedynie możliwe rozwiązanie

Zazdrościłem mu zawsze umiejętności odróżniania rzeczy zupełnie niemożliwych od zaledwie nieprawdopodobnych. Niepokojąco mieszały mi się z rzeczami zaledwie niemożliwymi i zupełnie nieprawdopodobnymi.



Przyjdzie koza do woza

Przysłowie, odnotowane 1782

„Dobra, dobra, jeszcze zobaczymy!”. „To jeszcze nie koniec, poczekaj!”. „Jeszcze będzie moje na wierzchu!”. Tak pocieszamy siebie i martwimy tych, którzy z naszą porażką czy niepowodzeniem wiążą jakieś swoje zwycięstwa, korzyści czy przynajmniej dobre samopoczucie.

To powiedzenie o kozie jest z tego rodzaju. Nie udało się nam, a to dlatego, że ktoś nie chciał pomóc. Nie pożyczył, nie ułatwił, nie okazał. Przykro. Ale wierzymy, że się odegramy. Na nim się odegramy. Jeszcze on zobaczy. Na pewno będzie czegoś od nas chciał. Przyjdzie koza do woza. A my wtedy mu pokazemy ..

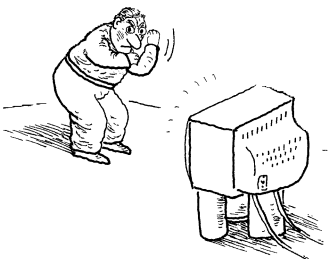
Na wozie pewnie jakieś kozie smakołyki, stąd spodziewamy się jej przyjsia. Na pewno przyjdzie. Prędzej czy później.

Wiara, że w przyszłości będziemy coś mogli, łączy się z przewidywaniem potrzeby antagonisty. Nasza moc musi się do tego wiązać ze sferą jego potrzeb. I nie wiadomo, który aspekt przyszłości uznajemy za bardziej atrakcyjny. W każdym razie jeden bez drugiego nie istnieje. Osobliwie współistnieje w tym przysłowiu jasna perspektywa możliwości czynienia dobra z pełnym satysfakcji ciemnym wyobrażeniem sobie przyszłej przewagi. Bo kochamy bliźnich, ale takich, którzy nas kochają, często za to właśnie.

A jak koza przyjdzie (a wierzymy szczerze, że przyjdzie, musi przyjść), powitamy ją radosnym: „przyszła koza do wozu!”, bo to przysłowie ma także formę przeszłą, czasami poprzedzaną triumfalnym „aha!” albo „a nie mówiłem?!”, zwiększając własne usatysfakcjonowanie sprawdzeniem swojej umiejętności przewidywania.

Nie dziwi ta dość skomplikowana hipotetyczna konstrukcja. W końcu trzeba przyznać, że sytuacja, w której sami musimy prosić, jest wysoce nieprzyjemna, zenująca. I uświadamiająca nam, że jesteśmy słabsi, jakoś gorsi, przynajmniej w danej sprawie, a w każdym razie zależni. A co gorsza, uświadamiająca to także tym, od których słabsi i zależni jesteśmy. Pół biedy jeszcze, jeśli naszym prośbom ci proszeni dają chętnie ucho. Ale jeżeli tak nie jest?

Wstydzimy się wtedy podwójnie i musimy to jakoś odreagować. Typowym środkiem jest wyparcie obecnej, przykrej rzeczywistości



przez rzeczywistość alternatywną, w której role są odwrócone. Która to rzeczywistość ma ten mankament, że nie istnieje, jest – by tak rzec – wirtualna, ale z kolei ma taką przewagę, że będzie później, zatem będzie ważniejsza. Będzie na wierzchu i my też. Na końcu, a tylko to się liczy.

Powtarzamy za Francuzami, że ten się śmieje, kto się ostatni śmieje. To my będziemy tymi ostatnimi.

Juz możemy zaczynać.

Radion sam pierze

Hasło reklamowe, Marian Hemar, 1926

Radion był zapewne proszkiem do prania, ale dziś wiadomo o tym już tylko z reklamy, niekoniecznie z tej rysowanej przez Tadeusza Gronowskiego. Po tym radionie były i są różne proszki, znakomite i najznakomitsze, dające biel bielszą od bieli, czarujące enzymami i unikalną formułą TAED, inteligentne i przyjazne, a zwłaszcza dużo lepsze od wszystkich najlepszych.

Ale zaden już nie prał sam. I do tej pory nie pierze. Tylko radion taki był, że nas do prania nie potrzebował, sam to za nas robił.

Jezeli dopuścimy konwencjonalność metafor i skrótów myślowych w reklamowej perswazji, jeśli będziemy licencjonować dopuszczalne zresztą i w mowie potocznej wyrażenia przesadne, hiperbole i agrawacje, jeśli prawdziwości nie będziemy traktować literalnie, wiedząc, że w końcu reklama zwraca się do rozsądnych ludzi, możemy językowo posunąć się daleko.

I reklama radionu tam się posuwa.

Kije samobije, stolik, co się sam nakrywa i inne baśniowe, ale mające dobre oparcie w naszych leniuchowatych wyobrazeniach, ułatwiacze życia dobrze przygotowały grunt pod ten proszek. Najlepiej, gdyby prał sam.

Ale to przecież nieprawda, że proszek pierze sam, że my nic nie

musimy robić. Dziś, gdyby ktoś oskarżył producenta o wprowadzenie w błąd, bo kierując się reklamą, zostawił proszek z praniem i nic, mógłby dostać odszkodowanie.

Choć oskarżony mógłby się bronić

Po pierwsze, czy proszek nie pierze? Pierze, dopiero, tak się przecież mówi. Jedno ze znaczeń słowa „prać” odnosi się do człowieka, inne do urządzenia, jeszcze inne do środków czystości.

A po drugie: „sam”? Co to właściwie znaczy „sam”? Tyle znaczeń ma przecież ten zaimek...

Może chodzi tu o to, że to on, nic innego. Tak jak mówimy „sam” o osobie, że własna. We własnej osobie, on sam, nikt inny. Nikim czy niczym się proszek nie wyręcza, sam w tym praniu bierze udział, a jakże. Własnymi granulkami czy pyłkami, czy innymi tam rzeczami uczestniczy w procesie prania. Może i inne proszki tam są, może narzędzia i ludzie, ale on sam, radion, też jest tu, w tym praniu, i to jest najprawdziwsza prawda.

A może działa sam, bez innych proszków? Nie trzeba mu żadnych tam dodatków, żadnych pomocników. Sam potrafi się z tym uporać, nie musimy dosypywać wybielaczy ani innych specyfików. I to prawda, z proszków wystarcza sam radion.

Mógłby się jeszcze czuć samotny w tym praniu, osamotniony i godny współczucia .. Ale to już byłaby chyba przesada.

Możliwe, że dzisiejsza reklama nie wykorzystuje tego prostego i zgrabnego (co także ważne) sloganu, bo bardziej uważa na dosłowną prawdziwość. Ale raczej dlatego, że radionu już nie ma, a tylko on prał sam.

Raz kozie śmierć

Przysłowie, odnotował Jan Kanty Gregorowicz, 1856

Przysłowie dość późne, za to bez żadnych wariantów. Raz sformułowane, a widać od razu dobrze, bo zmian nie próbowano.

Pełno kóz w naszych przysłowiach. Przychodzą do wozów, skaczą na pochyłe drzewa, łamiąc sobie nózki. W przysłowiach jeździmy sobie na kozach jak na tysiącach kobyłach. Ale widać tam i pewien sentyment do tych pocziwych bydląt (na których pocziwość też jedno z przysłów wskazuje).

I często nimi w przysłowiach jesteśmy. To my, pod ich postacią, brykamy, łamiąc kończyny, skaczemy na pochyłe drzewa i przychodzimy w pokorze do wozów. My, ludzie, choć nie zawsze my, mówiący i przysłówiający.

Ale tutaj to bezwzględnie my.

To przysłowie należy do chojrackich. A tam, nie przejmujemy się zaniadto. Co ma wisieć, nie utonie. Jakoś to będzie. Co będzie, to będzie. A jak nawet coś się stanie, to trudno. zaryzykujemy „Raz maty rodziła”, jak mówiło się w *Ogniem i mieczem*. Raz kozie śmierć.

Właściwie z tego, że tylko raz, można by wnosić, że trzeba uważać. Dlatego, że raz i więcej szans nie będzie, powinno się szczególnie uważać. A tu wniosek dość przewrotnie całkiem przeciwny. Czyż to dałoby się wytłumaczyć?

Takich razów mamy trochę w porzekadłach. Wiemy i przypominamy sobie czasem, że raz się żyje (no, góra dwa). Z tego, że raz się żyje, wyprowadzamy konkluzję, że trzeba sobie użyć tego życia, bo więcej szans nie będzie. I wołając, że raz się żyje, odrzucamy chłodne kalkulacje na rzecz nieskrępowanych emocjonalnie motywowanych ekscesów.

Może i stąd ta śmierć kozia. Kozia, bo własną przywoływać trochę jednak niebezpiecznie. I jak by to brzmiało? „A, raz mi śmierć!”? No, ja bym jednak nie ryzykował. Lepiej przetrzucić to na kozę.

Ale zawadiackie nieliczenie się ze śmiercią zwykle jest dobrze widziane. I zamiast przywoływać jednokrotność życia, można spróbować z jednokrotnością śmierci, bo to przecież na jedno w końcu wychodzi. Tyle że w przypadku śmierci – kozie. No i oczywiście żyje się raz wobec chwilowych uciech, kozia zaś pojedynczą śmierć przywoływało się w obliczu prowokowanego przez siebie, choć zwykle słusznie i często bardzo szlachetnie – ryzyka na granicy życia.

I była to przy tym próba dodania sobie tą zuchowatością ducha, potrzebnego w ważnych okolicznościach.

Tyle że strywalizowało się to powiedzenie, odnosimy je do mało niebezpiecznych terminów, często do zwykłych zachowań związanych z jakimś wyborem. Nie zawsze to bardzo groźne, bywa, że wcale. I bardzo dobrze, w końcu coraz mniej takich śmiertelnych zagrożeń.

I tylko kozia śmierć się dewaluuje.

Raz na wozie, raz pod wozem

Przysłowie, odnotował Fabian Adam Birkowski, 1620

Początkowo przysłowie uzależniało własną trafność od typu człowieka. Kto bywał na wozie, ten bywał i pod wozem. Dziś myślimy tym przysłowiem raczej o zmienności losu ludzkiego w ogóle, każdego człowieka. Różnie to bywa. Raz lepiej, raz gorzej.

Ten pierwszy raz to raz, ten drugi to drugi raz albo inny raz. Tym razem tak, innym razem nie. Nie, nie tym razem, może innym razem „Może kiedyś, innym razem, dziś na razie nie” mówiła piosenka, pokazując, że ten raz, co teraz jest, jest tym razem, ale tylko na razie. Wszystko, co jest „teraz”, czyli „ten raz”, jest na takim razie. Przykre nieco, że do tego liczenia naszego czasu czy sytuacji używamy określenia wziętego z bicia, i to nie zegara. Bo „raz” to tyle, co uderzenie. Ta uderzająca konstatacja sprawia, że mniej chętnie na „razy” liczę to, co wyznacza moje zdarzenia. Za każdym razem, kiedy sobie to uświadamiam, a nieraz („nie raz”) i w przyjemnych okolicznościach, próbuję przywoływać alternatywne wobec „razowości” poczucie nieprzerwanego kontinuum

Razy następują po sobie, raz za razem, i nie są, nie mogą być tymi samymi. Każdy z tych razów jest odmienny. I dają to poczucie odmienności, i często o nim stanowią, tłumaczą je. Raz wywołują tylko, raz objaśniają. I dotyczą wszystkiego, co się dzieje.

Tutaj, w przysłowiu, nie mamy innych razów, drugiego razu. Oba razy są równoprawne. Są odmienne, ale w jeden sposób: są przeciwstawne. Występują w opozycji. Tak bywa nieraz: „raz tak, raz inaczej”; „raz się uda, raz nie”; „raz dobrze, raz źle”. Daje to poczucie cykliczności. I wywołuje przeświadczenie, że takie opozycyjne względem siebie fazy występują przemienne. Czasem wprowadzie mamy tendencję do uogólniania stanu bieżącego i myślenia czy też przeczuwania, że jak tak jest, jak jest, to może i będzie dalej. Ale z drugiej strony ta przemienność cykliczność wydaje nam się bardziej naturalna i w jakiś sposób przy tym sprawiedliwa, wyrównująca. Ma to pewien związek z dialektycznością w podejściu do poznawania procesów rządzących jeśli nie światem, to przynajmniej naszym doświadczeniem. I wiemy stąd, że jak teraz jest tak, tym razem, co jest, to potem, innym razem, będzie inaczej. Może nawet tak inaczej, że jeśli tym razem tak, to innym razem nie.

No i rzecz jasna dotyczy to przede wszystkim naszych powodzeń i niepowodzeń albo tego, co tak bywa postrzegane. Raz dobrze, raz źle. Mówimy tym przysłowiem o zmienności fortuny, która, tocząc się kołem, raz dobre rzeczy ludziom niesie, raz złe. I często odnosimy to przysłowie do siebie samych. Ale, co ciekawe, rzadziej bywa ono przywoływane dla ostrzeżenia. Czyli wtedy, gdy dobrze. Zazwyczaj dajemy nim wyraz optymizmowi. Raz jesteśmy na wozie, raz pod wozem. Mówimy i słyszymy to raczej spod wozu, cokolwiek znaczą ta figura, którą trudno odnieść do opisu sytuacji.

Reklama jest dźwignią handlu

Hasło reklamowe, początek XX wieku

„Przysłowia są mądrością narodów” mówi jedno z bardziej znanych przysłów, choć nie bardzo pamiętamy, jakiego narodu to przysłowie. Dla Francuzów w przysłowiaach słyhać echo doświadczenia, Niemcy dostrzegają w nich prawdę, Hiszpanie – Ewangelię, Polacy mówią o tej mądrości od XVII wieku. Może się wydawać trochę nieprzyzwoita ta samogloryfikująca się autotematyczność, ale te przysłowia od lat służą jako metaprzysłowio-we potwierdzanie stosowności stosowania innych przysłów. Mamy wątpliwości, czy dane przysłowie jest prawdziwe? Jak to, przecież nawet przysłowie mówi, że przysłowia mówią prawdę. A ponieważ przysłowia mówią prawdę, co samo przysłowie potwierdza, to i to przysłowie o mądrości przysłów jest prawdziwe i mądre.

Trudno byłoby sloganowi reklamowemu reklamować prawdziwość reklamy. Przede wszystkim dlatego że, o ile konkurencyjność i wzajemne wykluczanie się przysłów jest co najwyżej sporadyczne, o tyle slogany jawnie ze sobą walczą i naprawdę na prawdę. Choć w swej mądrości niezbyt często formułując sądy, które są albo nie są prawdziwe. Reklama „odbywa się” raczej obok prawdy, wykorzystując te niezliczone sposoby formułowania myśli, które nie da-

ją się ani prawdzie, ani kłamstwu przypisać. Zwłaszcza oczywiście chodzi o to, by się nie dały przypisać kłamstwu

Żeby reklama mogła dobrze funkcjonować, powinna być dobrze postrzegana. Wiemy naturalnie, że dobrze postrzegane są te rzeczy, które są dobrze zareklamowane. Stąd oczywistym jest, że reklama powinna dobrze się zareklamować. W ten zresztą sposób najlepiej potwierdzi swoją skuteczność

I oto mamy metareklamowy slogan o dźwigni. W „Dzienniku Wileńskim” od 1906 roku ukazywało się hasło: „Reklama jest podporą handlu”. Tak się reklamowała gazeta, chcąc umieszczać ogłoszenia reklamowe. Była to reklama reklamowania, reklama reklamy. Do dziś spotykamy w wielu miejscach miejsca, nazywane miejscami na reklamę. „To miejsce na Twoją reklamę” mówią takie miejsca, go-



towe na moją reklamę, na razie zaś reklamujące siebie jako miejsca na reklamę. Moją też rzecz jasna, dlaczego nie.

„Dajcie mi punkt podparcia, a podźwignę ziemię”, mawiał podobno Archimedes. Punktu nie ma, ale podpora jest. Tylko że „podpora” brzmi, jakkolwiek solidnie, to mało dynamicznie. Podpora podpira, utrzymuje w jakimś stanie. Jest par excellence statyczna. A tu trzeba nie tyle utrzymywać status quo, ile poruszać, posuwać do przodu, dźwigać w górę.

Lepsza do dźwignia jest dźwignia. I hasło o dźwigni od stu lat bez mała dźwiga reklamę. Może się nam reklama nie podobać, możemy czuć się urażeni, zrażeni i obrażeni jej nachalnością, obcesowością i czasem nawet głupotą – ale musimy przyznać, że bez niej handlu by nie było. Że jest dźwignią handlu.

W końcu sama o tym zapewnia.



Rybka lubi pływać

Powiedzenie biesiadne

Przy wypiciu potrzebujemy usprawiedliwienia. Choćby nie było całkiem serio, może takie zresztą jest najlepsze. Bo usprawiedliwiać się nie lubimy. Zartobliwe tłumaczenia, przywoływanie jakichś wymyślonych zasad, toasty pozwalające na celebrację przydają się nie tylko wpadającym w poczucie winy alkoholikom, ale biesiadnikom w ogóle. Poza wszystkim – współtworzą one wspólnotę, sympatycznie rytualizują i poprawiają trawienie.

Dobrze znaleźć pewne reguły konsumpcyjne, które zakorzeniają nas w kulturze. Do raków koper, do kapusty kminek. Do pieczywa osobny talerzyk. Do zająca buraczki.

A do ryby – alkohol. Zwłaszcza do rybki. Wtedy zresztą – wódeczka, bo wino rzadziej zdrabniamy. Rybka taka to przeważnie śledzik, zapewne z cebulką i śmietanką, do tego pieczywko i maselko. Gdyby oferowano śledzia z cebulą i do tego chleb z masłem, byłoby to wręcz nieapetyczne. I oczywiście kieliszeczek wódeczki, nie kielich wody. No – powiedzmy – może raczej kilka kieliszczków.

Bo rybka lubi pływać. Czyli potrzebny płyn. Kto to usłyszy, zareaguje ze zrozumieniem. Kelner przyniesie, gospodarz naleje. To my oczywiście lubimy, ale dobrze zrzucić to na rybkę. Rybka zresztą ma w sobie coś frywolnego, czy to kiedy śpi w jeziorze w towarzystwie in-

nych rybek, czy kiedy stanowi alternatywę dla – powiedzmy – akwarium. Wprowadza nastrój lekko birbancki. Zartobliwy. Nieco może makabryczny, bo dawno nieżyjącemu stworzeniu przypominamy jego naturalne środowisko i na dodatek odwołujemy się do znajomości jego upodobań. Rybka jest w liczbie pojedynczej. To jasne, ten żart jest wtedy bardziej nośny. I jeszcze z jednego powodu.

W rzeczywistości, podczas konsumpcji, tworzę z rybką układ poziomy, nazwijmy go syntagmatycznym. Jestem ja i jest rybka, wchodzimy w relację, ja rybkę jem, rybka jest jedzona przeze mnie. Ja i obok, na talerzu, moja rybka. Alternatywnym dla tego układu jest układ pionowy, paradygmatyczny, w którym ja i rybka nie współwystępujemy, lecz stanowimy względem siebie coś w rodzaju ekwiwalentu. Albo ja, albo rybka. W miejscu mnie – rybka. I odwrotnie: ja zamiast rybki. Rybka i pływanie są syntagmatyczne, rybka i żabka – paradygmatyczne.

W tym makabrycznym powiedzonku rybka reprezentuje mnie, a pływanie jest zamiast picia. Rybka lubi pływać, czyli ja lubię pić.



Tak się utozsamiam z tym, co jem, że przypisuję temu swoje lubienie, choć czego innego. Podczas jedzenia to dodatkowo makabryzuje. A rybka sobie popływa we mnie.

Polewamy, podlewamy, lejemy Alkohol płynie strumieniami. Takie metafory są właściwsze dla szampana niż dla gorzałki, ale i tu możliwe. „Ale popłynęliśmy.. ” – powiemy następnego dnia rano.

Takie z nas rybki

Serce masz po lewej stronie

Hasło wyborcze Sojuszu Lewicy Demokratycznej, 1993

Z tym hasłem prowadzona kampania okazała się zwycięska i SLD objął rządy na cztery lata. Zapewne w sukcesie miał pewien udział zręczny slogan, którego prawdziwości w warstwie anatomicznej nie można podważyć.

Chociaż Przemądry Kaznodzieja, Eklezjasta, Kohelet, najgłębsza intelektualnie księga Pisma Świętego twierdzi zaskakująco, że to zależy od tego, czy głupi kto, czy mądry, i powiada, że „serce mądrego po prawej stronie jego, a serce głupiego po lewej stronie jego”. I bądź tu mądry!

Kaznodzieja w ten sposób rozwijał i utrzymywał wartościującą metaforykę nie tylko anatomiczną, tak silnie obecną w Biblii. W Kazaniu na Górze lewica ma nie wiedzieć, co czyni prawica (chodzi o dobro przez nią czynione), wiemy, kto ma zasiadać po prawicy, a kto po lewicy. Nasza potoczna frazeologia, wzięta zresztą po części i z Pisma Świętego, także prawymi nazywa uczciwych i porządných, a lewusi robią na lewo różne lewizny. Prawo znaczy prawo, a prawda jest jedna. Z dwu łóz jedno zwane jest prawym, drugie, żeby zupełnie już niepożądaną lewość uniknąć, nieprawym.

Wymiar polityczny lewica przyjmuje dopiero od końca XVIII wieku, kiedy we francuskim Zgromadzeniu Narodowym zapewne dość

przypadkowo radykałowie siedli po lewej stronie sali. Konserwatyści byli po prawej, a w środku „Bagno”, czyli chwiejne centrum. Podobno w parlamencie brytyjskim radykałowie już wcześniej siadali z lewa.

Prawica często wykorzystywała tę prawość językową i kulturową do propagandowego podtrzymywania swoich racji. Wskazywała na swoją prawość. Lewica rzadziej mogła sięgać do argumentacji tego typu. Ale w końcu przyszło w sukurs serce.

Z polskiej mocnej, mocniejszej zapewne u nas niż gdzie indziej, tradycji romantycznej wiemy, że czucie i wiara silniej powinny do nas przemawiać niż szkielek i oko, a serce powinniśmy nie tylko mieć, lecz także w nie patrzeć. Serce, „to najpiękniejsze słowo świata”, od zawsze związane jest z bardziej naturalnymi od racji emocjami. To mięsień, którym powinniśmy się kierować w decyzjach, bo w nim leży istota człowieczeństwa. Jakoś taki jest ten wymiar etyczno-intelektualno-fizjologiczno-anatomiczny człowieka

A serce jest po lewej stronie. To prawda, tak wszyscy mają, nie tylko głupi, i nie może to być przypadek.

Hasło nie mówi o regule dotyczącej wszystkich, mówi o tobie. To ty masz tam serce. Inni też, ale tutaj nie o to chodzi. Bo tu chodzi o twój głos. Inni, jak inni, ale ty masz serce, gdzie je masz, i powinienś wyciągnąć z tego naturalny wniosek. Chyba nie jesteś bez serca, nie możesz tego zlekceważyć. Masz serce, wiemy o tym, i masz je po lewej stronie, wiesz o tym sam. A to serce to i cały ty, i nawet Polska. Serce – „to Polska właśnie”.

Serdecznie, z całego serca zapraszamy do urn.

Formuła pozdrowienia, koniec XX wieku

Najpierw jest specjalna konstrukcja zwrotnej formy modalnego czasownika „mieć” z przysłówkiem lub wyrażeniem przysłówkowym, używana do określania stanu zdrowia, samopoczucia. „Mam się dobrze”, „on się miał pod psema”. Ten gramatyczny kontekst jest ważny, bo inne „mieć się”, z wyrażeniem przyimkowym z przyimkiem „za”, odnosi się do sposobu myślenia o sobie.

Jeśli można się jakoś mieć, można też o to pytać. „Jak się masz?”. Może nas to interesować. Ten rodzaj zainteresowania może być początkiem kontaktu. Taki początek kontaktu może być (i, jak wiemy, jest) pozdrowieniem. Anglicy wolą „jak jesteś” Ich sprawa. Możemy pytać, pozdrawiając, ale często nie pytamy, tylko mówimy, ewentualnie wykrzykujemy „jak się masz!”, bez pytajnej intonacji. I nie ma w tym nic dziwnego, że w odpowiedzi możemy usłyszeć takie samo „jak się masz”. Bo to już nie pytanie, to zwykłe powitalne „cześć”. Jeśli to pytanie, akcentujemy „masz”. Jeśli pozdrowienie, można dalej na czasowniku przycisk stawiać, a można i na „się”. Co sprawia, że zwrotna forma zrasta się, tworząc niby-wyraz „sięmasz”. Trochę nonsensowne jest wtedy utrzymywanie tej nosowości „ę”, więc mamy coś w rodzaju „siemasz”. Oczywiście nie bardzo jest uzasadnione stawianie przed takim słowem zaimka py-

tajnego „jak”. Mamy więc samo (sam?) „siemasz”. Takie „siemasz” może być pozdrowieniem, ale nie zdziwimy się, gdy wystąpi w roli pożegnania.

Pozdrowienia zmieniamy, odnawiamy. Chcemy je uspontaniczyć, odkonwencjonalnić, zdebanalizować. Pomaga nam słowotwórstwo. Może by zdrobnić „siemasza”? Stosunkowo zgrabne jest jakieś „siemanko”, które nie pochodzi od „siemanie”, lecz raczej od sporadycznego „siemano”. Kto wie zresztą, czy nie jest odwrotnie i czy to nie „siemano” jest pochodnym zgrubieniem. Nie ma męskiej formy „sieman”, ale żeńska „siemana” już się trafia. Jest też egzotyczne „siemanes” i prosta, zgrabna „siemka”.

Ale najprostsze, a jednocześnie najbardziej ideologicznie obciążone, jest „sie ma”. Zdaje się epatować już nie tylko prostotą, ale także manifestowanym uproszczeniem, swobodą, która może być uznana za prowokacyjną. Łączy się z okrzykiem-hasłem „róbta co chceta!”, uchodzącym za manifest permissywizmu. Dla jednych – naturalny kontakt i sympatyczna, niewymuszona prostota, dla drugich – naruszenie i wzywanie do naruszania norm społecznych, a kto wie, czy także nie moralnych. Owsiała, który i „róbta”, i „sie ma” upowszechnił, kochano za to i nienawidzono.

„Sie ma” jest luzackie i swojackie. Odpowiedzią na nie jest drugie „sie ma”. Ma być spoko i będzie w porzo. Te klimaty językowe mają wyzwalać silne więzi, polegające na założonej z góry akceptacji siebie nawzajem, tego, co się robi i co będzie się robiło. Pozdrawiamy się i jesteśmy razem, wspierając się i ciesząc z siebie. Dobrze jest.

Sie ma.

Silni – zwarcı – gotowi!

Hasło propagandowe, 1920

Najpierw z powodzeniem zastosowane w wojnie bolszewickiej, potem przypominane przed wrześniem.

Jak to często w hasłach, triada wartości, w której ostatnie słowo jest najdłuższe. Takie perswazyjne trójki mają często charakter klimaksu znaczeniowego, gradacji. Najpierw dużo, potem bardzo dużo, na koniec najwięcej. Intuicyjnie stosujemy takie narastanie i oczekujemy go. „To było dobre, znakomite, cudowne” – może przekonywać. Można uwierzyć. Gdy powiem: „to było cudowne, powiedzmy: znakomite, no, w każdym razie dobre”, skutek będzie gorszy. Wartość perswazyjna takiego z kolei spadku, zwanego antyklimaksem, jest zwykle mniejsza, aż do podważenia wiarygodności.

Bywa, że w triadach wartości wynikają jedna z drugiej lub dają ciąg warunkujący. Czasem to się łączy i mamy eskalację wartości wynikających jedna z drugiej.

Oczywiście to my jesteśmy tacy: silni, zwarcı i gotowi. To hasło to deklaracja. Jasna i odpowiedzialna. Najpierw zatem „silni”, to warunek podstawowy, bez tego nic – ale to wartość raczej nam dana, niewynikająca z naszych decyzji; potem „zwarcı” – to już cecha nas jako zbiorowości, tworzymy ją intencjonalnie, wybieramy intensywne i dające więcej mocy bycie razem, wiedząc, że możemy być

„jednością silniejsi”; wreszcie „gotowi”. I ta gotowość, a ściśle jej deklaracja, jest tu najważniejsza.

Formalnie także i przez to, że nie ma tu mowy wprost o tym, do czego mianowicie gotowi. „Silni” to cecha inherentna, istniejąca sama przez się, oczywiście tylko względnie dająca się przypisać, ale rozpoznawalna. I żadnych uzupełnień, na przykład określenia rodzaju siły, nie wymaga. „Zwarcie” to już cecha zbiorowości – lecz także zrozumiałe jest jej proste przypisanie, nie mamy poczucia braku informacji, gdy pozostaje bez rozwinięcia. „Gotowi” – no, ściśle rzecz ujmując, dobrze byłoby mieć podane, do czego mianowicie. „Gotowość” w odróżnieniu od „siły” i „zwartości” wymaga uzupełnienia

Ale właśnie ten brak daje hasłu większą siłę, a także zwartość. I większą gotowość do użycia oczywiście też. Bo oto gotowi jesteśmy do tego, czego trzeba. Najłatwiej nazwać to czynem. Czyn zostanie określony i my go wykonamy. A jaki będzie to czyn? Tu chodzi głównie o gotowość. Ale zapewne zbrojny.

Deklaracja gotowości jest tym wiarygodniejsza, że poprzedzona została podaniem innych sprawdzalnych cech: siły i zwartości. One są dobrymi przesłankami dla deklarowania gotowości i zarazem jej warunkami. Gotowy jest ten, kto czuje się gotowym. Dlatego często pada pytanie o gotowość od sytuacji błahych, jak odpowiedź czy start, do sytuacji poważnych, a nawet wielkich.

„Gotowi? Zaczynać!”.

Tylko nie jest pewne, kto i w czyim imieniu tę gotowość tu deklaruje.

Słowo się rzekło...

Powiedzenie

„Się” rzekło to słowo. Nie ono rzekło samo siebie, to „się” ma inną funkcję, jest bezosobowe. Takie „się rzekło”, „się powiedziało” może być odniesione do każdego, najczęściej do ciebie albo do mnie. Albo tobie przypomina, zwraca uwagę, dopomina się od ciebie realizacji obietnicy, albo gdy to o mnie chodzi, podtrzymuje moje zobowiązanie, deklaruje moją świadomość konieczności spełnienia tego, co zapowiedziałem. Skoro ty powiedziałeś... Jeśli ja rzekłem, to...

W takiej formie bez zaznaczonej osoby łatwiej to powiedzenie uznać za formułę powszechnie obligującą. Brzmi prawie jak zasada, jak *pacta sunt servanda*, czyli umów należy dotrzymywać, a nawet być im posłusznym. To nie tylko kwestia konsekwencji, że jeśli się powiedziało „a”, to trzeba i „be” powiedzieć, to niemal kwestia prawna, twarda. Tak twarda, że można (choć nie wolno) takie słowo metaforycznie złamać. O łamaniu mówimy tylko przy słowach danych. Daję słowo. No, nie przy wszystkich danych, jak się okazuje.

Czasami przypomina się jeszcze niezbyt elegancka i, przyznać trzeba, dość głupawa historyjka o jakimś szlachcicu, co to, zwierzywszy się przygodnie spotkanemu dworzaninowi z zanoszonej królowi supliki, dodał, że jeśli król nie spełni prośby, niech jego kobyłkę w zad pocałuje. Gdy dworzanin okazał się królem i zapowiedział,

że prośbę spełni, a potem zapytał szlachcica, co on na to, ten miał powiedzieć: „słowo się rzekło, kobyłka u płota”. Grubiaństwo i w końcu durnotę (bo przecież prośba miała być spełniona) wzięto za rezolutny dowcip i przechowano w opowiastce, przez co i niepoprawna dopełniaczowa forma rzeczownika „płot” ciągle się utrzymuje. Na szczęście cała anegdota jest zapewne tłumaczeniem jakiejś arabskiej facecji.

Słowo jest ważne. Było na początku, było sprawcze. Jest sprawcze wobec naszych działań. Staje się prawem. Wprawdzie, mówiąc o słowie, myślimy nie o tym, co zapisane, ale o tym, co powiedziane, a wiemy, że *verba volant, scripta manent*, czyli słowa ulatują, zostaje zaś to, co napisane, wprawdzie mówi się czasem, że słowa dym albo że słowa bywają przekręcane i wracają innymi, niż wyleciały – ale jak się rzekło słowo, jak się pomyślało, że się je rzekło, a najbardziej, jak się powiedziało, że się je rzekło – ma ono wagę zapisu.

A może jeszcze większą ma wagę, gdy się je nie tyle powiedziało, ile rzekło. Wyrzekło się je, to nim się coś przyrzekło. „Rzec” to rzadkie dziś słowo, znane z ksiązek raczej niż z mowy, dlatego ważniejsze. Jedyne bodaj słowo, które zachowało starą formę aorystu, osobliwego czasu przeszłego dokonanego, „rzecze” mianowicie. Pamiętaną choćby z tytułu Staffowskiego przekładu Nietzschego *Also sprach Zarathustra – Tako rzecze Zarathustra*. Zarathustra tak nie mówi, jak mogłoby się zdawać, to nie czas teraźniejszy, on już to powiedział, rzekł, a nawet „rzecze”. I nie tak, tylko „tako”, więc to jeszcze starożytniej ważniejsze.

Takie słowo to dopiero się rzekło.

Socjalizm tak, wypaczenia nie

Hasło strajkujących gdańskich stoczniovców, sierpień 1980

Struktura dobra, prosta, łatwa do zapamiętania. To – tak, a tamto – nie. „Kuba – tak, Jankesi – nie” – powtarzał Fidel Castro i to hasło, obok „socjalizm albo śmierć”, dawało propagandową jasność. W *Folwarku zwierzęcym* Orwella mamy przykład takiego przykrojania *in usum Delphini* wszystkich zasad zwierzęcowyzwoleńczych, zbyt skomplikowanych dla prostych umysłów (w tym przypadku owiec): „cztery nogi dobre, dwie – złe”.

I kiedy wiemy, co dobre, co złe, co tak, a co nie, łatwo się tym kierować. Wiemy, co akceptujemy, czasem aż do utraty życia, a czemu mówimy nasze stanowcze i zdecydowane „nie”. Wtedy, gdy to, co dobre i tak, odróżnia się wyraźnie od tego, co złe i nie, a najlepiej, gdy stoją w wyraźnej opozycji, jak choćby, nie przymierzając, Jankesi i Kuba, mamy sytuację prostą. Odnosi się to zarówno do idei ogólnych, jak do prywatnych upodobań.

Trochę trudniej, kiedy między jednym, czyli tym, co tak, a drugim, tym, co nie – różnica nie taka duża. Lubię muzykę lekką, rozrywkową, a poważna mnie nudzi. Albo gdy to drugie jest przypadkiem tego pierwszego. Lubię lekarzy (blondynów, Żydów, liberałów), ale Anzelma nie trawię. Lubię sportowców, ale nie tenisistów stołowych. Albo gdy to wynika z mniej lub bar-

dziej arbitralnego ustalenia. Lubię ludzi wesołych, ale błaznów nie znoszę.

W działaniu propagandowym prostota struktury „tak – nie” może być wystawiona na próbę w związku z rozumieniem relacji zestawianych elementów. Pamiętam hasło „demokracja – tak, anarchia – nie”. Ale gdzie była granica między jedną a drugą, ustalał ten, kto hasło głosił. I można było założyć, że ta dowolność interpretacji nie była dostateczną przeszkodą w wybieraniu takich właśnie haseł.

Przypomina to bliskie strukturalnie hasła niby ograniczające, w istocie czasem negujące pierwsze ogólne założenie. „Prywatyzacja tak, ale uczciwa”. „Reformy tak, ale z ludźmi i dla ludzi”. Ocena, a nawet niejasna w tej ocenności, bo niedopuszczająca weryfikowalnych kryteriów, druga część zdawała się ograniczać wstępną deklarację nawet poniżej minimum. „Reformy tak, ale...” – chyba nie mówi tak zdecydowany zwolennik reform.

„Socjalizm tak, wypaczenia nie” tak naprawdę brzmiało hasło stoczniovców w 1980 roku. Wypaczenia – wiadomo, że nie. Wypaczenia nie mogą być dobre, z natury rzeczy i języka. Znaczy to, że socjalizm, prawdziwy, bez wypaczeń – jeszcze bardziej tak, bo wypaczenia oddalają od socjalizmu. „Wypaczenia” pamiętaliśmy jeszcze z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy nazywano tak błędy stalinizmu. Ściślej: „błędy i wypaczenia”, jakby błędów nie było dosyć. Mało, nawet wypaczenia gorsze są od błędów. Błądzić jest rzeczą ludzką. Wypaczenia są godnym potępienia odchyleniem. Wypaczeniom – nasze stanowcze nie!

A socjalizm? Może jeszcze tak ..

Spokojna głowa

Powiedzenie, okres międzywojenny XX wieku

Upowszechnił to Wiech, nawet jeden z tomów jego dialogów taki miał tytuł. Z taką częstą u Wiecha sympatyczną postawą to kojarzymy: nie przejmuj się, jakoś to będzie. Dziś powiedzielibyśmy też luz. Kiedyś się to rozwijało w „spokojna twoja głowa”, „spokojna twoja czaszka”. Było to luzackie, przejawiało wiedzę o świecie i rozsądek, zdrowy oczywiście, bo jaki by inny. Dzisiaj się to raczej skraca, aż do „spoko”.

To „spoko” uchodzi za dość nowe, kojarzone bywa z tytułem książki Jacka Kuronia, może jeszcze z filmem Juliusza Machulskiego *Kingsajz*. Ale pojawiło się już na początku ubiegłego wieku, w 1916 roku, w Komendzie I Brygady Legionów, a odnotował to Felicjan Sławoj-Składkowski. Tak że spoko, to „spoko” jest dawno z nami.

Kiedy mnie ktoś uspokaja, zazwyczaj wiem, że dobrze mi zyczy i nie chce, zebym się denerwował, panikował. Mówi mi: „spoko”, „spokojna głowa”, „spokojnie”. Kiedy widzi, że się denerwuję, może powiedzieć: „uspokój się”. Ale nie powinien się dziwić, że się nie uspokajam. Przeciwnie, mogę się jeszcze bardziej zdenerwować. Nawet jeśli do tej pory byłem względnie spokojny, mogę ten spokój teraz stracić. Zwracanie uwagi na mój niepokój, nawet na moją możliwość

zaniepokojenia się, denerwuje mnie jakoś. Zaraz będę wściekły. Proszę mnie nie uspokajać!!! Ja jestem całkiem spokojny!!!

„Spokojna głowa” denerwuje stosunkowo mało. Zwykle nie bywa adresowana do mojego napiętego stanu ducha, więc przyjmuję ją spokojnie. Ma w sobie coś z charakterystyki sytuacji, jest raczej uogólnieniem. Spokojna głowa, wszystko w porządku. Wprawdzie naprawdę w porządku byłoby wtedy, gdybyśmy nie zauważali, że wszystko jest w porządku, a spokojnie wtedy, gdybyśmy nie wiedzieli, że czujemy spokój, ale trudno. Względnie spokojnie jest, przyznajemy.

Słyszałem o instrukcji obsługi gaśnicy pianowej, która to instrukcja podobno zaczynała się słowami: „Pali się? Niech się pali, a my spokojnie...”. Muszę przyznać, że spokój w takich okolicznościach wydaje się nie tylko szczególnie cenny, lecz także szczególnie atrakcyjny. I myślę, że taka instrukcja nawet w warunkach pożaru mogłaby przemówić do mnie. I poskutkować, bo oczywiście spokój najważniejszy.

Wierząc w siłę spokoju, w wyższość spokojnej oceny sytuacji, w przewagę prawdziwej rozważy i mądrości ze spokoju wynikającej, mamy coś jednocześnie za złe tym bardzo spokojnym. Wzbudzają u nas niepokój. Trochę im zazdrościmy, zapewne, ale też i podejrzewamy, że ten spokój może wynikać z ich niewiedzy. A naprawdę sytuacja jest niepokojąca. Dlatego cali nie jesteśmy spokojni.

Ale cali nie musimy być. Wystarczy głowa. To skromne ograniczenie jakoś mnie uspokaja.

Sport to zdrowie

Hasło propagujące sport, lata międzywojenne XX wieku

„W zdrowym ciele zdrowy duch”, *mens sana in corpore sano* – spartańsko przekonywali Rzymianie. „Niech żyje sport, sport, sport...” śpiewano. „Sport to zdrowie” i już. Te formuły są niezwykle proste, łatwe do zapamiętania i nośne. Powtarzało się je często, publicznie i prywatnie, jak najbardziej serio. W ideologiach, w szkołach i w rodzinach.

Dziś może częściej traktujemy je nieco zartobliwie, powtarzamy raczej ironicznie – choć jakoś tam wiemy, że sport to sposób na zdrowie i że dobrze byłoby, żeby żył. Bo w zdrowym ciele...

W *Słowniku języka polskiego* pod redakcją Witolda Doroszewskiego znajdujemy aż trzynaście haseł odnoszących się do sportu, w najnowszym *Uniwersalnym słowniku języka polskiego* PWN pod redakcją Stanisława Dubisza już tylko osiem. Nie ma już w najnowszej polszczyźnie odnotowywanych dawniej przez Doroszewskiego „sportsmana” i „sportsmanki”, a spolszczone „sportsmen” i „sportsmenka” są uznane za książkowe. Nie ma mowy o niczym „sportsmeńskim” ani o „sportsmeństwie”. Może to i naturalne, w końcu słownictwo ujednolici się i mamy dzisiaj jednolitego „sportowca”. Ale znikła zapomniana już dziś „sportówka”. Sport można uprawiać, ale nikomu nie przychodzi do głowy, żeby po pro-

stu i po trosze „sportować się” czy, jak chciał jeszcze *Słownik warszawski*, „sportować”.

Sport to była ważna sprawa XX wieku, na jego początku kojarzył się z dwiema cechami: był szlachetną rywalizacją i był uprawiany dla zdrowia. Stąd poszła zachowana do dziś frazeologia. „Zachowanie sportowe” było ze wszech miar godne szacunku, kiedy ktoś zachowywał się „po sportowemu”, na pewno nie miał na celu własnych korzyści, a wszelka nieuczciwość była mu głęboko obca. Jeśli ktoś robił coś „dla sportu”, miał na względzie głównie zdrowie, choć także sympatyczną rozrywkę, a wyrażana tym przyimkowym wyrażeniem bezinteresowność była warta uznania.

Dziś ta frazeologia trochę się zmieniła. Po sportowemu raczej się ubieramy i chodzimy, niż zachowujemy, a dla sportu robi się coraz



gorsze rzeczy. W potocznych kontekstach spotykamy na przykład „dla sportu” jako określenie okoliczności aktów agresji, a wspomniana bezinteresowność zdaje się łączyć częściej z bezmyślnością lub zgoła bestialstwem niż ze szlachetnością. Czyta się o „rzucaniu kamieniami dla sportu”, o pobiciach i zabójstwach dokonywanych jakoby „dla sportu”. Jasne, to ironia, ale znamienne. Ciekawe, o jaki sport chodzi. Pejoratywizacja frazeologii wiąże się z pejoratywizacją zjawisk. Sport zawsze wzbudzał emocje. Państwowe hodowle wyczynowców wykazywały wyższość ideologii, przywiązanie do klubów jest okazją do zamieszek, komercja sportu wiąże się z korupcją.

Znaczenie słowa „sport” nie zmieniło się zbyt wiele. Ale gdy je wypowiadam, szlachetna rywalizacja rzadziej się przypomina. Zdrowie też.

Strach ma wielkie oczy

Przysłowie, odnotował Mikołaj Rej, 1568

Czyli nie ma się czego bać. Do strachu mamy stosunek ambiwalentny. Z jednej strony wiemy, że jest to poważne uczucie. Odczuwamy nawet strach przed odczuwaniem strachu. Frazeologia wskazuje, że może on mieć nad nami władzę: „łapie” nas, „chwytą” i „ogarnia”. „Pada” na nas jak ciężar jakiś. Jak jest duży, bywa „blady”.

Z drugiej strony – próbujemy go ośmieszyć. Nazwaliśmy tak dziwnego manekina-patyczaka, którego jeszcze ubraliśmy w śmieszne lachmany. A w przysłowiach i powiedzonkach też nie traktujemy strachu poważnie, mówiąc żartobliwie, że w tym fachu nie ma strachu, że strachy na Lachy i właśnie, że strach ma wielkie oczy.

Dlaczego strach bywa blady? Bo bledniemy ze strachu. Dlaczego ma wielkie oczy? Bo my go takimi oczami widzimy, wytrzeszczonymi, zwiększającymi ponad miarę poczucie zagrożenia, widzącymi więcej, niż jest naprawdę. Jesteśmy podobni do naszego strachu, a on do nas. Niby jest zewnętrzny, łapie, ogarnia i pada, ale po części to my nim jesteśmy. I jak sobie go człowieczo wyobrazamy, to w postaci człowieka przerazonego, nie zaś przerażającego. Błady, chudy, trzęsący się, obdarty, z wytrzeszczonymi wielkimi oczyma. Jak tu się bać?

I z innych powodów także nie ma się czego bać. Jak ktoś straszy, to oszukuje. „Nie strasz, nie strasz” – mówimy. Straszy, bo chce nas wystraszyć. Skądś, czymś. Straszenie jest grozeniem bez pokrycia, czasem żartobliwym, czasem serio, ale wtedy też bez możliwości spełnienia czy przywołania groźby. Takie tam straszenie.

Strach, żeby skutecznie straszyć, czyli wystraszyć, powinien być straszny. Ale ten przymiotnik tak wykręciliśmy znaczeniowo, że dzisiaj, gdy słyszę o czymś strasznym, raczej myślę o czymś nieudanym, niedobrym. „Straszny spektakl” raczej mnie znuży czy zniesmaczy, niż wystraszy. A do tego „straszny” może zwiększać nie tylko obawę czy dezaprobatę, lecz również, o dziwo, pozytywne odczucia. Straszny może być nie tylko kłopot, straszna może być i uciecha.

Po prostu „straszny” intensyfikuje. A dla przysłówka „straszenie” to chyba już funkcja podstawowa. Mówimy jeszcze, że gdzieś było strasznie, co znaczy raczej „do niczego” niż „przerażająco”, że ktoś zachowywał się strasznie czy robił coś strasznie, żeby wyrazić, że się to nam nie podobało, ale „straszenie” z przymiotnikami to już tylko „bardzo bardzo”. „Strasznie smutny”. „Strasznie wesoły”. Z czasownikami zresztą też. Mogę kogoś strasznie nie lubić i strasznie lubić. Cieszyć się i martwić równie strasznie. A jak się tak strasznie cieszę, to mogę powiedzieć, że tak się cieszę, że „aż strach”.

Taki strach może sobie mieć nawet największe oczy.

Swój do swego po swoje

Hasło endeckie w kampanii wyborczej do IV Dumy, 1912

W pierwotnej postaci było to hasło trochę mniej rytmiczne: „swój do swojego po swoje”, potem, już jako tytuł prasowy, brzmiało w skrócie: „Swój do swego”. Chodziło o bojkot ekonomiczny Żydów. „Nie kupuj u Żyda” było prostym i kategorycznym sloganem, powtarzanym w międzywojniu. „Swój do swego” miało wymiar pozytywny w tym sensie, że nie mówiło, czego nie robić, lecz co robić należy.

A należy kupować u swoich, u chrześcijan. U Polaków. Oni są dla nas, swojaków, swoi, a my dla nich. „Swój swego znajdzie” – mamy to już u Homera. Znajdziemy się, poznamy, rozpoznamy. My, swoi. Tyle że lepiej znaleźć się i poznać, niż na siebie trafić: powiedzenie „trafił swój na swego” mówi o spotkaniu godnych siebie, ale przeciwników.

Tu nie ma między swymi przeciwników. Między swemi, w polskiej ziemi. Jesteśmy wśród swoich. I do nich powinniśmy iść, gdy nam czego potrzeba. Może trochę na wyrost dodajemy, że do tego swojego idziemy „po swoje”. Brzmi to tak, jakbyśmy do tego swojego, po które idziemy, od razu, z góry mieli prawo. Jeśli tak było, moglibyśmy to „zabrać jak swoje”. Tak zresztą czasem później to hasło było rozumiane. Oczywiście chodziło o to, że biorąc, czyli kupując,

u tego swojego Polaka, to, co jest nam potrzebne i też polskie, ob-
racamy się w swoim kręgu. A swojego wzbogacimy i poprzemy.
My, swoi.

Swoją drogą, trochę kłopotu jest z tym dzierzawczym zaimkiem
Mój, to wiadomo który. Twój – powiedzmy – też. To samo z waszy-
mi i naszymi. A swoje jest wszystko. I to nie tylko nasze i wasze,
ich również. I jego, i jej. Jak tu rozpoznać, czyje, jeśli rzecz nie
w przynależności, tylko w gramatyce? I jak przyznać, że ten swój
należy nie do osoby konkretnej, tylko do tego, kogo gramatyczny
podmiot wyraża?

No nic, swoje jakoś rozpoznamy. Każdemu swoje, *suum cuique*,
każdemu, co jego. Nasze swoje dostaniemy u swoich, jeśli jesteśmy
dla nich swoimi.

Ten dzierzawczy zaimek ma, co rzadkie u zaimków w ogóle, swoją
rodzinę: czasowniki „oswoić” i „przyswoić”, przymiotnik „swojski”
i od niego rzeczownik „swojskość”, rzeczownik „swojak” i jego
z kolei potomków „swojaki” i „swojactwo”. Tak sobie te słowa
przyswoiliśmy, że nie przeszkadza nam ich zaimkowe pochodzenie.
Oswoiiliśmy się ze swojakami, ze swojactwem mniej może, ale też
w nim coś swojskiego czujemy

Poliptoton – figura gromadząca dla stylistycznych lub retorycznych
celów różne formy jednego słowa i słowa o tym samym rdzeniu –
bywa sugestywny. Jak wiele podobnych wyrazów w krótkiej for-
mie, pewnie mamy do czynienia ze znacznym dopasowaniem tak-
że elementów rzeczywistości. Swój do swego, swój po swoje. Ta-
kie hasło może zrobić swoje.

Zwłaszcza kiedy do swoich skierowane.

Szukasz szczęścia – wstąp na chwilę!

Hasło kolektur loterii państwowych, lata międzywojenne XX wieku

Hasło niezwykle naiwne lub przewrotnie inteligentne. W ciągu chwili możesz zdobyć szczęście, wygrać fortunę. Albo: dzięki nam poczujesz się przez chwilę szczęśliwy, będziesz mógł pomyśleć przez jakiś czas o możliwej przyszłej wygranej.

Szczęścia szuka każdy, więc pierwsza część odnosi się do każdego. Wiemy, że szczęścia nie trzeba szukać daleko, wiemy, że jesteśmy kowalami własnego szczęścia, zwanego czasem losem. Ale wiemy też, że żeby być szczęśliwym, trzeba mieć trochę szczęścia

Tak to z tym naszym szczęściem jest.

Z jednej strony to coś poważnego, trwałego, dużego, podniosłego wręcz. Poczucie szczęścia czy szczęśliwości to rzadka, najcenniejsza chyba rzecz. Dlaczego tylko poczucie szczęścia? Toż to samo szczęście, bo to my, według naszego poczucia, możemy o swym szczęściu, czy jest, czy go nie ma, wyrokować.

Z drugiej strony szczęściem bywa nazywane coś niedużego, właściwie przypadkowego, chwilowego. „Miałem szczęście, że pana zastałem”. „Nie mam dziś szczęścia, spóźniłem się na pociąg”. Takich szczęść można mieć dziennie dziesiątki. I nie mieć też

Szukam szczęścia? Szukam, to jasne. Mam wolną chwilę? No, chwilę tak. To w końcu krótko. Niewiele tracę. Los jest też tani, a wy-

grać można fortunę. Fortuna za los – tak rozłożyły się tu znaczenia dwóch skądinąd podobnych słów. W sumie co mi szkodzi? Minimalna inwestycja. Takie zestawienie realnego małego z potencjalnym dużym często skutecznie namawia.

To hasło jest fonetycznie bardzo polskie. Już samo „szczęście” nieprzeciętnie polsko chrzęści, dorzucając jeszcze polską nosowość. Dodajemy do niego także szeleszczącą drugą pojedynczą i terazniejszą osobę czasownika „szukać”. W drugiej części naszego hasła o szczęściu mamy dwie bardzo spółgłoskowe i nosowe formy wyrazowe: „wstąp” i „chwilę”. Trudne do wypowiedzenia nie tylko przez cudzoziemców hasło może wskazywać na swojskość tego szczęścia, a w każdym razie na polskość loterii państwowej i jej ko-



lektur. Może się to przydać, bo w połączeniu „kolektura loteni” dźwięczy jakaś obca włoszczyzna.

Założenie w pytaniu, odpowiedź w rozkazniku. Ale „wstąp” to miły, zapraszający rozkaznik. Tak nam mówią przyjaciele, do których możemy właśnie niekoniecznie się z formalnymi wizytami wybierać, tylko na chwilę wstąpić. Już z tego czasownika „wstąpić” wiemy, że to powinna być chwila, no, chyba żeby się przeciągnęła... Ale to połączenie brzmi właśnie dlatego sympatycznie i swojsko. „No, zajrzyj do mnie! Wstąp chociaż na chwilę!”. Bardzo trudno odmówić takiemu zaproszeniu.

Przyjazna kolektura zaprasza. Dla samego zaproszenia już możesz zajrzeć. A cóż powiesz, jeśli jeszcze przydarzy się szczęście?

Śmierć frajerom!

Hasło potoczne, Jerzy Jurandot, lata trzydzieste XX wieku

Fragment wiersza stał się powiedzeniem, a nawet rodzajem hasła. Popularne stało się to haselko dopiero po wojnie. Powtarzane było prywatnie i publicznie, prywatnie często wprost wyrażało ocenę rzeczywistości i wybór postawy, publicznie było przypisywane przeciwnikom nowego i potępiane.

Potępiane było za cynizm. Istotnie, jest on tu w stanie niemal czystym. Niech sobie frajerzy umierają, od tego są frajerami. Mnie to w ogóle nie obchodzi, sami na to, jako frajerzy, sobie zasługują.

W XIX wieku „freier”, „frajer” to był ktoś wolny, potem, na początku ubiegłego wieku, w slangu złodziejskim nazywano tak młodego złodzieja, nienależącego do żadnego gangu. Później naturalną kolej rzeczy został wyeksponowany element niedoświadczenia i „frajer” stał się określeniem kogoś naiwnego, niezbyt rozgarniętego, źle poinformowanego, kogo łatwo nabrać. I razem z innymi wyrazami na „f”, takimi jak „facet”, „fajny”, „fucha”, „frajer” znalazł się na obrzeżach polszczyzny i, tak jak one, ani do jej salonów dostać się nie może, ani z niej zniknąć.

No, powie ktoś, żeby tylko tyle. Żeby w tym haselku była tylko obojętność na czyjś los. Ale tu jest coś więcej: to jest wręcz wzywanie

śmierci na Bogu ducha przecież winnych naiwniaków. Rzeczywiście, taka formuła ze śmiercią może przypominać groźne bojowe wezwania: „śmierć tyranom!”, „śmierć zdrajcom” i tym podobne. Ten mianownik z celownikiem jest używany do wywoływania wrogości daleko, nawet do zadawania śmierci, posuniętej.

„Śmierć frajerom!” jednak jakoś nie przypomina wezwań typu „śmierć tyranom”. Nie chodzi tu o to, by śmierć na nich sprowadzać. Chodzi o to, że ja nie jestem frajer. Że frajerzy giną, ja nie zginię. Bo ja nie głupi. Niegłupim.

Przeciwieństwem frajera jest cwaniak. „Cwaniak” jest szczwany (to Żeromski tak do cwaniaka to zwarszawszczył). On dużo wie, dużo umie. I najważniejsze, nie jest naiwny, nie da się oszukać ani przyłapać. I ja jestem taki cwaniak, co to się nie da. A frajerzy się dadzą. Dadzą się, bo są frajerami, i jak się dadzą, to frajerami się okazą.

Pewnie, że formuła trochę zbyt cwaniacka. Ze w porównaniu z cwaniakiem każdy może się poczuć zagrożony frajerstwem. Tym bardziej że frajerstwem może tu być niemal wszystko, także, a może przede wszystkim, cnoty: odwaga, bezinteresowność, idealizm. To, co może ściągnąć ryzyko. Oni coś robią? Frajerzy.

Haselko przy tym niegłupie. Cynizm bywa atrakcyjny. Naiwność łatwo nadaje się do wykpienia. Lapidarność i wyrazistość formuły sprzyja zapamiętaniu i identyfikacyjnemu powtarzaniu. Owszem, sporo zrobiono, żeby obrzydzić tego rodzaju postawy jak wyrażana w tym hasle. Ale nie zawsze robiono to bez niebezpiecznej naiwności.

A czasem wręcz frajersko.

Święta, święta i po świętach

Powiedzenie

Nie bardzo wiadomo, czemu służą takie stwierdzenia, takie okresowe westchnienia. Mówią tak o oczywistości w sposób tak oczywisty, że nie mogą być prostymi banałami. Coś w nich musi być, jakaś głębsza myśl. Bardziej zapewne skomplikowana niż ta kryjąca się w „jest jak jest”, „tak to już jest” i „bywa różnie”.

I ta myśl jest. Bo chodzi o tajemniczą rzecz, o czas. I o to, że najpierw coś jest, jest – a potem patrzymy, a tego nie ma. Najczęściej to coś, co jest w czasie. Ale czasem to sam czas. Na przykład czas świąteczny. Czas, na który się czeka dużo czasu. Potem się go doczeka, a jeszcze potem on mija. Im bardziej się najpierw czeka, tym przykrzejsze potem rozczarowanie mijaniem, a właściwie minięciem.

W tym powiedzeniu mamy powtórzenie nazwy czasu minionego. Może to sugerować subiektywną długość, może były to podwójne święta albo dwa dni świąteczne. Ale może to wyraz pewnej ironii, która potrzebna nam teraz do zestawiania tego, że oto do czegoś taką wagę przywiązywaliśmy, a tu ono wzięło i minęło. I już.

I już tego nie ma. A lepsze przecież to, co jest, choćby mniej wspaniałe, od tego, co bardzo, owszem, wspaniałe, ale nie jest. Nie ma go i już. Lepszy pies żywy niż lew umarły – mówi wschod-

ni poeta i trudno powiedzieć, że nie ma racji. No, o tyle nie ma racji, że ten, kogo nie ma, racji mieć nie może, a jego samego już przecież nie ma.

Nigdzie nie ma, tak jak wielu rzeczy, a najbardziej może niegdysiejszych śniegów.

Mówimy tak o świętach po tych świętach, ale często wcześniej, przed tym, zanim będzie po. Tuz przed tym, ale bywa, że nie czekamy do tego „tuż”. Uprzedzamy tak fakty, z lekką goryczą, ale z wywyższością świadomości. Można zaobserwować swoiste wyścigi: kto pierwszy tak powie. Będzie mądrzejszy, pokazując, że te święta, na które tak czekaliśmy, już przechodzą i tak, jakby właściwie już przeszły. Już prawie po.

Jutro trzeba do pracy, a wiemy, że to jutro jest jutrem tylko dzisiaj, tylko dziś funkcjonuje jako jutro i, w roli jutra, nastraja nas na to, co zaraz będzie. A my żyjemy nie tym, co jest, tylko patrzymy trochę do przodu. Niby pamiętamy, że dzień dość ma swojej biedy i nie powinniśmy patrzeć tak bardzo w przyszłość, ale patrzymy. I widzimy, jak się święta kończą. Właściwie można powiedzieć, że już się skończyły.

Jak tak wnioskować, to wszystko, co trwa, a nie jest wieczne, w swoim trwaniu dialektycznie zawiera własne przemijanie. I, konsekwentnie, może najbardziej jest to, co jeszcze nie jest, bo w swoim jeszcze niezaistnieniu ma pierwiastki istnienia. I zaraz będzie. Przed świętami, przed świętami i już święta.

Tak trzymać

Komenda żeglarska, okres międzywojenny XX wieku

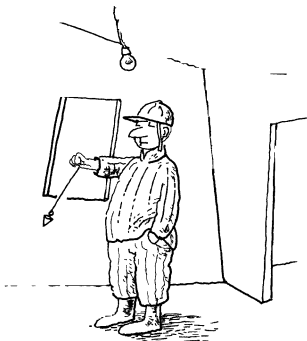
Czyli utrzymywać kurs, przez równe utrzymywanie liny od zagła. Choć właściwie można wtedy tę linę zaknagować, czyli zablokować, i trzymać nie trzeba. Chyba żeby zaraz potem trzeba było zmieniać i znowu tak trzymać, i znowu. Ale co to wtedy za „tak trzymanie”?

Ta żeglarska komenda już w pierwszej połowie przeszłego wieku zaczęła być stosowana na lądzie. I oznaczać nadal, teraz jednak metaforycznie już rzecz ujmując, trzymanie, utrzymywanie kursu, czyli trwanie przy robieniu tego, co się robi. Róbcie tak dalej, trzymajcie kurs, tak trzymać!

To nie tylko komenda, nie tylko zachęta, to także, a może głównie, aprobata. Dobrze robicie to, co robicie. Jak tak nadal będziecie robić, co robicie, to dobrze zrobicie, bo będziecie dobrze robić. Krótko mówiąc, bo nie czas tu na próżne gadanie: tak trzymać.

Komendy przechodzą czasem do języka ogólnego, przenosząc tam swoje właściwe cechy: lapidarność, twardość, pewność. Redukcja do jednego słowa, góra dwóch, jest możliwa w sytuacji jednoznacznej, pożądana w ekstremalnej i wymagającej pośpiechu. Albo w takiej, która odwołuje się do tych cech. Kiedy trzeba szybko, mocno i zdecydowanie lub kiedy chcemy, żeby to tak właśnie brzmiało

Tu redukuje się do trzymania, i to w pobudzającym, rozkazującym bezokoliczniku, i do krótkiego, pozytywnego „tak”. Trzymanie już przy kierunku jest metaforyczne, trzymamy kierunek inaczej przecież niż coś w ręku – ale w komendzie może to też odniesienie do nieprzenośnego już trzymania liny. W użyciu cywilnym, przy tej pochwie wzywającej do kontynuacji, czynność trzymania jest w pełni przenośnią. Trzeba dodać, że ciekawie pokazującą naszą kontrolę nad działaniami, a pośrednio nad rzeczywistością. Trzymamy w garści to, o czym mowa, rządymy tym. Ktoś, kto trzyma, *qui tenet*, posiada. To, co trzyma, jest jego.



„Tak trzymać” bywało używane przez zwierzchników, instancje kontrolne i sprawdzające, przez tych, którzy opinie wyrażali i na których opinię zależało opiniowanym. W pracy, także społecznej, także partyjnej, było pochwałą o cechach komendy: zdecydowaną, kategoryczną, pewną. Dobrze było ją usłyszeć.

Dziś słyszymy ją, jak się zdaje, nieco rzadziej. Może metafora się wytarła, bo i o kursach w tym znaczeniu jakby ciszej. Ale może to dlatego, że zmieniły się relacje między ludźmi. Intuicyjnie można wiązać to wzywanie do trzymania z formą drugiej osoby liczby mnogiej. Gdyby ten bezokolicznik zastąpić formą osobową, byłoby to raczej „tak trzymajcie” niż „tak trzymaj” czy „niech pan tak trzyma”. Dobrze było to usłyszeć, ale pod warunkiem akceptowania takiego właśnie układu.

Dziś trzymamy trochę inaczej.

Teraz Polska

Hasło reklamowe, Wiktor Zborowski, 1992

To było promocyjne hasło polskich wyrobów na Światowej Wystawie w Sewilli. Do tego był dołączony świetny symbol: polskie barwy w kwadracie. Akcja „Teraz Polska” trwała potem bardzo długo i polegała na przyznawaniu tego znaku produktom dla wyróżnienia ich wysokiej jakości.

„Teraz” to czas wyróżniony. Określa styk przeszłości z przyszłością. Niektórzy zatem posuwają się do tego, żeby uważać, że nie ma żadnego teraz. Inni, przeciwnie, tylko temu teraz skłonni są przypisać jakiś rodzaj bytu. Spośród nich niektórzy sądzą, że to teraz nie tylko istnieje, lecz wręcz istnieje zawsze. Teraz jest zawsze. Zawsze jest teraz. Coś w tym oczywiście jest, i ilekroć się nad tym zastanawiam, tylekroć spostrzegam, że właśnie jest teraz. Ci, którzy czekają na jutro, nie mogą być zbyt dosłowni, bo inaczej się go nie doczekają, każdemu kolejnemu dniu przypisując słusznie określenie „dzisiaj”. Na tym polegała przewrotność hasła. „dzisiaj za pieniądze, jutro za darmo”.

Ale „teraz” to nie tylko banalne określenie czasu, tego mianowicie, w którym właśnie ten czas się tak określa. Bywa też wezwaniem do zrobienia czegoś – teraz, już, zaraz, natychmiast, w tej chwili. Jak i nazwaniem czasu, który właśnie nastał, po dłuższym czasie, w którym nie było tego, co jest teraz.

Takie „teraz” to wyznaczona pora. Pora na to i to. Na start. Na podjęcie decyzji. Na rzucenie wyzwania. I na to, żeby wreszcie coś się zaczęło. Na jakiś początek. A ponieważ, jak wiemy, początek zawsze się zbiega z jakimś końcem czegoś innego, to i na koniec. Eklezjasta uważał, a my, nie śmiejąc mu przeczyć, za nim, że wszystko ma swoją porę – rzecz w tym, by ją odnaleźć i właściwie przypisać.

A teraz – Polska. Przedtem różni inni, teraz wreszcie przyszła pora na Polskę, na nas – Polaków i na to, co polskie. Długo czekaliśmy, aleśmy się doczekali i mamy. Teraz Polska.

Takie hasło, wezwanie, wskazanie, jest bardzo mocne mocą chwili. To jest ta właśnie, jedyna, wyznaczona chwila i teraz to ogłaszam. Gorzej, jeśli z jakichś powodów coś z tą chwilą jest nie tak. Jeśli na przykład ludzie nie zauważą, że to właśnie teraz. Albo i zauważą, ale nie docenią. Albo w tym samym teraz jeszcze coś innego będzie i to nasze się zdewaluuje. Wtedy niestety przepadło. Chwila jest mocna, ale jeśli minie, już jej nie będzie i trudno będzie drugie takie teraz znaleźć. A przecież wiemy dobrze, że to jest tylko umowne i zależy od tego, jak to ogłosimy.

Ze teraz.

W przypadku Polski zresztą, jak zdaje się założyliśmy, na początku ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku tylko zaczęło się to polskie teraz. To był jego początek. A teraz to teraz trwa i trwa, i wcale się nie musi kończyć.

I dlaczego w ogóle ma się kończyć, jeśli to teraz?

Tfu, na psa urok!

Zakłęcie

Najpierw splunięcie – powinno być przez lewe ramię – dla odczynienia uroku. A ponieważ ten urok nie miałby się gdzie podziać, sugerujemy, żeby z nas przeniósł się na psa. Tuwim w swoich językowych konceptach miał i takie określenie dla psa: „pies, pełen uroków”.

Nie można być pełnym uroków, ale można i chciałoby się być pełnym uroku, jednego. Bywają tacy ludzie, pełni uroku, wszystko takie może być. Miejsca na przykład. Taki urok to coś pięknego. Ścisłej. uroczego. To, co nas urzeka, tak, że jesteśmy urzeczeni. Czasem nawet: zauroczeni. Jesteśmy pod urokiem, czyli wrażeniem, czyli wrażenie jest nad nami. Ono dominuje w oglądzie tego, co urocze. Czasami tak bardzo, że chcemy posłużyć się nawet pretensjonalnym natrętem językowym, nazywając to, co urok ma, urokliwym.

Ale na psa zrzucamy inny urok. Taki, który jest rzucany. I nikt nie chce, żeby to właśnie na niego był rzucony. Ten urok to negatywne zakłęcie, sprawienie, że będzie komuś z tym urokiem gorzej niż bez niego. Duzo gorzej. Że krowa nie da mleka, że kołtun się na głowie zakołtuni, że przypadłość przykra dosięgnie. I zdarza się nam skarżyć na los, który obdarowuje nas urokami, że kiedy nawet akurat z powodu uroku nie cierpimy, to dopada nas nieprzyjemna dolegliwość żołądkowa. Jak nie urok, to ..

Różne są uroki. Pamiętam dawne szkolne zadziwienie z lekcji języka rosyjskiego, że ona właśnie, ta lekcja, taka trywialna i mało urocza, nazywa się właśnie „urok”, pisane wprowadzie też zadziwiająco, mia-
nowicie jako *ypok*, ale tak uroczo czytane. Dziwność totalna.

A to wszystko stare i uzasadnione. Urok, choć tego nie widać od ra-
zu, ma wiele wspólnego z mówieniem, podobnie jak wyrok, a i rok
także. To ta sama rodzina, co rzecz, która, trzeba rzec, dawniej
również była tym, co się mówi. I „rzec” też tu oczywiście należy.
Wyrok to to, co wyrzeczone, urok zaś był czymś urzeczonym, czyli
umówionym, czyli umową, postanowieniem, terminem, który miał
obowiązywać, daniną ustaloną, karą wreszcie za niedotrzymanie
I rosyjska lekcja stąd się wzięła, i magiczna formuła, która przez
wypowiedzenie, czyli wyrzeczenie, mogła i miała zaszkodzić. Takie
wyrzeczenie ma tyle wspólnego z dzisiejszymi samoograniczenia-
mi, czyli wyrzeczeniami, co odnoszące się do mówienia wymówie-
nie czy związane z powiedzeniem wypowiedzenie – z rozwiązywa-
niem stosunku pracy.

A pies? A na kogo niby mamy zwalić ten cały niepoządany urok, jak
nie na najbliższego naszego i wiernego aż do frazeologicznego po-
równania przyjaciela? Kiedyś krążyły wśród nas kozły, których ofiar-
ność ratowała nas przed ponoszeniem odpowiedzialności, blisko
nas były konie, których wielkie łby sprawiały, że my się już nie mu-
sieliśmy martwić.

Dziś został obok nas pies, który chętnie przyjmie wszystkie uroki,
które, tfu tfu, na niego zrzucimy.

Trzymaj się!

Formuła pożegnania

„Trzymanie” odnieść można do wielu relacji, raczej korzystnych dla tego, co trzyma. Posiadania („trzymał dwie wioski”), władania („trzymał ich krótko”), niewypuszczania z uchwytu („trzymał wiosło”), zachowywania objawów („trzymał fason”), a nawet uważania, czyli utrzymywania sądu („trzymał, że tak właśnie było”). Niektóre trzymania już są archaizmami, ale jeszcze się trzymają.

A „trzymać się” można głównie wtedy, gdy zmiany, już możliwe i oczekiwane, jakoś nie naruszają trzymającego się. „Jak on się trzyma!”. Takie spontaniczne okrzyki są wyrazem podziwu. Ale nie wiem, czy bym się cieszył, gdyby ktoś na mój widok wykrzyknął: „jak pan się trzyma!”, nawet gdybym widział czy słyszał w tym szczery podziw. Byłoby to dla mnie jednak przede wszystkim wskazanie, że mój względnie czerstwy wygląd może być dla kogoś zdumiewający. I może on uważać, że powinienem wyglądać gorzej, nie trzymać się tak. Znaczący wiek mój już bardzo sędziwy. Wiem o tym, ale przypominanie o tym mnie nie cieszy. Większy smutek z przesłanki niż radość z jej fałszu.

Na szczęście nikt tak do mnie nie mówi. Mam nadzieję, że to albo dlatego, że otaczają mnie dobrze wychowani ludzie, albo dzięki mojemu nie nazbyt jeszcze podeszłemu wiekowi. Najgorsza ewen-

tualność, którą jednak trzeba wziąć po uwagę, to że to przez to, że się wcale nie trzymam i że mój wygląd i sprawność potwierdzają, niestety, wiek, uważany przez coraz większą liczbę moich rozmówców za bardzo dojrzały.

W tym bezpośrednim życzeniu trzymania się chodzi oczywiście i o to, by ząb czasu nie naruszał nas tak, jak powinien, tylko mniej lub wcale, ale nie tylko o to. Przecież zwraca się tak do siebie młódziez, w ogóle nie wyobrazająca sobie wpływu czasu na siebie. Bardziej tu słysząc, zdaje się, względ na swoistą integralność interlokutora. Ma się on trzymać w całości i, na przykład, nie pękać, czego zresztą też mu czasem zyczą. Ewentualnie ma się trzymać tego, czego do tej pory się trzymał, choćby metaforycznej ściany, i nie puszczać, nie odpuszczać. Słowem – ma się nie zmieniać, zwłaszcza nie zmieniać pod wpływem słabości, gdy to okoliczności mogą się okazać silniejsze od niego. Ma się im nie dać. W ogóle ma się nie dać. Ma być lepszy. Tak wołają kibice, kibicując. „Trzymaj się, Bogdan!“. Albo sam Bogdan do siebie, nie chcąc się dać temu, co go jakoś tam chce wziąć. Tak śpiewał do siebie Bogdan Łazuka.

Nie zawsze jest w tym zawołaniu czyste trzymanie się, czasem pojawia się jakieś dodatkowe określenie. Najczęściej słysząc życzenia trzymania się ciepło, co ogólnie powinno raczej oznaczać sprzyjające okoliczności niż celowe działania. Ale nie powinno nas to dziwić.

Bo też w istocie takie życzenia w małym stopniu odnoszą się do naszego wpływania na świat, choćby na nasze własne losy. To nie my decydujemy, czy się trzymamy.

Może na szczęście.

Trzy razy tak

Hasło Bloku Demokratycznego przed referendum, 1946

Trzy jest magiczne. Święta Trójca. *Omne trinum perfectum. Boh trojcu lubi. Einmal ist keinmal, dreimal ist einmal.* Do trzech razy sztuka. I tak dalej. Powtarzamy różne formuły, w tym zwłaszcza zaklęcia, właśnie po trzykroć, w triady układamy argumenty i wartości, żeby przekonać – także przez wzbudzenie przekonania albo nieuświadomionego poczucia – że co trzy, to trzy. To poważna sprawa, nie żadne tam trzy po trzy. Trzech było królów, ślepców, muszkieterów i budrysów.

Tu chodziło o poparcie społeczne dla jednoizbowego parlamentu, dla reformy rolnej i jej konsekwencji, a także dla nowych powojennych granic. Referendum, którego oficjalne wyniki pokrywały się z tym hasłem, uznano za wiążące. Ogłoszono triumfalnie porażkę jedynej partii, ludowej, która reprezentowała taką prawicę, jaką jeszcze można było wtedy reprezentować, i jawnie wzywała do jednego „nie”, czyli była przeciw likwidacji senatu. Ciekawe, że dziś znaczna część prawicy znów chce senat znosić.

Hasło lapidarne, mocne. I dawało się zapisać nie tylko literami. Dobrze wiadomo, że napisy zawierające inne znaki, poza systemem alfabetycznym danego języka, bardziej zwracają uwagę i mogą być bardziej sugestywne – choćby przez to, że odbiorca odrobinę inwe-

stuje w ich zdekodowanie. Takie piktogramy pojawiają się często w napisach angielskich, a i u nas na przykład zaproszenie na piwo z użyciem greckiej litery nazywającej niewymierną liczbę może być lepiej przyjęte.

„Trzy razy tak” zapisywane więc było jako „trzy x tak”, a nawet „3 x tak”, co w literowym wymiarze pozostawiało jedynie wyraz afirmacji. Rozszerzano też to hasło o patriotyczny rym: „Polaka znak – 3 x tak!”, a ten liczbowo-literowy zapis ułatwiał nazwanie całego wyjściowego hasła znakiem.

„Tak” mówi się niemal równie łatwo jak „nie”. Pytania można formułować, oczekując określonej odpowiedzi, a nawet ją prowoku-



jąc, na różne sposoby. Najprościej zapytać „czy jesteś za senatem?”. Odpowiedź powinna być: „nie”. Ale po pierwsze: oczywiście najprościej będzie, jeśli na trzy pytania sugerować będziemy tę samą odpowiedź. Po drugie: lepiej, gdy będzie to odpowiedź pozytywna. Zmęczone powojenne społeczeństwo łatwiej się wypowie na „tak” niż na „nie”. „Nie” mogą za to łatwiej krzyczeć ci, którzy protestują, których chcemy porwać do walki.

Można zapytać: „czy jesteś za likwidacją senatu?”. Odpowiedź powinna być: „tak”... Ale likwidacja, zniesienie – to nie taka łatwa do akceptacji rzecz. Więc: „czy jesteś za jednoizbowym parlamentem?”. Wprawdzie nie bardzo wiadomo, co to takiego, ten jednoizbowy parlament, ale tak najłatwiej uzyskać byłoby „tak”. Pytania były przygotowane z troską.

Ale i tak trzeba było zmienić urny.

Tylko krowa nie zmienia poglądów

Przysłowie, Stefan Kisielewski, lata sześćdziesiąte XX wieku

To jedno z nielicznych przysłów współczesnych (no, względnie współczesnych), które się dobrze przyjęło i jest powszechnie powtarzane. Bo i przydatne jest niezwykle.

To jedna z wygodnych naszych klisz językowych, usprawiedliwiających przywary. Inne to: „Nie ja jeden”, „Nikt nie jest doskonały”, „Człowiek jest tylko człowiekiem”, „Kazdemu się może zdarzyć”. Ale o ile tamte wskazują na słabość ludzkiej natury i na związaną z tym potrzebę wyrozumiałości, o tyle to krowie przysłowie zdaje się czynić z tego, co może być przedmiotem słusznych zarzutów, coś w rodzaju poświadczenia inteligencji. Ludzkiej inteligencji, w zestawieniu ze zwierzęcym prymitywizmem, tępotą, objawiającą się brakiem chęci zmiany.

Jako reprezentantka zwierząt wybrana została krowa, zwierzę bliskie człowiekowi i przyjazne, ale niecharakteryzujące się, przynajmniej według zwierzęcych stereotypów, błyskotliwością. Krowa jest ciężka, nieruchawa, nie bryka, nie postrzegamy jej żądy poznawczej. Nawet jako cielę jest głupia. Mężczyźni muszą być bardzo chamscy i zdenerwowani, by kobiety do krów przyrównywać.

Przysłowie mówi, że tylko krowa poglądów nie zmienia, dopuszczając tym samym tę zmienność w przypadku innych zwierząt – za-

pewne dla ich większej niż krowia bystrości. Tylko krowa może być taka, że poglądów nie zmienia.

No, że tylko ona, to pewnie przesada. A czy rzeczywiście nie zmienia? Literalnie rzecz biorąc, z pewnością, bo, żeby zmieniać, trzeba je wprzód mieć. A krowy zapewne w jej krowiości na poglądy nie stać. My, ludzie, poglądy mamy i, jako żeśmy nie krowy, możemy je zmieniać. A jak tak powiemy, jesteśmy usprawiedliwieni. I postulat konsekwencji, który tak wyraźnie stawiamy innym, sami wobec siebie możemy odrzucić.

Podobnie, nawiasem mówiąc, jest z błędami. Popętniliśmy błąd? Błądzić ludzka rzecz. *Errare humanum est*. To by już wystarczyło, ale dla pewności dodajemy jeszcze: „ten tylko nie popełnia błędów, kto nic nie robi”. No tak, ale czy samo robienie jest wartością, czy raczej dobre robienie?

Owszem, zmienność poglądów da się wytłumaczyć. Niekonsekwencja nie jest przy tym łatwa do wyznania. Skłonni nieraz jesteśmy podtrzymywać głośno zdania, z którymi się nie zgadzamy, by się nie narazić na jej zarzut. Dobrze więc, że istnieje taka krowa, która jest nam pomocna wtedy, gdy już zdobyliśmy się na odwagę i przyznaliśmy, że to, co teraz myślimy, jest, tak właśnie! – różne od tego, co myśleliśmy wcześniej.

Tyle tylko że nie powinniśmy się spodziewać premii za samą taką odwagę i niedobrze byłoby, gdyby ta chęć bycia niekrową i udowodnienia odwagi przyznawania się do zmian poglądów nas do tych zmian zachęcała.

Tylko mleczna margaryna zrobi z ciebie Gagarina

Hasło reklamowe, lata sześćdziesiąte XX wieku

Brzmi to jak żart, i do pewnego stopnia żartem było. Ale to nie przeszkadzało, że mogło jednocześnie funkcjonować jak rzeczywisty slogan reklamowy. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku reklama radiowa sprowadzała się do nadawanego niezbyt często „Kabareciku reklamowego”, który gromadził wielu dowcipnych satyryków, świetnych muzyków i znakomitych piosenkarzy i aktorów. Reklama była właściwie pozorna, zachęcano nas do jedzenia dorszy, mycia zębów, oszczędzania w PKO, ubezpieczania się w PZU i używania margaryny. Ale dawało to szanse robienia tego pół-, a nawet całym żartem, w niezłej artystycznej formie i ku zabawie wielu. Z poczuciem absurdu, groteski, ale także z rzeczywistym zachęcaniem.

Nie pamiętam, czy slogan o margarynie mieścił się w programie tego świetnego i wyczekiwanego nie tylko przeze mnie kabareciku. Ale dobrze do niego pasował. Nie da się ukryć, że zmarnowanie tak świetnego pełnego rymu jak „margaryna” – „Gagarina” byłoby karygodne. Jurij Gagarin, bohater serio mojej i nie tylko mojej młodości, pierwszy kosmonauta, uwielbiany przez cały świat, otaczany był do tego kultem zbyt oficjalnym, żeby nie mieć pokusy zażartowania zeń. Jako idol dobrze też mógł zafunkcjonować w reklamie.

A reklama tak właśnie, po prostu, działała. Pokazywała ideały, do których konsument aspirował. Zresztą, czy dziś tak nie działa? Przecież pełno jest współczesnych idoli w nie bardziej intelektualnie rozbudowanych reklamowych komunikatach.

Wiadomo było, że nie tylko „nie tylko” margaryna, ale i że margaryna też nie. Ale tak przecież argumentują troskliwe mamy, pasąc dziecko jedzonkiem. „Jedz, będziesz jak ktoś tam”. A kto mógłby wtedy być bardziej takim właśnie kimś tam, jak Jurij Gagarin?

Margarynę reklamowano wtedy niezwykle aktywnie, by nie powiedzieć nachalnie. Były jej dwa rodzaje: mleczna, zwykła, krusząca się i „Palma”, bardzo delikatesowa. Jeden z reklamowych sloganów głosił po prostu, dziwnie nawiązując do ogólnej idei erzaców, „margaryna jak masło”. Był, owszem, nieuczciwy, bo wcale nie tak samo, ale też i jakoś dziwnie uczciwy, bo przecież nawiązywał wprost do tego, o co chodziło: żeby zastąpić margaryną masło. A zastąpimy, jeśli uznamy, że się tak bardzo nie różnią. Ze margaryna jest bardzo do masła podobna, że jest właściwie taka jak masło. To było hasło skromne i bardzo je lubiłem, choć niektórym wskazywało zbyt wyraźnie na (jednak!) wyższość masła, skoro kierunek porównywania był taki właśnie.

Inne reklamy pokazywały oczywiście wyższość margaryny. Jej rośliność, brak cholesterolu, nowoczesność ogólną, łatwiejszą przyswajalność, wreszcie, przewrotnie, jej nieporównany smak. Było to rzecz jasna naciągane.

Ale czy dzisiaj, gdy kupując kolejną odmianę margaryny, nie dowiadujemy się, że to przecież margaryna, jest uczciwiej?

Tysiąc szkół na tysiąclecie

Hasło propagujące budowę szkół, 1958

Nie wiadomo było dokładnie, kiedy Polska skończy pierwsze tysiąc lat jako państwo, ale wypadło to na lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku, zatem już pod koniec pięćdziesiątych trzeba się było do tego przygotowywać. Dziesięciolecie – wiadomo, dwudziestego drugiego lipca 1954, dwudziesto- i trzydziestolecie też. Potem się trochę poplątało. Na dziesięciolecie dostaliśmy stadion, teraz Jarmark Europa. Obchody dwudziestopięciolecia pamiętam jako huczne, ze śpiewogrami srebrne wesele.

Tysiąc lat to sporo, ważna data. Najprościej byłoby z chrztem to związać, wiadomo, 966. Ale w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, osobliwie za czasów Władysława Gomułki, dobrze było mieć jakąś datę alternatywną, najlepiej wcześniejszą, żeby zaznaczyć państwowość niezależnie od chrześcijaństwa. Postanowiono, że pierwszy tysiąc zaczął się od początków Mieszka i od pierwszych wzmianek o Polsce – około 960 roku.

Idea ze szkołami była szczytna i słuszną. I powstawały szkoły, zwane „tysiąclatkami” – nie wiem, czy było ich tysiąc, ale dużo. Oczywiście nowych, bo w końcu ileż to jest tysiąc szkół?

Symboliczna wymowa liczb działa na nas silnie i od dawna. Kończymy swoje kolejne dziesięciolecia, uważając je za jakieś etapy

w życiu. Pewnie, jakimiś etapami są, choćby dlatego, że wiążą się z nazwami. „Dwudziestolatki, to ja i ty” śpiewał jakieś czterdzieści lat temu popularny piosenkarz. „W trzydziстым życia mego lecie...”, pisał jubileuszowo „ni żrzały mąż, ni puste dziecię” – Villon. Kultowemu Czterdziestolatkowi z połowy lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku lata minęły jak jeden dzień. I tak dalej. I każdym takim okrągłym „latkiem” można się czuć długo, z dziesięć lat. Piśzę to jako wciąż, choć bardzo dojrzały, pięćdziesięciolatek. „Sto lat, sto lat” śpiewają nam bliscy, ograniczając coraz bardziej nasze życiowe apetyty.

A tu – tysiąc. My, zdemoralizowani ludzie przełomu tysiącleci, jesteśmy z tą perspektywą bardziej dziś otrząskani, wtedy tysiąc było raczej magiczne niż realne. Symboliczne. A jeśli miało się możliwość podpięcia pod to historii państwowości, to silnie dowartościowywało – także obecnie, czyli ówczynie istniejącą demokratyczno-ludową państwowość.



Tysiąc to pierwsza liczba w pełni rzeczownikowa. Owszem, możemy mieć dziesiątki i setki, ale zawsze najpierw jest to liczebnikowe „dziesięć” i odrzeczownikowione już „sto”. A tysiąc, jak miesiąc. I myślimy przez to o nim jako o dobrej, pełnej całości. Takiej całości, że wymaga normalnej nazwy, jak jakaś rzecz, tu wielka. Pierwszy, cały, pełny tysiąc. Bardzo męski rzeczownik.

Dobrze jest, jak w haśle coś pasuje do siebie. Tutaj tysiące aż się proszą, by je połączyć. I nie trzeba dodawać, że zbudujemy, że będziemy mieli, że powstaną. Tysiąc na tysiąc.

Czterdzieści lat temu. A nawet więcej. Jak jeden dzień.

Uwaga, zły pies

Napis ostrzegawczy

Jeśli kogoś ostrzegamy, zazwyczaj życzymy mu dobrze. Nie chcemy, by mu się coś złego przydarzyło. „Uważaj na siebie” – to słowa troskliwych matek.

„Uwaga” jest bardziej bezosobowa, odnosi się często do kogoś, kogo nie znamy, a kto może wpaść w tarapaty, bo czegoś nie wie. Nie wie o wysokim napięciu, o robotach na górze, o głębokich wykopach. Moze go złapać prąd, uderzyć cegła, moze wpaść. Lepiej, żeby uważał.

Moze go też pogryźć pies. Tak się składa, że znamy tego psa, wiemy, że jest zły, że gryzie. Mało tego, on po to jest, żeby gryźć. Żeby był zły. To my tego przecież chcemy.

Co, oczywiście, czyni całą tę sytuację nieco – powiedzmy – paradoksalną. Z jednej strony chcemy, żeby pies był zły i gryź (to chyba nieprzypadkowe podobieństwo słów), kogo trzeba, z drugiej strony ostrzegamy tego właśnie, kto miałby być pogryziony, przed naszym psem i nazywamy tego psa złym, co przecież różnie może być rozumiane, zwłaszcza niekorzystnie dla psa, naszego w końcu. Zresztą nie tylko z psami tak bywa, że są złe (czyli, powiedzmy, dysfunkcyjne), gdy są dobre (czyli, dajmy na to, pocziwe), a dobre, gdy złe.

A to wchodzenie w szczególne porozumienie z potencjalną ofiarą naszego psa bierze się rzecz prosta stąd, że chodzi nam nie o samo pogryzienie, tylko o udaremnienie niecnych planów tej jak na razie zaledwie potencjalnej ofiary. Uważaj, bój się, zrezygnuj. Pies potrzebny nam jest jako strach, który ma wzbudzać. A jak się kto go nie boi, nakłonimy go do strachu. A jeśli zapowiedź tego, co powinno wzbudzać strach, zostanie sformalizowana formalną formułą, może być bardziej wiarygodna.

W odkopanych ruinach Pompei znaleziono napis, zapewne częsty na rzymskich domach: *cave canem* – strzeż się psa. Nie było tam o tym, że on zły, sam pies jako pies powinien trwogę wzbudzać.

Nasz, dla pewności, jest zły. Nie wiadomo, czy okazjonalnie tylko rozżłoszczony, czy permanentnie agresywny, ale raczej to drugie, bo ostrzeżenie ma charakter trwały. Czasem wzmacnia się lęk rabusia przysłówkiem „bardzo”, ale nie wiem, czy to jest istotnie skuteczne. Kto wie zresztą, czy zostawienie psa bez przydawki nie wywołałoby silniejszego efektu? „Uwaga, pies”. A jaki, sam się domyśl. Lakoniczni Rzymianie pewnie mieli rację.

A może psa pozbawić także „uwagi”? Jak działałby sam „pies” jako napis? Byłoby wtedy może mniej obłudy, ostrzegania kogoś, komu ze względu na jego zamiary, a pewnie i charakter, nie życzymy w końcu najlepiej? No nie, pies bez uwagi nie tłumaczyłby się jednak dobrze, a gdyby się tłumaczył, to byłoby tak, jak z uwagą, z ostrzeżeniem.

Najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli napisać: „nie okradaj mnie”, „nie rabuj”, „nie wchodź, jeśli masz złe zamiary”.

Ale to by chyba prowokowało. A może i nie.

Wicie, rozumiecie

Ironiczne powiedzenie, odnotował Andrzej Mularczyk, 1956

Tak postrzegano drugi język władzy w PRL-u. Pierwszy był oficjalny, dęty i drętwy, pełen sloganów i szablonu. Drugi – trochę szemrany, miejscami knajacki, przy tym pełen niedomówień. I wskazujący na brak kindersztuby.

Ten pierwszy język był wielokrotnie opisywany. Drugi – tylko wyśmiewany. W istocie zresztą nie tyle o odmianę języka tu chodzi, to nie było nic specyficznego. Chodzi o typ komunikacji. Obecny nie tylko w PRL-u.

To komunikacja ludzi, którzy coś załatwiają, coś mogą załatwić. Którzy mają władzę, ale się trochę krępują z nią obnosić. To może jakiś ślad przyzwrotności: brak chęci jawnego mówienia o tym, co nie jest tego godne.

Wicie, są pewne sprawy. Określone sprawy. Jest trochę zaszłości, a przy tym, rozumiecie, taki układ. Nie muszę wam mówić, na czym rzecz polega. Sami sobie zdajecie z tego sprawę. To ja wam nie muszę jej zdawać.

Kiedy się nie znamy, kiedy nie wiemy, czy się możemy porozumieć, musimy mówić pełnym tekstem. Jak to się mówi. otwartym tekstem. Kto, co, kiedy, gdzie, dlaczego. Tak a tak.

A jak się znamy, możemy liczyć na zrozumienie, wystarczy sprawę za-

sygnalizować. Można powiedzieć: „wiecie, tak a tak. .”. I liczyć, że już wiecie. Czasem wystarczy powiedzieć, że wiecie, żebyście wiedzieli. Wiedzieć to jedna sprawa, rozumieć – druga. Czasem wiedzieć nie wystarczy, trzeba i rozumieć. Nawet ważniejsze, żeby zrozumieć. Jak zrozumiecie, to i wiedzieć nie musicie. Sami rozumiecie.

My, którzy wiemy i rozumiemy, wiemy, że się rozumiemy. Wystarczy tylko mały sygnał, sygnał wspólnego rozumienia, porozumienia, żeby od razu porozumienie stało się faktem. Wiedza też, to rozumiałe.

Ważne, że chcecie wiedzieć i rozumieć. Że chcecie też, zebym ja wiedział, że wiecie i rozumiecie, a także, że chcecie wiedzieć i rozumieć. Sami wiecie, co wiedzieć i rozumieć. Rozumiecie, o czym mówię.

Jezeli do was mówię przez „wy”, to sami wiecie, że się to wiąże, rozumiecie, że szczególną, wiecie, relacją. Na „pan” nie jesteśmy, to wynika poniekąd z systemu, nie jest też tak, zebyśmy sobie „ty” mówili. Rozumiecie.

A jak mówimy nie „wiecie”, tylko „wicie”, i nie „rozumiecie”, tylko „rozumicie”, to świadczy o tym, że rozumiemy się naprawdę dobrze. Ze już nic zupełnie nie trzeba dodawać, co to jest to, co wicie i rozumiecie.

To powiedzenie było rzecz jasna żartobliwe, ale ilustrowało coś groźnego. Zresztą można było sądzić, że pojawiało się ono i w pierwszym odniesieniu, serio. Ze tak mówili ci, co wiedzieli, do tych, co mieli rozumieć.

Wspólnota wiedzy i porozumienie to społeczne skarby. Wspaniale jest wspólnie wiedzieć i rozumieć. Tak rozumieć, że samo rozumienie wystarczy, nawet nie trzeba wiedzieć, co się rozumie.

Ma się rozumieć, tylko dla tych, co to wicie i rozumiecie.

Wisła pany

Hasło kibiców sportowych, lata międzywojenne XX wieku

— Zaraz, a dlaczego Wisła, a nie Cracovia? — Dobrze, proszę bardzo, może być „Cracovia pany!”. — A Wisła? — „Wisła dziady!”. A jak Wisła są pany, to oczywiście Cracovia są dziady.

I tak na zmianę. Jak jedni „pany”, to drudzy „dziady”, w tej właśnie mało męskoosobowej formie. Co ciekawe, takie „dziady” są bardziej dziadami niż „dziadowie”, są bardziej dziadowskie (nie „dziadowscy”). Można by się spodziewać, że to tylko dlatego, że tak w ogóle działa forma niemęskoosobowa. „Te łobuzy”, „te chłopcy”. Ze to taka kategoryczna pejoratywizacja. No, ogólnie pewnie tak, tylko jak tu wytłumaczyć, że „pany” są bardziej pańskie niż „panowie”? „Panowie” to, owszem, i wielcy panowie też, ale także, nawet chyba przede wszystkim, taka zwykła forma grzecznościowa. „Proszę panów, niech panowie siadają”.

A „pany” to pany. I bardzo pańskie. I nie muszą wcale być „pańscy”, pańskość pańskich panów widać lepiej, gdy to „pańskie pany”, nie zaś „pańscy panowie”.

„Pany” to ci, którzy wygrali. Wisła i Cracovia, dwa prastare polskie kluby piłki nożnej, walczą tak już bez mała sto lat. Mają takie nawet specjalne zimowe, noworoczne spotkania. Ten typ rywalizacji postrzegany jest z trybun innych klubów jako wzorcowy, a w każ-

dym razie nie kojarzy się z brutalnością walk kibicowskich, czego nie można powiedzieć o innych, także tych mniej derbowych spotkaniach piłkarskich.

Co było najpierw? Trudno powiedzieć. Kibic Cracovii zapewnia mnie kompetentnie, że najpierw było „Cracovia pany!”, a „Wisła pany!” dopiero znacznie później. Uwierzyłbym mu jednak o wiele łatwiej, gdyby był kibicem Wisły.

Przemienność podnosi atrakcyjność. Choć hasła zdają się głosić prawdy mniej przemijające, chcieć ustalać hierarchię trwalszą, nie na te marne parę miesięcy. To nie tyle kwestia, kto wygrywa i staje się panem, ile raczej, kto przez swoje zwycięstwo tego dowodzi.

Jeden z mędrców starożytnych dziwił się radosnemu zwycięzcy i próbował popsuć mu humor, dowodząc, że zwycięstwo nad słabszym – bo tamten był słabszy, skoro przegrał – cieszyć wcale nie powinno. Wiedział zapewne dobrze, że rzecz w tej właśnie radości, nie w czym innym. I to, czego dziś jesteśmy pewni, w radości raczej kibiców.

I to oni są pany. Ale ich pańskość byłaby niepełna, gdyby ci drudzy nie byli dziady. My pany, wy dziady. Widzicie? Wasze dziadostwo zwiększa naszą pańskość. My górą! My rządymy! Takie hasła o rządzeniu słyszy się dość często. Wielkie kibicowskie poczucie przewagi łączy się z potrzebą ponizenia.

Chociaż z drugiej strony – jak tu się można szczerze cieszyć ze zwycięstwa nad dziadami?

Wszystkie dzieci są nasze

Hasło propagujące postawy wobec dzieci, lata dziewięćdziesiąte XX wieku

Skąd się biorą dzieci? Czy inaczej: skąd się wzięło dziecko? Albo na razie tak: skąd się wzięło słowo „dziecko”? Nasze polskie „dziecko” jest bardzo młode, jest z nami dopiero od XVII wieku. To dawny przymiotnik nijaki. Zeński był „dziecka”, męski „dzieck”, potem „dziecki” – tyle, co dziś „dziecinny” albo „dziecięcy”. Z przymiotników często robiono wtedy rzeczowniki, przykładem „Polska” – kiedyś tyle co „polna”.

Dawniej mieliśmy „dziecię”, a „dziecko” było „małym dziećciem”. Dziś dziecko jest większe od dziecięcia, czy raczej dziecię mniejsze. Linde podaje, że na Śląsku Austriackim „dziecko” znaczyło tyle co „bękart”, i dodaje, że to było zgodne ze znaczeniem przyrostków „-cko”, „-sko”, dodawanych „na ohydę”.

„Dziecię” ma ciekawe pochodzenie, powstało od rzeczownika „dzieć”, który był zbiorowy i oznaczał zbiór bardzo młodych ludzi, jak dziś zbiór osób nieco starszych nazywany jest zbiorowym rzeczownikiem „młodzież”. Do tego „dziecia” dodano „-ę”, częste dla oznaczania młodych istot („ptaszę”, „prosię”), i tak powstało jednostkowe „dziecię”, dla zbioru rezerwując wzięte z „dziecia” „dzieci”. Te wszystkie nasze „dzieci” są liczbą mnogą od „dziecka”, ale nie od początku, nie od dziecka. Później zaczęły, bo kiedyś była re-

gularna wobec „dziecka” forma „dziecka”, która w gwarach została dłużej: „tamte dziecku śpią, niechaj leżą, jako są”, mówi Isia w *Weselu*.

Nasze „dziecko” to słowo rodzinne. Mało jest liczniejszych rodzin słów. U Knapusza (1621) jest w dziecięcej rodzinie słów siedemnaście, na początku XIX wieku u Lindego czterdzieści jeden, w *Słowniku wileńskim* z połowy XIX wieku trochę mniej, trzydzieści trzy, a w *...warszawskim* z początku XX wieku ponad osiemdziesiąt. Niektóre wprowadzie dziwaczne, jak „dzieciutejko”, „dzieciuczek”, „dzieciuczono” czy „dzieciszczko”, ale wszystkie poświadczone. I to normalne, bo przecież „dziecko” zdrabniać można nieograniczenie – często chcemy pozytywne emocje wobec dziecka wyrażać oryginalnie. A jak się zdarzy dziecko nieznośne, to i zgrubiać przychodzi nam ochota, i pojawiają się „dzieciuch”, „dzieciór” i „dziecisko”. Frazeologicznie jest nasze dziecko bardzo płodne. Bierze udział w licznych metaforach (prawdziwe z niego „dziecko szczęścia”), a dla wielu porównań stanowi naturalne podłoże. Każdy z nas „podszyty jest dzieckiem”, „jak dziecko się cieszy”, a potrafi i „płakać jak dziecko”, a nawet „drzeć się jak dziecko”, bywa „naiwny jak dziecko”, ale i „jak dziecko kapryśny”. Czy zatem dobrze być dzieckiem? „Nie bądźmy dziećmi”, zazwyczaj bardzo dobrze. „Każde dziecko wie”, że to czysta, żywa natura, swoboda i prostota. Ale bywa czasem bardziej pokrętnie, a dwa połączenia frazeologiczne: „pijane dziecko we mgle” i „wylewanie dziecka razem z kąpielą”, rysują nam obrazy bardziej przerażające niż zabawne. I pomyśleć, że te wszystkie dzieci są nasze.

Wybieramy przyszłość

Hasło wyborcze Aleksandra Kwaśniewskiego, Krzysztof Janik, 1995

W kampanii prezydenckiej 1995 roku startowało wielu kandydatów, ale liczyło się tylko dwóch: Lech Wałęsa i Aleksander Kwaśniewski. Pierwszy, starszy, reprezentował Polskę solidarnościową, po transformacji, nową. Drugi, młody, dla wielu uosabiał Polskę, która minęła, Polskę realnego socjalizmu. Starą. Obserwator z zewnątrz mógłby sądzić, że Polska postpeerełowska to przeszłość, a Polska po świeżych przemianach, Polska z niezbladłym wciąż etosem „Solidarności” to terażniejszość i przyszłość.

Hasło o przyszłości wybrał jednak Kwaśniewski.

Bo co to jest przeszłość? Dla niektórych to to, co było dawno, dla innych, co do tej pory. „To dziś, tylko cokolwiek dalej”, jak mówił Norwid. A co to przyszłość? Dla wszystkich to to, co dopiero będzie.

PRL to przeszłość, jasne. Ale i „Solidarność” to przeszłość, choć niedaleka. I co było, to było. I można oczywiście porównywać swoje przeszłości, ale kto tak robi, pokazuje, że właśnie jest w niewoli tej (czy tych) przeszłości. Myśli o nich, uznaje je za wartości.

A tu „trzeba z żywymi naprzód iść”, a nie, z uporem, stroić głowy w liść laurów, już nieco przywiedłych zresztą. Co było, nie wróci, szaty rozdzierać próżno. Zresztą jest i terażniejszość. Czy jest ona taka znów dobra? Jest na pewno kontynuacją przeszłości, ale raczej

tej niedawnej, niedawno zwycięskiej, a nie tej dawnej, coraz mniej wspominatej, coraz mniej źle wspominatej.

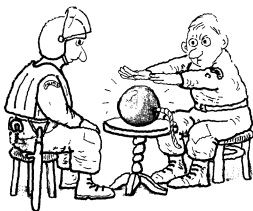
I co nam z tych przeszłości? A tu: przyszłość. I do tego możemy ją sobie wybrać.

Wybierać przyszłość możemy na dwa sposoby. Tak jak wszystko, jak kapelusz choćby. Możemy wybrać kapelusz, co znaczy, że będziemy chodzili w kapeluszu. Nie wybierzemy kaszketu ani beretu, nie będziemy chodzili w turbanie ani tiarze – wybierzemy kapelusz i już. I to kapelusz będzie przez nas wybrany, nie co innego. Wybierzemy kapelusz.

Ale możemy też wybrać kapelusz, co znaczy, że od nas będzie zależało, jaki kapelusz będzie na naszej głowie. Sombrero czy szapokłak. A może melonik? Który to będzie kapelusz, my decydujemy. Wybierzemy kapelusz.

W każdym razie – wybierzemy kapelusz.

A teraz my możemy wybierać przyszłość. Wybierzmy ją. Nawet jak wybierzemy kogokolwiek, i tak wybierzemy przyszłość, swoją i in-



nych Polaków przyszłość, my zadecydujemy, jaka ta przyszłość, przynajmniej w pewnym ważnym aspekcie, będzie. Wybierzemy przyszłość.

Ale możemy też wybrać przyszłość w innym sensie. Nie przeszłość i nie tę teraźniejszość, co jest. Nie myślenie o zasługach i kombatantwie, nie rocznice i styropiany. Ale przyszłość, uznając za ważniejsze to, co będzie. Tak wybierając, przedłożymy przyszłość nad przeszłość, przyszłość wybierzemy.

A jak nie, i tak wybierzemy przyszłość.

Załatw sprawę i żegnaj

Napis w urzędach, okres międzywojenny XX wieku

Tak się zwraca urząd do obywatela, urzędnik do interesanta. Nie do konkretnego interesanta, lecz do każdego, więc niejako wyobrażonego. Ktokolwiek tu przyjdzie jako petent, przeczyta. To albo już jest, albo będzie do niego. Ma załatwić sprawę i pożegnać urząd. Pożegnać, to znaczy lepiej się już potem nie pojawiać. Nie zadne tam „do zobaczenia”. Żegnaj i już.

Sprawę do załatwienia ma petent, interesant (który raczej powinien mieć interes, ale jego sprawy już się rzadko interesami nazywa, interesy to mają przedsiębiorcy) – ale i urzędnik. Kto ją załatwia? Najczęściej jest tak, że interesant (tak go nazywajmy, petent to pewna jego odmiana) uważa, że to on załatwia, a urzędnik uważa, że to on, urzędnik. „Załatwiłem dzisiaj swoją sprawę” – myśli zwykły Wiśniewski, a urzędnik Kwiatkowski myśli: „załatwiłem dzisiaj sprawę Wiśniewskiego”.

Tak sobie myślą, kiedy sprawa została załatwiona, i to z grubsza po myśli Wiśniewskiego. Gdy nie została lub została nie tak załatwiona, jak Wiśniewski chciał, to Wiśniewski nie pomyśli, że załatwił. Kwiatkowski może pomyśleć: „załatwiłem sprawę Wiśniewskiego”. A jeśli celowo i złośliwie tak ją załatwił, może pomyśleć: „załatwiłem Wiśniewskiego”. A Wiśniewski: „załatwił mnie”.

Ale tutaj, o dziwo, urząd uważa, że to interesant załatwił. Może to takie wczucie się w jego sytuację? Byłaby to chwalebna empatia. Że urząd mówi w drugiej osobie do interesanta, to normalne. Może wolelibyśmy pana i panią, a nawet Pana i Panią, czy Państwo, ale to strasznie gramatycznie komplikuje. „Niech Pan/Pani załatwi sprawę”? To brzmi jak niezręczne życzenie. A druga część, z żegnaniem, w ogóle nie do wyobrażenia. „Niech Pan zegna”? Nonsens. „Państwo”? To już pod żadnym pozorem w grę nie wchodzi. Więc druga osoba, pojedyncza oczywiście, żadne tam „wy, obywatelu”. Słusznie. Do tego też naturalny rozkaznik „Załatw”. „Zegnaj”.

Jak masz to zrobić? I czy trzeba ci o tym mówić? Przecież po to przyszedłeś, żeby sprawę załatwić. O co tu chodzi?

Rzecz właściwie tkwi w spójniku „i”. Po załatwieniu sprawy poze-
gnaj się i wyjdź, jak najprędzej. Nie stój i nie nudź. Możesz się na-
wet nie pożegnać, bo „zegnaj” to jeden z tych dziwnych rozkazni-
ków, które wcale nie muszą wyrażać i zazwyczaj nie wyrażają ocze-
kiwań żadnych działań adresata. „Zegnaj” to taka forma bierna, ta-
kie „bądź pożegnany”. To nie ty się masz ze mną żegnać, to ja się
zegnam z tobą. Bywaj zdrow, trzymaj się, zegnam cię. Zegnaj.

Jak już załatwisz sprawę, bo pozwalam ci tak myśleć, że to ty załat-
wisz, nie ja, to sobie idź. Zegnam, zegnaj. Właściwie to już cię ze-
gnam.

Chęć zerwania kontaktu komunikacyjnego, wyrażona wobec nas,
jest bardzo dla nas przykra. Może i my nie chcemy ani nawiązywać,
ani przedłużać tego kontaktu, ale nie chcemy, żeby nasi partnerzy
to nam tak wprost mówili.

I mamy wtedy ochotę trochę na złość posiedzieć. Albo nawet postać

Zamienił stryjek siekierkę na kijek

Przysłowie, odnotował Krzysztof Franciszek Falibogowski, 1625

Pierwsza wersja tego przysłowia nie mówiła jeszcze o stryjk, a i kijek był tam kijem: „dano mu kijek za siekierkę”. Jak widać, nawet o zamianie nie było mowy. Dostał, co mu dać chcieli. I zamiana, i kijek, i stryjek wreszcie – wszystko to pojawiło się w XIX wieku. I zamiana ta pokazuje stratę – czy to naiwnością, czy nieudolnością spowodowaną. Stryjek i kijek są oczywiście rymami.

Dzisiaj pamiętamy tego stryjka z wiersza Brzechwy, widząc w nim sympatycznego, lekkomyślnego utracjusza, niedbającego o dobra doczesne i kierującego się osobliwą, chwilową logiką. Pod wpływem impulsu zamienia to, co cenniejsze, na to, co doraźnie przyjemniejsze.

Stryjek przysłowiowy służy refleksji. Niedobrze jest robić różne rzeczy, które są ryzykowne. Spółki są niebezpieczne, można zostać przez współnika oszukanym. „Powiadają jaskółki, że niedobre są spółki”. I pożyczanie może się źle skończyć. „Dobry zwyczaj – nie pożyczaj”. Zamiany są oj, jak podejrzane. Można zostać strykiem.

Tymczasem na tym polegają stosunki handlowe: zawieranie spółek, zaciąganie kredytów, umowy barterowe. Ja mam coś, czego potrzebujesz, ty – czego ja pragnę. *Machniom*, jak mawiają swobodnie i wesoło Rosjanie. Zamieńmy się.

Zamianę siekierki na kijek uzasadnia stryjek Brzechwy, mówiąc, że siekierka „jak spadnie na nogę, stracić nogę mogę”. Kijek jest bezpieczniejszy. I stryjek Brzechwy się nie martwi.

My się martwimy, dziwimy, wydziwiamy. A jak siebie stryjkiem nazywamy, realnie mówimy o własnej stracie.

A spróbujmy popatrzeć na to jeszcze inaczej, symbolicznie. Co to jest siekierka? To narzędzie pracy, owszem, drwała, ale także junackiego zbójnika. Siekierką nie tylko drwa się rąbie, siekierka to przecież tyle co ciupaga. Zatem ten, kto ma siekierkę, i to jako główny swój atrybut, może jest właśnie rozbójnikiem, niekoniecznie od razu harnasiem jakimś, ale kimś dzielnym, zawadiackim. W gruncie rzeczy – przestępcą.

A kijek? Toż to kostur, właściwie nawet kosturek. Z kijkiem chodzą pątnicy, ale i zwykli żebracy. Kijkiem się podpierają, kijkiem odganiają się od piesków. Biedny ten żebraczy kijek.

I stryjek też. Zamienił strój zbójnika na łachmany dziada, zbójowanie na zebranie, kierzce na łapcie. Bo przecież to też zamiana. Niedobra, ale niejako samemu ze sobą. Sami się zmieniamy, zamieniamy w kogoś innego. Niedobre te zamiany bywają.

Ale dajmy spokój tym romantycznym interpretacjom. Nie zamieniamy naszego pocziwego stryjka w rozbójnika i zebraka.

On po prostu zrobił zły interes.

Zawsze czysto, zawsze sucho zawsze pewnie

Hasło reklamowe, lata dziewięćdziesiąte XX wieku

Trzy charakterystyczne, często powtarzające się formalne cechy skupiają się w tym hasle, reklamującym podpaski.

Po pierwsze, jest tu triada, trzykrotne pojawienie się (czyli dwukrotne powtórzenie) tej samej struktury. Triady mają dużą tradycję i znaczną skuteczność, żeby wymienić tylko takie, jak „wiera, nadzieja i miłość”, „wolność, równość, braterstwo”, „Bóg, honor i ojczyzna”, „pokój, partia, socjalizm”, „Polska, wolność, rodzina”.

Po drugie, jest tu trochę. Ta biegnąca miara rytmiczna, polegająca na przeplataniu sylaby akcentowanej z nieakcentowaną (w innych językach: długiej z krótką), w tej właśnie kolejności, ma też znaczną tradycję i sugestywność. „Cukier krzepi”, „Pasta Kiwi but ożywi”, „Lotem bliżej”.

Po trzecie, jest tu anafora. Mamy nie tylko tę samą strukturę wszystkich trzech elementów, także identyczne ich początki. Jeśli coś drugiego jest takie samo jak pierwsze, chętniej wierzymy w prawdziwość. A przy trzech analogicznych początkach dajemy się przekonać. Tak było, tak jest i tak będzie. „Na miejsce, na czas, na pewno”.

A tu: odwołanie do trzech najbardziej pożądanых cech podpaski. Nie jestem kobietą, ale tak to sobie wyobrażam. Jest ta podpaska

po to, żeby było czysto – tak, jak może być. Sucho – tak, jak to możliwe. I oczywiście pewnie, ze pewnie.

A czy jest? Czy jest czysto i sucho? No, to względne...

Gdybyśmy mieli tu przymiotniki, które odnosiłyby się do tego, co te cechy ma zapewniać, może z większą ostrożnością byśmy ich użyli. Te podpaski trudno z pełną odpowiedzialnością nazwać po użyciu czystymi i suchymi. Ale inaczej przysłówki. Nazywają one cechy czynności i cechy cech. Mogą mówić, jak nam jest, jak się czujemy. A czuć się możemy czysto nawet wtedy, kiedy ktoś inny nie czułby się tak. I sucho. Różne są zresztą odmiany, rodzaje suchości: inaczej suchy jest piasek, inaczej skóra, inaczej włosy... Owszem, dosyć sucho. Można się tak czuć.

I ważne oczywiście, że zawsze. Czyli. nawet wtedy, gdy mielibyśmy (miałybyśmy) prawo czuć się mniej sucho i czysto. Wszystko dzięki tym podpaskom.

Czysto i sucho prowadzi do poczucia bezpieczeństwa. I tak miało być: „zawsze czysto, zawsze sucho, zawsze bezpiecznie”. Realizowałoby to zresztą pewną alternatywną w stosunku do wyboru rytmiczności regułę triady: trzecia jej część powinna być najdłuższa („braterstwo”, „ojczyzna”, „socjalizm”). Tyle że zapewnienie bezpieczeństwa dość niebezpiecznie przywołuje świadomość bezpieczeństwa, czyli braku niebezpieczeństwa, czyli jednak możliwości niebezpieczeństwa. Czyli: niebezpieczeństwa.

O wiele pewniej jest zapewnić o pewności. Zawsze pewnie.

Zima wasza, wiosna nasza

Hasło solidarnościowe, 1982

To było pierwsze i bodaj najważniejsze solidarnościowe hasło stanu wojennego. Inne były wyraziste, proste, identyfikacyjne i konfrontacyjne, ale mało wyrafinowane. „Wrona skona”. „Orła wrona nie pokona”. „Solidarność żyje”. „Chcemy Lecha, nie Wojciecha”. To hasło, odwołujące się do pór roku, miało pożądaną wymiar magiczny. Trzeba przyznać, że na razie wygraliśmy. Na razie jest zima. Ona jest wasza. Ale po zimie przychodzi wiosna.

Z tego, że po zimie jest wiosna, nie wynika wprost, że wiosną my wygramy. Ale popatrzmy tylko, przyjrzyjmy się. Zima to mróz, śniegi, lody. Zimowe są także niektóre zwierzęta, ptaki, na przykład wrona.

To osobliwe, że wprowadzająca stan wojenny rada nazwała się sama „Wojskową Radą Ocalenia Narodowego”, nazwą zawierającą dobre słowa, jak „naród” i „ocalenie”, ale która w skrócie dawała WRON, o tak wyraźnym i łatwym do wykorzystania odniesieniu. Wrona to nie jest ptak szczególnie sympatyczny. Potem odnaleziono, że generał Jaruzelski, używający ciemnych okularów, jest herbu „Ślepowron”. Ta nazwa to mógł być niefortunny dla jej nosiciela przypadek. Ale także swoisty odgromnik: emocje, wywołane także nazwą, były przeciw niej kierowane i niepozabawione pewnego ele-

mentu satyrycznego humoru. Patrzcie, wrona! Jest z czym układać rymowanki, jest co rysować. Tak się czasem kanalizuje agresję.

Więc zima. Wygraliście zimą, wygraliście, bo zima, kojarzycie się z zimą. Wy jesteście zimowi, zima jest wasza. Co jest przeciw ziemi? Wiosna. Kto jest przeciw wam? My. Jeśli wy jesteście zima, my jesteśmy wiosna. I bardzo dobrze. Zima to to, czego nie znośmy. Mrozy (zima wtedy była mroźna), śniegi, lody. Ogólna martwość. Wiosna to wszystko, co dobre. Zieleń, kwiaty. Wiosna następuje po zimie i ją zwycięża. Topi, przegania. Wiosna to, co zimowe, przełamuje. Wiosną wszystko się odradza.

Te rozbudowane analogie nie mogą nie dawać nadziei, choćby naiwnej. To symbole! Tam zima, tu wiosna. Tam wrona, tu orzeł. Tam wy, tu my. Tej wiosny nasz orzeł pokona waszą wronę



I w końcu nawet jeśli tej wiosny nie, to będą wiosny inne. Wiosną wygramy. Wiosna będzie nasza.

Ta opozycja „wasza : nasza”, „my : wy” jest naturalna, choć nie zawsze obowiązująca. „My” może być inkluzywne, wtedy to „ja + wy” albo „my + wy”. Opozycją wobec takiego „my”, włączającego odbiorców, są „oni”. Opozycją wobec „my” ekskluzywnego, wyłączającego odbiorców, są właśnie sami odbiorcy, czyli „wy”. Czasem może być to przyjazne. „Wy i my razem”. „Co nasze, to i wasze”. „Za wolność waszą i naszą”. Ale częściej jest konfrontacyjne. To nasze, to wasze. My tu, wy tam. My przeciwko wam.

Tyle że nie wam to mówimy, tylko nam.

Z impetem w głąb

Hasło reklamowe, Paulina Fedak, lata dziewięćdziesiąte XX wieku

Jedno z częściej używanych, cytowanych i parafrazowanych haseł reklamowych, łączące to, co dla reklamy polskiej wczesnego okresu było charakterystyczne: językową lapidarną oryginalność, wrażenie aktywności bliskiej agresji, wreszcie aluzyjność.

„Impet” to słowo niezbyt często obecnie używane. Łacińskie *impetus* to tyle co „napad, gwałtowny napór”. Dziś wiąże się z siłą rozpędu, rozmachu, z szybkością w działaniu. Pamiętamy z *Potopu* dialog szlachty pod Ujściem, po zwycięstwie w małej potyczce: „– Tak i nie mogli wam się oprzeć, co? – Impetu nie mogli wytrzymać. – Mości panowie, słyszycie, co mówią: impetu nie mogli wytrzymać! .. A co? .. Impet to grunt!... – Pamiętajcie, byle z impetem! .. Najlepszy to sposób na Szweda!”

Mozemy to sobie łatwo wyobrazić, tę szlachtę, wierzącą w impet, po trosze magicznie. Przy tym impet to coś, co trudno racjonalnie zaprogramować. Postanowić i zrealizować. „A teraz, proszę waszmościów, uderzamy z impetem. Proszę o nieco większy impet niż ostatnim razem” Nie, tak się raczej nie da.

Impet musi być naturalny, spontaniczny. Musi nas samych porwać. Ten rozmach jest jak rozmach życiowy. Silny, dynamiczny, nawet nie do pohamowania

Inny slogan reklamowy tamtych czasów głosił „z siłą wodospadu”. Nie pamiętam, co działało z tą siłą, niewykluczone, że na przykład jakiś środek czyszczący protezy zębowe, w każdym razie ta siła była niezwykle sugestywna. Z nią jak coś działało, to dopiero musiało działać!

Tu też mamy coś, co działa i działa „z”. Tym razem „z impetem”. Chodziło tu o proszek do prania, który, czy też jakieś tam jego enzymy, wnika głęboko w brudną tkaninę. Im głębiej wnika, tym lepiej rzecz jasna upierze. A żeby wnikać dostatecznie głęboko, dobrze jest wnikać z impetem.

Być może, niektórym, takie głębokie wnikanie z dużym impetem (a impet nie może być rzecz jasna mały, musi być duży, jeśli nie zgoła wielki) mogłoby się kojarzyć erotycznie. Pożądane byłoby, gdyby się to dobrze kojarzyło paniom, w końcu decydującym o wyborze odpowiedniego proszku do prania. Wiemy, że środki czystości często były łączone z mężczyznami: z ich siłą i skutecznością. „Ludwik”, czyszczący naczynia, „Pan Proper” i „Mr. Muscle”, wyobrażany jako nieco Bogartowski detektyw „Domestos”, różni czarodzieje i wiele innych. I – z drugiej strony – dobrze byłoby, gdyby te skojarzenia nie były zbyt wyraźne, zwłaszcza dla tych, którym kojarzyć się nie muszą.

Nie pamiętam, jaki to środek miał właśnie tak działać. To jest kłopot z dobrymi sloganami, z dobrymi reklamami. Są czasem tak dobre, że znając je świetnie, nie mamy już pojęcia, co reklamują. Dotyczą bardziej nas samych niż produktów.

Ale działają z impetem. I w głąb.

Z próżnego i Salomon nie należy

Przysłowie, odnotował Jakub Kazimierz Haur, 1675

Mądry król Salomon zachowuje się w pamięci Polaków jeszcze „salomonowym wyrokiem” i tym właśnie przysłowiem. Kiedyś było więcej salomonowej frazeologii, a on sam służył częściej porównaniom.

To przysłowie najpierw głosiło prawdę o niemożności napicia się z próżnego naczynia. Dopiero potem, w XIX wieku, pojawił się i Salomon, i mniej fizjologiczne, bardziej zobiektywizowane „nalewanie”.

„Skąd ci wezmę?”. „Nie dam, bo nie mam”. To formuły częste, może mniej filozoficzne, ale zwykle przekonujące. Przysłowiowa i salomonowa refleksja dawałaby prawdopodobnie większą wiarygodność, ale przeszkodą jest to, że dość łatwo rozpoznać w niej wygodną kliszę, nieco zbyt szablonowo tłumaczącą naszą powściągliwość w dawaniu. Może nawet lepsze są te proste odmowy.

Przysłowie mówi o oporze materii. O tym, że nasza mądrość bywa bezradna wobec fizyczności.

Zwłaszcza wobec braku czegoś. Jak coś jest, możemy sprawić, by tego nie było, przynajmniej takiego, jakim było. Jak coś jest, możemy to zmieniać, czynić innym. Ale jak czegoś fizycznego nie ma? To nic się nie da zrobić. „Nie stworzę ci przecież, jak nie ma”. Nie ma i już.

Inna sprawa, że tę oczywistą fizyczną prawidłowość próbujemy odnieść także i do takich rzeczy i zjawisk, które łatwiej można by było przywołać do istnienia. Kiedy nie możemy w sobie wykrzesać jakiejś chęci, kiedy tłumaczymy czyjś brak pożądanych emocji czy też oczekiwanej gotowości, także przywołujemy króla Salomona.

A fizyczność jest łatwo wyobrazalna. Pragnienie to najsilniejsza bodaj potrzeba związana z otrzymaniem czegoś. Tomasz Morus mówił, że wszystkie fizyczne przyjemności mają związek albo z wydaleniem, albo z przyjmowaniem czegoś: płacz, plucie, defekacja, oddawanie moczu i nasienia, jedzenie, picie. Przeszkadzało mu tylko, że fizycznie przyjemnie się drapać, co nie jest ani jednym, ani drugim. Ale zaspokajanie pragnienia jest wspaniałe

A pragnienie ma różne postaci i różnie bywa zaspokajane.

W każdym razie obraz króla Salomona, próbującego nalać coś komuś czy też sobie z próznej naczynia, przemawia do naszej wyobraźni. Widzimy to, nawet do pewnego stopnia czujemy.

To przysłowie jest skoligacone z innym, też powszechnie powtarzanym powiedzeniem, mianowicie tym o przelewaniu z pustego w próżne. Odnosi się ono do niepotrzebnych i bezpłodnych rozważań, do formalnych dyskusji, daje wyobrazenie bezcelowości i bezskuteczności zarazem. I jasnej oczywistości, wszak z pustego się nie naleje. Choć z drugiej strony – właśnie się leje, nawet przelewa. I rozumiałe, że przelewa się w coś, co jest jak na razie próżne.

Tyle że takim pozostanie.

Żadnych haseł. Tylko fakty

Hasło Kongresu Liberalno-Demokratycznego z kampanii 1993

Wydawałoby się, że takie hasło budujące własną wiarygodność na podważaniu wiarygodności haseł powinno być rzadkością. W istocie co jakiś czas na takie pomysły wpadają twórcy kampanii. W 1989 roku tzw. strona partyjno-rządowa miała jako jedno z haseł. „Nie słuchaj podszeptów, wybierz sam” Było to hasło dobre do szeptania, nawet podszeptywania. Jeden z kandydatów na prezydenta miał hasło: „Prawda zamiast haseł”. Było to typowe hasło zamiast hasła. Jedna z partii w kampanii 2001 posługiwała się hasłem, które mówiło: „Inni tylko mówią – my zmieniamy kraj”. Właśnie – mówiło.

Wszystkie te hasła przegrały. I to jest pocieszające: samodezawuowanie nie powinno się kończyć sukcesem.

Owszem, jest pomysłem atrakcyjnym. Można mniemać, że podważanie tego, co się właśnie robi, daje poczucie głębi i wielowymiarowości. Krzyczenie, że krzyki są złym sposobem na porozumienie; obiecywanie, że nie będzie się obiecywało; niewyraźne opowiadanie się za wyraźnym zajmowaniem stanowiska zdaje się korzystać zarówno z tego, co głosi, jak i z tego, czym jest – a jeśli to rzeczy i sprawy sprzeczne, korzystanie z obu naraz daje złudę podwójnej korzyści.

Na szczęście to tylko złuda. *Praeteritio*, czyli zabieg retoryczny polegający na mówieniu, że się nie mówi tego, co się właśnie mówi, może być jako chwyt okazjonalny, umieszczony w środku wypowiedzi, atrakcyjne, często dla własnej zabawności. Może zainteresować. Jest jednak zbyt paradoksalne, by uwiarygodnić. Kreteńczyk, kłamiący (lub mówiący prawdę) o zawsze kłamiących Kreteńczykach, uświadamia niewystarczalność naszej logiki, ale nie przekonuje do racji. Jest ciekawą grą językową – nie może być składnikiem trafnego przekonywania.

Te próby układania sloganów przeciw sloganom, swoistych antyhasła, są motywowane chęcią podważenia wiarygodności innych i tym samym przypisania jej sobie. Inni stosują hasła – my operujemy faktami. Tak bywa, kiedy wypowiadamy się po stronie czynów przeciw słowom. Mówiono tak wielokroć, też w ważnych historycznych momentach: „czynów trzeba, nie słów”. Rzecz w tym, że mówiono to słowami. Inaczej się nie dało. I w ten sposób odbierało się samemu sobie prawo prawdziwości.

W tym hasle odrzucało się wszelakie hasła. Wszystkie były niedobre. Lakonicznie, trocheicznie, tylko faktom przypisywało się prawo do perswazji i było to oczywiście hasło.

Hasło partii, która, po okresie pewnego sukcesu, postanowiła zastosować w kampanii wyborczej wszystkie znane i uznane w zachodnich demokracjach najlepsze chwytły propagandowe. Zafundowała sobie najbardziej profesjonalną kampanię.

Przegrała z kretesem

Żarty się skończyły

Powiedzenie

„Bez żartów”. „To nie pora na żarty”. „Koniec z żartami”. Tak do porządku przywołujemy tych, co niefortunnie naszym zdaniem nie dostrzegają powagi sytuacji. Żartują sobie. Niekoniecznie z nas, ale w ogóle nie powinni. Mogą kiedy indziej, teraz nie pora. Mogli wcześniej, teraz już koniec.

Ma to w sobie coś z groźby. Nie musi mieć zawsze, czasem może być tylko wskazaniem zagrożenia, zwróconym do tych, co są z nami. Sławne było żartobliwe skądinąd powiedzenie Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego: „Panowie, żarty się skończyły, zaczynają się schody!”. Łatwo wyobrażają sobie takie zagrożenie birbanci o zachwianej równowadze, bo tak była ta pierwotna sytuacja skontekstyzowana. Potem zaczęto Wieniawę cytować i poza schodami, wykazując tym swoisty esprit d'escalier. Zresztą druga część tego powiedzenia także bywa metaforycznie stosowana w mówieniu o rozpoczynających się kłopotach i trudnościach, czyli już w sytuacjach mniej skłaniających do żartu. I oczywiście mniej żartobliwie, choć tym przenośnym użyciem schodów trochę można rozluźnić napięcie.

Ale kiedy słyszymy samo „żarty się skończyły”, powinniśmy się zacząć obawiać. Tego w każdym razie oczekuje ten, kto nam o tym

mówi. Mówi także, choć nie tak bezpośrednio, bo w lekko ukrytej presupozycji, która i nam powinna być wcześniej znana, że żarty w ogóle miały miejsce, czy też że nadal je mają, przynajmniej z naszej strony. Najczęściej o to chodzi, że to my żartujemy, ci ostrzegani. A jeśli nawet nie żartujemy, to w każdym razie nie traktujemy sprawy, sytuacji należycie poważnie. W ostateczności – nie boimy się tak, jak trzeba, żebyśmy się bali.

I teraz mamy zacząć.

Tak może powiedzieć kat do niekoniecznie rozfiglowanego skazańca przed przystąpieniem do serii nieco bardziej bolesnych tortur, surowy egzaminator do uspokojonego niezbyt dotychczas trudnymi pytaniami egzaminowanego, przesłuchujący policjant do nieskorego do zeznań podejrzanego. Żarty się skończyły, teraz dam ci popalić. Te żarty nie polegały na prawdziwym żartowaniu, ale w porównaniu z tym, co cię czeka, to była fraszka, igraszka. Teraz to będzie naprawdę.

Naprawdę, czyli nie na żarty. Na serio, bez wygłupów. Ciekawe, że powaga, brak żartów, staje się tu czymś ze swej istoty nieprzychylnym ludziom, trudnym, frustrującym. Mówi się o powadze jako o naszym zachowaniu, a ma się na myśli coś, co jest zewnętrzne. Jak się boimy, nie jesteśmy skorzy do żartów, zachowujemy powagę. Nie śmiejemy się, mamy poważny wyraz twarzy. Bywamy wprawdzie poważni i mało zartobliwi także w radosnych, podniosłych okolicznościach, kiedy też nie pora na żarty, jednak gdy żarty się skończyły, powaga ma być raczej związana z niepokojem, zagrożeniem.

To nie żarty.

Żeby kózka nie skakała, to by nóżki nie złamała

Przysłowie, odnotował Michał Czajkowski, 1841

Częstochowski, gramatyczny rym, z łatwego żeńskiego czasu przeszłego. Infantylnizujące zdrobnienia „kózka”, „nóżka” Dydaktyczny smrodek: „żeby – to by”. Wszystko to zdaje się wskazywać, że to przysłowie skierowane do dzieci.

Istotnie, do dzieci, ale także do tych, które są w nas.

Przysłowie zawiera objaśnienie przyczyn zaistniałej niepomyślnej sytuacji. Skakała, to złamała. Nie złamałaby, gdyby nie skakała. Proszę bardzo. Nie ma co się skarżyć na los. Tak już jest, to normalne. Jak się skacze, to się łamie. I potem jest złamane. Trzeba było nie skakać. A nie mówiłem.

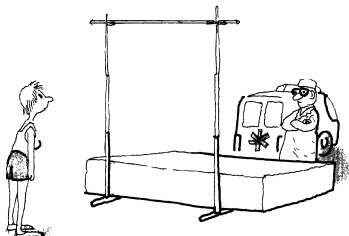
Mówiłem, nie mówiłem, wszystko jedno. Zgryźliwe dokuczanie starego tetryka, które da się słyszeć w tym przysłowiu, bywa do tkliwsze od samego złamania. Wiemy, że co się stało, to się nie odstanie. I wiemy, że przytoczenie najprawdziwszej z prawdziwych i najbardziej jak można związanej z sytuacją zasady nic nie zmieni. Ale też, jeśli taką kózkopodobną osobę i sytuację widzimy, a jesteśmy starymi tetrykami (a jesteśmy często, jesteśmy!), nie możemy tak nie powiedzieć albo przynajmniej pomyśleć. A jeśli akurat jesteśmy kózkami, to nie możemy tego nie usłyszeć. Choćby od samych siebie.

Okres warunkowy nierealny, czyli taki, co mówi o sytuacji, której nie było, nie ma i nie będzie, bo zaszło lub nie zaszło coś innego, daje wyraz atrakcyjnej poznawczo hipotezie. „Gdybym był tam nie był, to bym nie...”. A tak – tak, a jakże. A „gdybym był tam był, to bym...”. No no, jeszcze jak! Ale – nie, bom nie był.

Czasem: bardzo dobrze, że tak się nie stało (nie nie stało). Częściej: szkoda. Bo gdyby... i jak sobie to trochę powyobrazamy, to tak, jakby do pewnego stopnia było. Wyobraźmy sobie, że ta kózka nie skakała. Przynajmniej wtedy, kiedy złamała. To znaczy: wtedy by nie złamała. Wtedy, kiedy by nie skakała. Wtedy, kiedy nie skakała. Nie złamała.

Ale wiemy, że skakała, złamała.

Taka relacja przyczynowo-skutkowa. Jest przyczyna, musi być skutek. A jak jest skutek, musi być przyczyna. Musiała być, bo skutek jest. A jeżeli to skutek, to musiał mieć przyczynę. Inaczej się nie da.



A jak wiemy, co to za przyczyna, możemy pohipotetyzować o braku skutku z braku przyczyny. Usunąć jej nie usuniemy, ponieważ już była, nie mogło jej nie być, bo skutek przecież jest, ale gdyby...

To by nie złała.

I jeszcze myślimy, że to działa i do przodu. I przysłowiem mówimy: „nie skacz, nie skacz, bo złamiesz”. A jak już złamałeś, to potem już nie skacz, bo znowu złamiesz. I jak się skarżysz, to mówimy, żeś sobie sam winien, czegoś tam winien.

Bo to skakanie to może być wszystko. Każda przyczyna. Każdego skutku.

Żebyśmy tylko zdrowi byli

Życzenie

Mawiał tak Adolf Dymśa, uosobienie dobrego, zdrowego humoru wynikającego ze zdrowego rozsądku

Istotnie, wszystko jest kwestią odpowiedniego sproporcjonalizowania. Żle? Zależy, jak patrzeć. Mogłoby być gorzej, a nie jest. Że nie może, bo gdyby mogło, to by było? No, to skoro gorzej już być nie może, to przynajmniej wiemy, że gorzej nie będzie.

Jeśli sprawy nie dotyczą naszego zdrowia, możemy zawsze tego właśnie zdrowia użyć jako kryterium i punktu odniesienia. Zdrowie najważniejsze. Nikt się nie dowie, jako smakuje, aż się zepsuje. A teraz, odpukać, jakoś służy. To znaczy, nie jest z nim źle.

I tego mam chcieć przede wszystkim. A czasem do tego ograniczać swoje nadmierne apetyty. Jeśli tylko jestem zdrowy, powinienem być zadowolony.

Zazwyczaj zdrowie jest czymś osobistym, indywidualnym. Ja jestem zdrowy, ty jesteś zdrowy. Owszem, jesteśmy obaj zdrowi, ale osobno. Zdrowie bywa jednak też kategorią zbiorową. „A w domu wszyscy zdrowi?”. Kiedy tak pytam, może mi chodzić o rzeczywiste zdrowie mamy, ciotuni i w ogóle domowych, przejawiam wtedy życzliwe, choć może nieco konwencjonalne zainteresowanie. Może to być też stała lekarska formuła, którą bada się dziedziczne obciąż-

żenia. Rutynowość tego pytania spowodowała jego idiomatyczność, dziś także może to być wyrażenie wątpliwości co do zdrowia umysłowego naszego zaskakującego nas dziwnymi pomysłami rozmówcy. „A w domu wszyscy zdrowi?”.

Tu chodzi o zdrowie zbiorowe, wspólne niejako. Ja to zdrowie cenię, ty też powinienes. My wszyscy, jak tu jesteśmy, których to ta sytuacja dotyczy, a gorsza jeszcze dotknąć może, powinniśmy wiedzieć, że dopóki jesteśmy zdrowi, to nie jest najgorzej.

Dla form życzeniowych, a taką stanowi to właśnie zdanie, niektóre języki mają specjalny tryb gramatyczny, życzący, po łacinie zwany *optativus*. W polszczyźnie wyróżniano kiedyś ten tryb, przypisując mu jako wykładnik partykułę „oby”. „Oby nam się darzyło”. „Obyś szczęł”. Takie życzenia kierowaliśmy do losu, opatrności, niekoniecznie z głęboką wiarą, ale jednak... „Oby” mamy do dzisiaj, może nie tak częste, ale trybu już nie wyróżniamy. A do wyrażania życzeń używamy rozkaznika („niech się święci”, „bądź wola twoja”) i form ze spójnikiem „zeby” („zeby Polska rosła w siłę i była Polską”).

Czasem takie życzenie ograniczamy. Niech już będzie, co ma być (bo rozkaznika też tak rezygnacyjnie używamy), zeby tylko było to i to. Żeby tylko nie było, czego najbardziej się obawiamy. Zeby tylko nie było na przykład gorzej. I niech się Państwo nie martwią. Najważniejsze, żebyśmy byli zdrowi.

Zebym tak zdrów był. Czyli: naprawdę.

Spis zdań

| | |
|--|----|
| A bodaj cię! | 9 |
| Aby nam się! | 11 |
| Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej | 13 |
| A kysz, zgiń przepadnij! | 16 |
| AK – zapluty karzeł reakcji | 18 |
| Alleluja i do przodu | 20 |
| Baba z wozu, koniom lżej | 22 |
| Balcerowicz musi odejść | 24 |
| Bądź sobą, wybierz pepsi | 27 |
| Bez pracy nie ma kołaczy | 29 |
| Będziem jedli, będziem pili, będziemy się weselili | 31 |
| Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami! | 34 |
| Bój się Boga! | 36 |
| Całuję rączki, padam do nóżek | 38 |
| Cały naród buduje swoją stolicę | 40 |
| Chodźcie z nami | 43 |
| Cholera by to wzięła | 45 |
| Cicha woda brzegi rwie | 48 |
| Coca-cola to jest to! | 50 |
| Co dwie głowy, to nie jedna | 52 |

| | |
|---|-----|
| Co ma być, to będzie | 55 |
| Co ma wisieć, nie utonie | 57 |
| Co się stało, to się nie odстане | 59 |
| Coś tu nie gra | 61 |
| Co złego, to nie my | 63 |
| Cukier krzepi | 65 |
| Cyganka prawdę ci powie | 68 |
| Czas na zmiany | 70 |
| Czuj się jak u siebie | 72 |
| Czym chata bogata, tym rada | 75 |
| Diabli nadali | 77 |
| Do biegu gotowi, start! | 79 |
| Dobra jest | 81 |
| Dobranoc, pchły na noc... | 83 |
| Gadał dziad do obrazu | 85 |
| Gadu, gadu, stary dziadu! | 88 |
| Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą | 91 |
| Głową muru nie przebijesz | 93 |
| Gość w dom, Bóg w dom | 95 |
| Gwałtu, rety, co się dzieje! | 98 |
| Im dalej w las, tym więcej drzew | 100 |
| Indyk myślał o niedzieli, a w sobotę mu łeb ucieli | 102 |
| Ja cię chrzanię! | 104 |
| Jak cię widzą, tak cię piszą | 106 |
| Jaki pan, taki kram | 109 |
| Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie | 111 |
| Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma | 113 |
| Jeszcze się taki nie narodził, co by wszystkim dogodził | 115 |
| Jutro będzie futro | 117 |

| | |
|--|-----|
| Kazdy kij ma dwa końce | 119 |
| Kazdy sobie rzepkę skrobie | 122 |
| Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one . . . | 124 |
| Komu, komu, bo idę do domu! | 126 |
| Komu w drogę, temu czas | 129 |
| Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje | 131 |
| Królowa Bona umarła | 133 |
| Kto powiedział A, musi powiedzieć B | 135 |
| Kto pyta, nie błądzi | 138 |
| Kto się lubi, ten się czubi | 140 |
| Kto z kim przestaje, takim się staje | 143 |
| Kurdesz nad kurdeszami! | 145 |
| Lepiej nie mówić | 147 |
| Lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć | 149 |
| Lepszy rydz niż nic | 151 |
| Literaci do pióra! Studenci do nauki | 154 |
| Lotem bliżej | 156 |
| Ładną mamy pogodę | 158 |
| Mądrej głowie dość dwie słowie | 161 |
| Mądry wybór, lepsze życie | 164 |
| Mówi się? | 166 |
| Na bezrybiu i rak ryba | 168 |
| Na dwoje babka wróżyła | 170 |
| Na pochyłe drzewo i kozy skaczą | 172 |
| Nasza woła – Polska goła | 175 |
| Na złodzieju czapka gore | 177 |
| Nicea albo śmierć | 179 |
| Niech to piorun strzeli | 182 |
| Niech żyje nam | 184 |

| | |
|--|-----|
| Nie kładź palca między drzwi | 186 |
| Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera | 188 |
| Nie ma wolności bez „Solidarności” | 190 |
| Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię | 193 |
| Nie mów hop, póki nie przeskoczysz | 195 |
| Nie śmiej się, dziadku, z cudzego upadku | 197 |
| Nie święci garnki lepia | 199 |
| Nie wychylać się | 202 |
| No to frugo | 205 |
| Od przybytku głowa nie boli | 207 |
| Oferta ZREMB-u zawsze na czasie | 210 |
| ORMO czuwa | 212 |
| Oszczędzaj i ucz oszczędzać | 214 |
| Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek | 216 |
| Partia z narodem, naród z partią | 219 |
| Pasta kiwi but ożywi | 221 |
| Patrzcie państwo! | 223 |
| Pisz na Berdyczów | 225 |
| Podaruj sobie odrobinę luksusu | 227 |
| Pokorne cielę dwie matki ssie | 229 |
| Polak potrafi | 231 |
| Polam... i wszystko jasne | 234 |
| Polecam się łaskawej pamięci | 236 |
| Polska dla Polaków | 238 |
| Poznaj swój kraj | 240 |
| Pozwolą Państwo | 242 |
| Prasa kłamie | 244 |
| Prawda w oczy kole | 247 |
| Prędzej ci serce pęknie | 249 |

| | |
|---|-----|
| Przyjdzie koza do woza | 251 |
| Radion sam pierze | 254 |
| Raz kozie śmierć | 256 |
| Raz na wozie, raz pod wozem | 258 |
| Reklama jest dźwignią handlu | 260 |
| Rybka lubi pływać | 263 |
| Serce masz po lewej stronie | 266 |
| Sie ma! | 268 |
| Silni – zwarci – gotowi! | 270 |
| Słowo się rzekło | 272 |
| Socjalizm tak, wypaczenia nie | 274 |
| Spokojna głowa | 276 |
| Sport to zdrowie | 278 |
| Strach ma wielkie oczy | 281 |
| Swój do swego po swoje | 283 |
| Szukasz szczęścia – wstąp na chwilę! | 285 |
| Śmierć frajerom! | 288 |
| Święta, święta i po świętach | 290 |
| Tak trzymać | 292 |
| Teraz Polska | 295 |
| Tfu, na psa urok! | 297 |
| Trzymaj się! | 299 |
| Trzy razy tak | 301 |
| Tylko krowa nie zmienia poglądów | 304 |
| Tylko mleczna margaryna zrobi z ciebie Gagarina | 306 |
| Tysiąc szkół na tysiąclecie | 308 |
| Uwaga, zły pies | 311 |
| Wicie, rozumicie | 313 |
| Wiśła pany | 315 |

| | |
|---|-----|
| Wszystkie dzieci są nasze | 317 |
| Wyberzmy przyszłość | 319 |
| Załatw sprawę i zegnaj | 322 |
| Zamienił stryjek siekierkę na kijek | 324 |
| Zawsze czysto, zawsze sucho, zawsze pewnie | 326 |
| Zima wasza, wiosna nasza | 328 |
| Z impetem w głąb | 331 |
| Z próżnego i Salomon nie należy | 333 |
| Zadnych haseł. Tylko fakty | 335 |
| Zarty się skończyły | 337 |
| Żeby kózka nie skakała, to by nóżki nie złamała | 339 |
| Zebyśmy tylko zdrowi byli | 342 |
